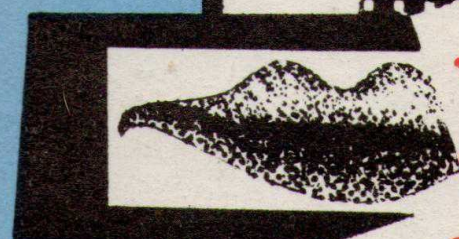


Zofia Kaczorowska



Szalona noc
w
Paryżu



lesiojot

Wydawnictwo Prawnicze

Zofia Kaczorowska

*Szalonej noc
w Paryżu*



**Wydawnictwo Prawnicze
Warszawa 1988**

..Bywają takie rzeczy na ziemi i niebie,
o których się nie śniło filozofom".
William Shakespeare „Hamlet"

Rozdział I

Co na to powie dyrektor Kalinowski?

— Dlaczego nie jesz bułek? — zapytała moja żona Alina, przysuwając koszyczek z pieczywem i przyglądając mi się badawczo.

— Nie mam już czasu, muszę być dzisiaj wcześniej w fabryce — odparłem z ustami pełnymi owsianki, do której od niemowlęstwa czułem obrzydzenie, i zagłębiłem się w porannej gazecie

— Hm... — chrząknęła znacząco i umilkła.

To „hm”, wygwizdane w specjalny sposób przez nos, zabrzmiało dla mnie ostrzegawczo, gdyż zazwyczaj świadczyło, że Alina wie o mnie o wiele więcej niż przypuszczam i że ma na mój temat własne zdanie. Zresztą od roku, odkąd otrzymałem stanowisko zastępcy dyrektora do spraw technicznych w naszym kombinacie obuwniczym, liczba owych „hm” z wielokrotnością się niepokojąco.

Ukradkiem zerknąłem na nią zza „Życia Warszawy”, aby się przekonać, czy dzisiejsze chrząknięcie ma jakieś głębsze uzasadnienie, czy też wypływa z jej stałego, sceptycznego spojrzenia na moją osobę, ale twarz Aliny przybrała już kamienny wyraz upodabniający ją do Sfinksa.

„Oj, niedobrze — pomyślałem. — Musiałem coś gadać w nocy.” Wiedziałem, że nieraz mówię przez sen, co jest na ogół wynikiem przemęczenia albo specjalnego napięcia emocjonalnego. Właściwie jestem niewinny jak nowo narodzone dziecko i nie mam się czego obawiać, ale jeżeli powiedziałem „Ewa” albo „Ewuś” — to Alina w żaden sposób nie da sobie wmówić, że jest to nazwa nowego modelu mokasynów, albo świeżo wynalezionej tworzywa sztucznego do wyrobu podeszew.

Twarcz Aliny pozostawała jednak dalej nieprzenikniona, ja zaś na samo wspomnienie imienia „Ewa”

odczułem dziwne ukłucie w okolicy serca, objaw zupełnie niezrozumiały. Przecież z tą przeuroczą dziewczyną, tak się nazywającą, nie łączy mnie absolutnie nic poza oficjalnym stosunkiem szefa do swojej sekretarki, a w zasadzie sekretarki wszystkich trzech dyrektorów naszego kombinatu: naczelnego, zastępcy do spraw ekonomicznych i technicznego, czyli mnie. To prawda, że wykonuje swoją pracę znakomicie: jest chodzącą encyklopedią spraw służbowych, terminów posiedzeń, zebrań, narad, dostaw, zamówień, faktur, a przy tym doskonale parzy kawę. Kiedy siedzi za swoim biurkiem, pod palmą, w pokoju przylegającym do trzech naszych gabinetów, z rozpuszczonymi blond włosami, wygląda na słynną gwiazdę Hollywoodu, o którą ubiegają się wszystkie najludrkatywniejsze wytwórnie filmowe świata, tak niesłychanie popularną, że spasieni impresaria, z cygarami w zębach, nie mogą opędzić się od szalejących tłumów żebrzących o jej autograf, kiedy zaś idzie przez mój gabinet ze szklanką kawy w dłoni, kołysze się w biodrach z wdziękiem hinduskiej tancerki i mimo woli budzi grzeszne myśli. Ma najwspanialsze fiołkowe oczy, nieco rozmarzone pod trochę za dużymi, sennymi powiekami, usta, których jedynym zajęciem powinno być całowanie, poza małymi przerwami na przyjmowanie pokarmów, i smukłe, nieprawdopodobnie zgrabne nogi, stworzone do noszenia wszystkich istniejących na świecie modeli obuwia — od rzymskich sandałów do butów z cholewami. Oprócz tego ten wzór doskonałości studiuje zaocznie chemię I często można zastać ją pogrążoną w podręcznikach i skryptach uniwersyteckich, co zresztą w najmniejszy nawet sposób nie koliduje z jej obowiązkami służbowymi.

Tak, jeśli powiedziałem „Ewa” przez sen, musiałem swemu głosowi nieświadomie nadać taką intonację, że Alina nie zapomni mi tego do grobowej deski i natychmiast rozpocznie dochodzenie.

— Babka znów wypila pół butelki koniaku — oświad-

czyła tymczasem, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Poczułem, że kamień spada mi z serca i energicznie złożyłem gazetę.

— Powinnaś zamykać na noc kredens na klucz — doradziłem.

— Nie pomoże, ma drugi dorobiony.

— To schowaj alkohol gdzie indziej.

— I tak wypatrzy. Najlepiej w ogóle nie kupować. Wstrzymałem się z repliką na zapowiedź wprowadzenia całkowitej abstynencji w naszym domu i dopiłem ostatni łyk lurowatej herbaty, która w trakcie jedzenia owsianki zdążyła zupełnie wystygnać.

Fakt faktem, że moja teściowa, pospolicie zwana „babką”, przeżywała właśnie w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat renesans pewnego upodobania z okresu młodości, to jest pociągu do kieliszka, przy czym zazwyczaj po kilku drinkach, wypijanych ukradkiem i w samotności, urządzała recital śpiewaczy, przypominający dla postronnych słuchaczy beczenie owcy, nie zmieniając nigdy repertuaru, w którym dominującą pozycję stanowiły skoczne piosenki z jej rodzimego regionu Opoczna. Poza tym odznaczała się niewyczerpaną wprost umiejętnością mówienia ludziom prawdy w oczy, coś w rodzaju: „Ale się pani ostatnio postarzała, powinna sobie pani zrobić operację kosmetyczną”, albo „Jak pan utył! Chyba ma pan otłuszczenie serca”, co sprawiało, że bywała komisyjnie zamykana na klucz w czasie wizyt znajomych. Tę przymusową izolację odbijała sobie na Alinie, którą obrała za cel najzjadliwszych uwag i docinków. Ja osobiście nie miałem nic jej do zarzucenia, poza tym, że blokowała jeden z trzech pokoi, z których składało się nasze mieszkanie typu lokatorskiego, co zmusiło mnie do zaanektowania loggii na warsztat pracy i gabinet recepcyjny.

Właśnie żwawo poderwałem się od stołu i sięgnąłem w przedpokoju po płaszcz nieprzemakalny, kiedy przykuł mnie do miejsca głos Aliny.

— Zapomniałam ci powiedzieć, że wczoraj po południu przysłała do ciebie depesza.

— Jaka depesza? — zapytałem bardziej samego siebie niż Alinę. Najbliższych krewnych raczej już pochowałem, a wszelkie wiadomości służbowe przychodziły na adres biura.

— Z Paryża — powiedziała przez zaciśnięte zęby Alina, zapalając papierosa.

W jednej chwili uświadomiłem sobie, że przecież mam stryjecznego dziadka w Paryżu, że mój rodzony dziadek był rdzennym Francuzem, a matka, którą zresztą zaledwie sobie przypominałem, jak przez mgłę, nosiła imię Charlotte, które złotymi zgłoskami wyryto na jej pomniku na Powązkach. O wszystkich tych koligacjach prawie już nie pamiętałem, zważywszy na fakt absolutnego milczenia francuskiej odnogi mego rodu przynajmniej od dwudziestu lat. Co prawda, podjudzony przez Alinę, napisałem kiedyś wylewny list do dziadka Mig nona, w cichej nadziei, że otrzymam zaproszenie do Francji, i wysłałem mu parokrotnie życzenia z okazji świąt i imienin, ale nie otrzymałem nigdy żadnej odpowiedzi. Wiedziałem, że dziadek, Jean-Pierre Mignon, był legendarnie bogatym facetem, byłym fabrykantem zapalek, słynącym w całej rodzinie z niepowszedniego skąpstwa i chciwości. Równie dobrze mógłbym spodziewać się zaproszenia od królowej Anglii, jak od niego. Toteż od dawna zrezygnowałem z wszelkich kontaktów z paryskimi krewnymi. Kto więc mógł wysłać do mnie depeszę? Byłem prawie pewny, że Jean-Pierre Mignon już nie żyje, gdyż według moich pobieżnych wyliczeń miałby obecnie co najmniej sto lat. A może to właśnie wiadomość o jego śmierci? Szansa, żeby przy tej okazji uczynił mnie swoim spadkobiercą, praktycznie nie istniała, gdyż otoczony był licznymi krewniakami w linii prostej i bocznej, nieustannie czyhającymi na jego śmierć, chyba żeby działał w stanie delirium tremens. Jednakże to niezmiernie ciekawa sprawa. Nagle oczyma wyobraźni ujrzałem swoją elegancką sylwetkę na tle apokaliptycznych wieżowców Defense, a następnie w

komfortowych wnętrzach Paryskiego Centrum Kongresowego i w uroczych zakątkach Lasku Bulońskiego. Poczulem prąd elektryczny przeszywający mnie od stóp do czubka głowy.

— I ty mi to dopiero teraz mówisz?! — ryknąłem, wracając do pokoju. Ponieważ ryczałem bardzo rzadko, i to w chwilach największego podniecenia, nie wróżącego nic dobrego dla otoczenia, Alina nieco zadrżała, ale natychmiast przybrała wojowniczą postawę i odwzajemniła mi się tą samą bronią, wrzeszcząc wniebogłosey.

— Nie będę na ciebie wyczekiwała do dwunastej w nocy, żeby ci zakomunikować o depezy! Ty się stale szwendasz nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim, a ja mam siedzieć w domu i nie spać, dopóki nie raczysz wrócić! Ja też pracuję!

— Nigdzie się nie szwendam! Wiesz, że miałem konferencję w sprawie eksportu zamszowych czółenek do Holandii.

— I dlatego tak od ciebie jechało alkoholem, że musiałam całą noc wietrzyć! Mam dosyć tych twoich cholernych butów! Odkąd zostałeś dyrektorem zupełnie przewróciło ci się w głowie!

— Przecież sama tego chciałaś! Stale suszyłaś mi głowę, że mało zarabiam, że nie awansuję!

— I tak nic z tego nie mam! Nawet nie możesz kupić głupiego Fiata 126 p!

— Ale już dostałem talon!

W tym momencie spoza drzwi drugiego pokoju wyjrzały dwa jednakowe, pyzate i piegowate oblicza naszych czternastoletnich bliźniaków Sławka i Jarka.

— Co to za wrzaski? Jak Boga kocham, w tym domu spać spokojnie nie można. W nocy babka urządziła koncert, a teraz wy się drzecie! — powiedział Jarek, ziewając od ucha do ucha.

— A potem ma się pretensje do człowieka o wyniki w nauce — zawtórował Sławek.

Nasi jednojajowi synowie mieli prawie identyczne twarze i te same upodobania: do piłki nożnej i do kosmonautyki, natomiast odznaczali się niepohamowanym wstrętem do zajęć szkolnych, uważając je za gwałt zadawany naturze. Pokój ich od góry do dołu zawieszony był ilustracjami wyobrażającymi przebieg lotów raket kosmicznych oraz podobiznami Herma-szewskiego i reprezentacyjnej drużyny piłkarskiej. Ponadto wszystkie stwory ludzkie, które przekroczyły dwudziesty piąty rok życia uważali za bezmózgich wapniaków.

Na widok naszych rozwścieczonych twarzy, pokiwali do siebie porozumiewawczo głowami.

— No powiedzcie chociaż, o co wam chodzi? — ziewnął z kolei Sławek, poprawiając spodnie od piżamy.

— Ojciec dostał depezę — oświadczyła, zgrzytając zębami Alina.

— Phi, wielka mi sprawa. I dlatego taki raban?

— Ale ta depeza jest z Paryża.

— To już jest coś. I co piszą? — zapytał Jarek.

Spojrzeliśmy na siebie bezradnie. Alina nawet spuściła głowę.

— Kiedy jeszcze nie wiemy — powiedziała prawie szeptem.

— Ludzie, bo nie wytrzymam! — zarechotał Sławek, a Jarek ze śmiechu złapał się za brzuch. — Z wami trzeba jak z małymi dziećmi. Dajcie ten świstek, bo go nie przeczytacie do sądneho dnia. Monsieur Sigismond Orczycki — sylabizował fonetycznie. — Varsovie, rue Koński Jar nr 410 m 108. Nie dam rady, to będzie po francusku, niech ojciec czyta.

— Dobrze — kiwnąłem głową potulnie, otwierając depezę. — „Zgodnie z ostatnią wolą pana Jean-Pierre’a Mignona, stop, proszę o przybycie do Paryża panów Zygmunta, Sławomira i Jarosława Orczyckich, stop, najpóźniej do godziny dziewiętnastej w dniu dwudziestego kwietnia bieżącego roku do rezydencji pana Mignona, Paryż, Avenue des Fleurs nr 15, stop”. Ależ to po polsku — przerwałem, za co zostałem skarcony gromkimi okrzykami oburzenia.

— Czytaj dalej! — warknęła Alina.

— „Osobista obecność konieczna, stop. Zwrot kosztów podróży zapewniony, stop. Podpisano: adwokat Antoine Loyal”.

Po tych słowach zapanowało przez chwilę milczenie, które przerwała Alina, oświadczając grobowym głosem:

— Dziadek Jean-Pierre Mignon oddał Bogu ducha.

— Hurra, hip, hip, hurra! — wrzasnęły jednocześnie bliźniaki. — Jedziemy do Paryża! Zaraz się pakujemy!

— Jak możecie cieszyć się w takiej chwili — skarciła chłopców Alina. — Przecież to pogrzeb, a nie wesele.

— Jedziemy do Paryża, jedziemy do Paryża — wyśpiewywał Jarek. — A to się Pięłowski zdziwi, chyba pęknie z zazdrości, a nasza historyca dostanie ataku szału. W sobotę mieliśmy być pytani z powtórki za cały rok.

— Spokój! — zawołałem dyrektorskim głosem, który nawet w mojej rodzinie robił pewne wrażenie. — Po pierwsze, nie wiem sam jeszcze, czy pojedę, mam jutro ważną konferencję w ministerstwie, po drugie...

— Chyba nie mówisz tego poważnie — przerwała mi Alina, purpurowiejąc aż do nasady włosów. — Przecież to jasne, że chodzi o spadek. Opamiętaj się człowieku! Być może raz w życiu trafia ci się naprawdę okazja zdobycia fortuny! Konferencja nie zając, nie ucieknie. Obejdą się tam bez ciebie!

— Tak, tak, na pewno jesteśmy spadkobiercami, odziedziczyliśmy milion franków, musimy jechać! — wykrzykiwały jeden przez drugiego bliźniaki.

— Po drugie — kontynuowałem niewzruszenie — nie wiadomo, czy zdąży się tak szybko załatwić formalności paszportowe.

— Zdąży się, zdąży się, tato! Spokojna głowa! — dogadywały chłopaki.

— Po trzecie, wcale nie jestem pewien, czy to my zostaliśmy spadkobiercami. Dziadek Mignon ma tylu krewnych, że to mało prawdopodobne. Niewykluczone,

że życzył sobie tylko, aby cała rodzina uczestniczyła w uroczystościach pogrzebowych.

— Jak to tato? Przecież z takiego błahego powodu nie ściągaliby ludzi z zagranicy. Tyle by na to pieniędzy wydawał? I jeszcze ten mecenas napisał: osobista obecność konieczna. To by bez nas go nie pochowali, czy jak? — przekonywał mnie Sławek. — Widocznie bardzo lubi Polaków.

— Nie zabierajcie w tej sprawie głosu — zgromiłem go.
— Nikt was nie pyta o zdanie.

Na progu pokoju ukazała się babka i chyłkiem pomknęła do kuchni.

— A ty wynajdujesz same trudności. Chcesz, żeby inni spadkobiercy cię ubiegli. Jak zwykle zupełnie nie dbasz o los swojej rodziny — rozpiekliła się znów Alina.

Babka wróciła z kuchni z dzbankiem mleka przytkniętym do ust.

— Babcię suszy — zauważył złośliwie Jarek.

— Co suszy, co suszy — odparowała babka, przełykając z gulgotem mleko. — Pali mnie zgaga. Mam nadkwasotę.

— Ładna nadkwasota. Przecież babcia wczoraj się porządnie zaprawiła. Całą noc babcia śpiewała:

„Dziś w Opocznie rżnie kapela,

Tańczą chłopcy, bo niedziela,

Wszystkie chłopcy jak te dęby,

Oj, Marysiu, daj mi gęby” — zachichotał Sławek.

— Cicho bądźcie, siusiumajtki — krzyknęła babcia. -
Nauczę ja was szacunku dla siwego włosa.

— Ale się babcia nieparlamentarnie wyraża — oburzył się Jarek. — Nie żadne siusiumajtki, tylko turyści zagraniczni. Jutro jedziemy do Paryża.

— Tere fere — powiedziała babka, przystając ze zdziwienia. — Do jakiego Paryża? Trzy mile za piec, a czwartą na piec. Nawet do Psiej Wólki nie pojedziecie. Prawda, Zygmysiu?

— Babka ma rację. Zostajecie w domu.

— Jak to tato? Co tata mówi? A nasz spadek? A os-

tatnia wola zmarłego?

— Na taką podróż trzeba sobie zasłużyć, a wy uczyście się niżej krytyki. Rozmawiałem z waszą nauczycielką historii. Jeżeli w sobotę nie odpowiecie chociażby na trójkę, wasza promocja do następnej klasy będzie zagrożona. W tej sytuacji nie ma mowy o żadnym wyjeździe.

— Tata to nie jest człowiek. Spadek chce tata stracić, czy co?

— Wystarczy, jeżeli ja pojedę. Jesteście niepełnoletni i ja będę was reprezentować. Wszystkie prawodawstwa świata przewidują, że ojciec jako ustawowy opiekun jest pełnomocnikiem dzieci.

— A może w Kodeksie Napoleona jest inaczej? — zatroskała się Alina.

— Niemożliwe. Zresztą podobno Kodeks Napoleona już nie obowiązuje.

— To nieładnie! To naruszenie praw człowieka i obywatela! Pogwałcenie Konstytucji! Brak szacunku dla woli zmarłego! — wykrzykiwały jeden przez drugiego bliźniaki.

— Koniec, kropka — zawyrokowałem. — A teraz marsz do szkoły, bo się spóźnicie.

— Sam sobie tata będzie winien, jak spadek przepadnie. Przecież wyraźnie wzywają panów Zygmunta, Jarosława i Sławomira. I jeszcze podróż fundują. Co z was za ludzie — użalały się bliźniaki, znikając z ociąganiem za drzwiami swego pokoju.

— To Zygmus naprawdę jedzie do Paryża? — zapytała babka, wysącżając z dzbanka ostatnią kroplę mleka.

— Naprawdę jadę — odpowiedziałem i spojrzałem z przerażeniem na zegarek. Od pół godziny powinienem już być w fabryce, na naradzie u naczelnego.

— To niech sobie Zygmus pofolguje, a dobrze. Niech sobie pójdzie na porno, na striptiz. Na placu Pigalle są takie lokaliki, że proszę...

— Co też mama mówi, nie wstyd mamie w tym wieku —

przerwała z oburzeniem Alina.

— A dlaczego ma mi być wstyd? Zygmus i tak święty, że z tobą może wytrzymać. Przecież od takiego pogrzebaczka jak ty, to tylko odcisków można dostać.

— Mamo! — zawyła Alina, ale dźwięk telefonu przerwał potok jej wymowy.

— To na pewno z biura — zawołałem z niepokojem, podnosząc słuchawkę. — Nie wiedzą, co się ze mną dzieje.

Dyrektor Kalinowski z zasady nie znosił najmniejszego spóźnienia i uważał je niemal za osobistą zniewagę. Poza tym ostatnio moje stosunki z dyrektorem były nieco napięte, miał bowiem obiekcje co do moich osiągnięć w zakresie pracy nad ulepszeniem uniwersalnego syntetyku do produkcji spodów obuwia o dźwięcznej nazwie „Irontax”. Istotnie, próby techniczne nie wypadły jeszcze zadowolająco, ale nie było w tym absolutnie mojej winy, lecz nieodpowiedniej jakości surowca użytego do produkcji. Tego naczelnym nie chciał w żaden sposób przyjąć do wiadomości. Należał do gatunku żelaznych i zatwardziałych bojowników, dla których praca powinna przewyżczać wszystkie przeszkody na ziemi i niebie, choćby się miało przy ich pokonywaniu paść trupem. Nic więc dziwnego, że na samą myśl o tym, co powie dyrektor Kalinowski na moją prośbę o udzielenie mi kilkudniowego zwolnienia na wyjazd, akurat w momencie ostatecznego finalizowania doświadczeń laboratoryjnych, cierpła mi skóra na karku.

— Słucham, Orczycki — wykrztusiłem ze ściśniętym gardłem.

— Mówi Okoniówna, dzień dobry panie dyrektorze — zadźwięczał głos, którego brzmienie sprawiło, że wszystkie moje myśli i uczucia poślizgły się hen, ku niebiańskiemu wyżynom zachwytu i upojenia.

— Dzień dobry, pani Ewo — powiedziałem gardłowym szeptem, jakbym nagle zachorował na bronchit, aby nie zdradzić przeżywanej emocji. — Proszę mnie

usprawiedliwić przed dyrektorem naczelnym, gdyż zatrzymała mnie w domu ważne sprawy rodzinne.

— Już to zrobiłam — oznajmiła sekretarka doskonałą swym koloraturowym sopranem. — Ja mam dla pana również ważną wiadomość: przysłała do pana depesza z Paryża. Przepraszam, że otworzyłam, ale myślałam, że to służbowa. Czy mam przeczytać jej treść?

Zrobiłem taki ruch głową, że Alina podskoczyła i przyklepiła się wraz ze mną do słuchawki.

— Tak, proszę. Chociaż zdaje się, że wiem, o co chodzi.

— „Zgodnie z ostatnią wolą pana Jean-Pierre’a Mignona, stop, proszę o przybycie do Paryża panów Zygmunta, Sławomira i Jarosława Orczyckich, stop...”

— Dziękuję bardzo, pani Ewo, ale identyczna depesza nadeszła do mojego domu — przerwałem. — Zechce pani raz jeszcze usprawiedliwić moją nieobecność, ale muszę natychmiast zacząć załatwiać formalności paszportowe.

— Może mogę w czymś pomóc? — głos Ewy zawibrował wzruszającym ciepłem i życzliwością.

— Na razie dziękuję. Koło trzynastej postaram się być w biurze.

— Dobrze, panie dyrektorze. Przekażę to dyrektorowi Kalinowskiemu.

— Słuchaj, sprawa jest naprawdę poważna — Alina złapała mnie za rękę, a rumieńce wystąpiły na jej policzki. — Oni tam widocznie nie mogą bez ciebie otworzyć testamentu. Ubezpieczają się na wszystkie strony. Czyś ty pisał dziadkowi, gdzie pracujesz?

— Skądże! Przecież ostatni raz przesłałem mu życzenia urodzinowe dziesięć lat temu.

— W takim razie ten adwokat musiał specjalnie się dowiadywać. Zygmunt, ty chyba jesteś głównym spadkobiercą i nasi synowie także. A może by jednak dla pewności chłopaki pojechały z tobą?

— Co to, to nie. Mają jeszcze czas na takie imprezy. I tak są rozpuszczeni jak dziadowskie bicze. Możesz być

spokojna, że w świetle prawa moja obecność będzie zupełnie wystarczająca, mogę działać w ich imieniu. A teraz, proszę cię, nie zatrzymuj mnie ani chwili dłużej. Muszę natychmiast pojechać na Kruczą po paszport.

— A nie zapomnij przywieźć kilku „świerszczyków” z Paryża — krzyknęła za mną babka.

W dniu dwudziestego kwietnia, o godzinie piętnastej, siedziałem w fotelu w samolocie pasażerskim Polskich Linii Lotniczych, odlatującym do stolicy Francji i zapinałem pas przed startem. Szczęśliwie przebrnąłem przez Scyllę i Charybdę skomplikowanych i drobiazgowych manipulacji papierkowych. Trzeba przyznać, że depesza mecenasa Loyala, objawiająca wolę dziadka, znakomicie, nieomal bez zakłóceń, utorowała mi drogę do natychmiastowego wyjazdu. Jako krewny zmarłego otrzymałem od razu paszport i wizę, a na twarzach załatwiających te sprawy urzędników prawie, że odczytywałem ubolewanie i ciche współczucie z powodu ciosu, jaki mnie dotknął.

W tej chwili czułem się tak lekko i swobodnie, jakbym się pozbył stukilowego ciężaru. Samolot zgrabnie odrywał się od ziemi, a tam w dole pozostawała fabryka, czółenka, mokasyny, kozaki, sandały, plany produkcyjne, nieulepszony „Irontax” dyrektor Kalinowski, Alina, dzieci i wszystkie kłopoty, na które za chwilę będę patrzeć z dystansu kilku tysięcy kilometrów. Czyż może być wspanialsze uczucie? Mimo woli poruszyłem ramionami, gdyż odniosłem wrażenie, że wyrastają mi autentyczne skrzydła, które uniosą mnie zaraz w międzyplanetarną przestrzeń, w krąg gwiazd i meteorów. Nie miałbym oczywiście nic przeciw temu, aby w tym niebosięznym locie towarzyszyło mi także pewne stworzenie o fiołkowych oczach, ale nie można wyzywać losu, i tak zgotował mi niebagatelną niespodziankę. Przy okazji próbowania mocy owych „skrzydeł”, potraściłem kogoś łokciem.

— Przepraszam bardzo — powiedziałem i natychmiast zaniemówiłem ze zdziwienia. Obok mnie, niedbale oparta o poręcz fotela, z figlarnym uśmiechem na ustach, siedziała Ewa Okoniówna. Ubrana w coś

błękitnego, co prawdopodobnie było kostiumem, ale mnie wydało się raczej szatą anielską, złote włosy miała spięte w koński ogon i rozsiewała niepokojący urok każdym spojrzeniem roziskrzonych oczu.

— Dzień dobry panie dyrektorze — powiedziała tak melodyjnie, jakby zagrała na flecie.

W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że to dyrektor Kalinowski zlecił jej czuwanie nade mną i pilnowanie w czasie tej podróży, abym nie popełnił jakiegoś fałszywego kroku, ale momentalnie odrzuciłem tę nedorzeczną myśl i zapytałem drżącym ze wzruszenia głosem.

— Pani także jedzie do Paryża?

Skinęła z uśmiechem głową, a ja indagowałem dalej.

— Służbowo, czy prywatnie?

— Jak najbardziej prywatnie.

Taki zbieg okoliczności był bardzo dziwny, ale ponieważ w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin wydarzyło się wiele niecodziennych rzeczy, uznałem obecność Ewy obok siebie za jeszcze jeden dar niebios.

— Czy jedzie pani na długo? Pani wybaczy, że tak wypytuję, ale wprost nie mogę uwierzyć, że jest pani przy mnie.

— Jadę prawdopodobnie na tak długo, jak pan.

A więc jednak — to sprawa Kalinowskiego. Ale w jaki sposób mógł tego dokonać? Zmarszczyłem brwi.

Roześmiała się głośno i wesoło.

— Najdziwniejsze, że jadę również tam, gdzie pan.

— Pani ze mnie kpi, Ewo.

— Ależ nie, absolutnie. Oboje jedziemy na pogrzeb dziadka Mignona, czyż nie tak?

Oślupiałem, замуrowało mnie na chwilę, aż wreszcie wykrztusiłem niezbyt inteligentnie.

— Dziadka Mignona? To pani go znała?

— Osobiście nie, choć tego bardzo żałuję. Tak się jednak składa, że dziadek Mignon jest naszym wspólnym dziadkiem.

Wydało mi się, że samolot zakołysał się gwałtownie, jakby

wpadł w próżnię, ale było to tylko złudzenie.

— To niemożliwe! — wykrzyknąłem. — Pani jest więc moją krewną?

— Najzupełniej autentyczną. Mamy wspólnego przodka w osobie Jean-Pierre'a Mignona.

— Ale chyba to nie jest bardzo bliskie pokrewieństwo?
— zaniepokoiłem się na serio. W żaden sposób nie mógłbym do tego prześlicznego stworzenia wykrzesać braterskich uczuć.

— Chyba jednak niezbyt dalekie. Wydaje mi się, że nasze matki były przyrodnimi siostrami.

— Skąd pani o tym wie?

— Interesowałam się trochę drzewem genealogicznym rodziny.

— I nic mi pani nigdy nie powiedziała?

— Po co? Mogłoby to zakłócić harmonię naszej współpracy.

— Ewo! To niesłychane! To zdumiewające! Nigdy bym nie przypuszczał. Niech mi pani zdradzi, jak pani do tego doszła.

— Widzę, że nie jest pan wtajemniczony w nasze sprawy rodzinne. Otóż brat Jean-Pierre'a Mignona, imieniem Zygmunt, tak jak i pan, a nasz wspólny rodzony dziadek, przyjechał przed drugą wojną światową do Polski, jako pracownik ambasady francuskiej, i zamieszkał w Warszawie. Przywiózł ze sobą żonę i córkę Charlotte, która po dojściu do odpowiedniego wieku poślubiła Polaka Stanisława Orczyckiego, również pracownika ambasady, a owocem tego związku jest pan. Zgadza się?

— Najzupełniej. Co jednak pani ma z tym wspólnego?

— Niech pan słucha dalej. Otóż nasz dziadek Zygmunt przekroczywszy już lat pięćdziesiąt, zakochał się w swojej sekretarce, Polce.

„Czyżby to było rodzinne?” — chciałem powiedzieć, ale w porę ugryzłem się w język.

— Krótko mówiąc, zaangażował się tak dalece, że

zaczął prowadzić podwójne życie, założył jakby drugą rodzinę, której niestety nie mógł zalegalizować.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że mieliśmy tak frywolnego dziadka — zauważyłem. — Ale gorąca miłość usprawiedliwia wszystko, jest silniejsza niż konwenanse.

— Jestem tego samego zdania — ciepły uśmiech Ewy wślizgnął się wprost do mego serca. — Jedno jest pewne, że urodziła mu się druga córka, którą nazwał Dominika.

— Bardzo dźwięczne imię — stwierdziłem — Niewątpliwie Dominika — to pani szanowna mamusia.

— Była moją mamusią — westchnęła Ewa. — Ale już dawno zmarła. Zadławiła się złotą koronką dentystyczną w czasie świąt Bożego Narodzenia. Tak, Dominika, córka Zygmunta Mignona z nieprawego łoża, wyszła w Polsce za mąż za Feliksa Okonia — technika-protetyką i powiła mu córkę Ewę.

— No dobrze, ale czy dziadek Mignon wiedział o morganatycznym związku swego brata?

— Tak, Zygmunt przywiózł do niego Dominikę. Mama odwiedziła go potem jeszcze kilkakrotnie.

— A więc niewątpliwie jesteśmy spokrewnieni — powiedziałem i mimo woli odsunąłem się, aby spojrzeć na Ewę innym okiem i sprawdzić, czy więzy krwi nie spowodowały jakiejś deformacji jej obrazu w moich oczach, ale ujrzałem to samo ponętne, śliczne stworzenie.

Smukła stewardessa z czarującym uśmiechem ustawiła przed nami tacę z wykwintnymi kanapkami i surówką.

— Musimy wypić bruderszaft — zdecydowałem, w cichej nadziei, że przypieczętujemy tę ceremonię braterskim pocałunkiem, i zamówiłem u stewardessy najlepsze francuskie wino.

— Stwierdzam u siebie kazirodcze instynkty — wyznałem po trzecim kieliszku. — Nigdy nie przyzwyczaję się do tego, że jesteś moją cioteczną siostrą, ale chyba to przy tym stopniu pokrewieństwa nie jest karalne.

Roześmiała się tak perliście, jak słowik, kiedy płucze

gardziolko poranną rosą i ujęła kieliszek małą, białą dłonią, zakończoną wiśniowymi paznokietkami.

„Mój Boże — roztkliwiłem się w duchu. — Jakie to kruche, wątłe i subtelne. Przez dwa lata ani jednym mrugnięciem oka nie zdradziła się, że jest kuzynką osoby bądź co bądź na kierowniczym stanowisku, a od roku członka dyrekcji, najprawdopodobniej aby nie być posądzoną o chęć wyjednania sobie protekcji. Jeśli będę mógł postaram się jej to wynagrodzić”.

Samolot już dawno wzbił się ponad chmury i mknął równo i rytmicznie w kierunku Paryża.

— Słuchaj, Zygmunt — powiedziała w pewnej chwili Ewa. — Czy nie wydaje się ci trochę dziwna treść tej depeszy. Nie ma w niej ani słowa o dacie pogrzebu dziadka i o jego śmierci. Dobrze, że nasze władze potraktowały ją jako wezwanie na pogrzeb. Poza tym nie wiadomo, dlaczego nasza osobista obecność jest konieczna.

— To samo zauważyli moi chłopcy. A więc otrzymałaś depeszę o takiej samej treści?

— Identycznej.

— W takim razie mecenas Loyal rozesłał wszystkim potencjalnym spadkobiercom jednakowe telegramy. Jednakże niewątpliwie chodzi tu o wykonanie ostatniej woli Jean-Pierre'a Mignona, a więc najprawdopodobniej o odczytanie testamentu. Tylko rzeczywiście redakcja depesz jest nieco zagadkowa.

Mówiąc to uświadomiłem sobie, że sugerowane przez Alinę szanse na głównych spadkobierców spadły do zera, jednakże w obecnym, podniosłym stanie mego ducha, nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia.

— Samolot ląduje na lotnisku Orły o godzinie siedemnastej. Powinniśmy jak najszybciej dotrzeć na Avenue des Fleurs. Czy wiesz, gdzie to jest?

— Jak wynika z planu Paryża, gdzieś w pobliżu Avenue Foch, w szesnastej dzielnicy.

W tej samej chwili dźwięczny głos stewardessy zaanonsował

w kilku językach europejskich, że zbliżamy się do stolicy Francji.

Rozdział II

Ostatnia wola Jean-Pierre'a Mignona

Czarnowłosa, kędzierzawy taksówkarz wioził nas przez ruchliwe, tętniące życiem ulice Paryża, pogwizdując pod nosem najnowszy przebój z repertuaru Gilberta Becaud. W ten ciepły, wiosenny wieczór miasto kipiało od zgiełku i wrzawy, tysiące mieszkańców oblegało kafajeki na chodnikach, jezdnie stanowiły ocean pojazdów, a na fasadach domów zaczęły już rozbłyskiwać kolorowe neony.

Avenue des Fleurs okazała się prawdziwą oazą ciszy i spokoju w wielkomiejskim rozgwarze. Już na pierwszy rzut oka można się było zorientować, że znalazły tu swą siedzibę wytworne, dostojne rezydencje należące do ludzi wiodących ekskluzywny żywot za złożonymi sztachetami ogrodów. Pałacyk naszego dziadka stał jeszcze bardziej cofnięty w głąb ulicy niż inne budynki, w wielu oknach paliło się światło, mimo ledwo zapadającego mroku. Czarne drzwi wejściowe, zaopatrzone w misternie rzeźbioną klamkę, ostro odcinały się od jasnych, prawie białych kolumn zdobiących front domu.

Naciśnięty dzwonek wywołał całą gamę melodyjnych dźwięków, lecz niepokojąco długo nie wywabiał nikogo z wnętrza budynku na nasze powitanie. Wreszcie, kiedy już prawie straciliśmy cierpliwość, drzwi uchyliły się i na progu ukazała się szczupła postać kobieca, oblepiona od stóp do głów czarnym trykotem. Twarz miała nieuszminkowaną, bezbarwną, za to ozdobioną niezmiernie długimi, sztucznymi rzęsami, spod których wybiegło ku nam przenikliwe, pytające spojrzenie. Po krótkiej obserwacji poruszyła małą głową, o gładkich, przylegających do skóry i spiętych na karku w węzeł platynowych włosach i powiedziała cichym, schrypniętym głosem.

— Kuzyni zapewne z Polski? Prosimy. Już wszyscy są na miejscu. Jestem Denise Fourieux, córka Catherine Mignon-Bonton.

Wyciągnęła zimną rękę, ledwo musnęła moją dłoń, i dodała.

— Ciotka Eliza de Biencourt — siostra dziadka chciałaby z wami porozmawiać.

Długi, szeroki korytarz, wyłożony drewnianą boazerią, oświetlały jasno płonące kinkiety. Wiele masywnych, ciemnych drzwi wiodło z obu jego stron do licznych pokoi. Z dała lśniły politurą schody, prowadzące na piętro.

— Wejdźcie, proszę — Denise nacisnęła klamkę z połyskującego mosiądzu. Mroczne wnętrze rozjaśniał nikły blask stojącej lampy. Na nasz widok z klubowego fotela powstała wysoka dama, o dostojnym wyglądzie, zapewne wypoczywająca po trudach podróży.

— Witajcie — powiedziała, wyciągając teatralnym gestem obie ręce. — Właściwie już tylko na was czekamy Mecenase Loyale, prawdziwego przyjaciela i opiekuna naszej rodziny — tu głębokie westchnienie poruszyło jej pierś — przyjedzie za piętnaście minut. Więc ty jesteś Zygmunt — wnuk mojego nieodżałowanego brata, a to na pewno Ewa — córka Dominiki.

Mówiła szybko i głośno, słowa, jak pociski, wypadały z jej jaskrawo uszminekowanych warg. Zapaliła drugą lampę stojącą na komodzie, żeby się nam przyjrzeć. W ten sposób mogłem zauważyć, że twarz Elizy pokrywa, jak szczelna maska, mocny maquillage w tonacji białoróżowej, którym często starsze osoby usiłują zamaskować braki w aparycji. Niezwykle gęste, miedziane włosy, upięte w wysoki kok, dodawały jej co najmniej dziesięć centymetrów wzrostu, czyniąc całą sylwetkę niezwykle, a nawet przygniatająco okazałą. Patrząc na nią, nie mogłem ukryć zdziwienia, gdyż na oko w żaden sposób nie można było rozszyfrować jej wieku: mogła mieć zarówno pięćdziesiąt, jak i osiemdziesiąt lat. Jednakże zważywszy na wiek nieboszczyka dziadka, jej rodzonego brata, musiała już

dźwigać dziewiąty krzyżyk na swoich barkach. Nagłym ruchem opuściła w dół dłonie, jakby dając tym do zrozumienia, że oficjalna część powitania została zakończona, po czym przybliżyła do oczu lorgnon.

— Jesteś podobny do swego dziadka, Zygmuncie — oświadczyła, po krytycznym zlustrowaniu naszych postaci. — Masz taki sam, jak on, garbaty nos. A ty wyglądasz na prawdziwą Francuzkę, Ewo. Nie brak ci paryskiego sznytu.

— Dziękuję, ciociu — powiedziała Ewa, wdzięcznie przechylając główkę.

— Nie ma za co. To nie twoja zasługa, tylko francuskiej krwi, która płynie w twoich żyłach, dzięki szaleństwu mego biednego brata. Yvette — zwróciła się do jakiejś osoby, tkwiącej milcząco za fotelem. — Zaprowadź Ewę i Zygmunta do ich pokoi. Niech zostawią bagaże i odpoczną przez chwilę. Tylko przyjdź zaraz po nich, żeby nasz kochany mecenas — tu znów potężne westchnienie przeszło ją na wylot — nie musiał czekać. Zbieramy się wszyscy w bibliotece.

Dziewczyna, która pojawiła się w kręgu światła, mogła mieć najwyżej osiemnaście lat. Ubrana była w luźny golf, który już na pierwszy rzut oka wydał mi się brudny i niechlujny, oraz wyświechtane dzinsy. Włosy częściowo potargane, a częściowo splecione w małe warkoczyki, upodabniały ją do dziwaczного stworu, niewiele mającego wspólnego z gatunkiem ludzkim. Błysnęły złośliwie rozbiegane oczy.

— Serwus, kuzynkowie — mruknęła i w dwóch susach wyskoczyła na korytarz. W tym samym tempie, przeskakując po dwa stopnie, pomknęła schodami na pierwsze piętro.

— Ty tu, a ty tu — wskazała drzwi umieszczone prawie naprzeciw siebie.

Pokój, do którego wszedłem, miał powierzchnię większą od mojego M-4 w Warszawie i to łącznie z loggią. Był właściwie muzealną salą pełną misternie rzeźbionych, czarnych mebli z hebanu. Szczególną uwagę zwracało ogromne łóże, wyglądające

jak szafa w pozycji leżącej, z baldachimem przytwierdzonym do sufitu. Na kominku płonął ogień, ale mimo to było chłodno, a ponadto mroczno, gdyż wielkie okna przesłaniały grube, aksamitne portiery. Z nawyku do porządku, wdrażanego mi nieustannie przez Alinę, wypakowałem śpiesznie małą, podróżną walizkę i włożyłem moje rzeczy do mebla, który najbardziej przypominał bielizniarkę.

— Jeżeli chcesz zrobić siusiu, to toaleta jest tam — usłyszałem nagle czyjś głos i natychmiast odwróciłem głowę.

Na dywanie, z nogami podwiniętymi po turecku i palcem wyciągniętym w stronę drzwi ukrytych za kotarą, siedziała Yvette i przyglądała mi się z zainteresowaniem.

— Dziękuję, że tak dbasz o moje potrzeby naturalne — powiedziałem, zaskoczony jej obecnością.

— To ty jesteś tym dyrektorem od butów, prawda? — ciągnęła.— I wyglądasz jak prawdziwy dyrektor, taki nadęty ważniak.

— Widzę, że ci się nie podobam, bardzo mi przykro. Słuchaj, moja miła, chciałbym zmienić koszulę. Myślę, że nie będziesz przy tym asystować. Chyba, że zawsze podglądasz mężczyzn.

— Ale ty jesteś komiczny. Przecież w tym domu nie ma mężczyzn. Tu mieszkają same stare pryki i niedołęgi: dziadek Jean-Pierre i dziadek Charles, którzy mają około stu lat, ta ofiara Cyryl Stupefait i Marcel, mąż Denise. On też ma bitą czterdziecę i w ogóle go nie znoszę. No i Alain — mój brat, a to się chyba nie liczy.

— Rozumiem. Idź w takim razie trochę do Ewy, a ja się przebiorę. Powiedz mi tylko, czy zwłoki dziadka Jean'a znajdują się w tym domu?

— To ty nic nie wiesz?! — Yvette prychnęła jak kot, na skutek czego wszystkie warkoczyki na jej głowie stanęły dęba. — Dziadek wyparował.

— Co chcesz przez to powiedzieć?! — zawołałem zdumiony. — Czy to oznacza, że dziadek nie umarł?! W takim razie po co zostaliśmy wezwani?!

— Nie denerwuj się tak bardzo. On chyba nie żyje. To znaczy wszyscy to podejrzewają, ale niewiedzą nic pewnego. Jeden mecenas Loyal, jego radca prawny, zna całą prawdę. Widzisz, dziadek dwa tygodnie temu zwolnił całą służbę, nawet starego lokaja George'a, który pracował w naszej rodzinie sześćdziesiąt dwa lata. Myśleliśmy, że to ze skąpstwa, bo on na starość zupełnie zdziwaczał. Stale liczył pieniądze i zaczął wydzielać kartofle do obiadu. Ale pewnego razu wsiadł do samochodu, odjechał i nie wrócił.

— Tak zupełnie sam?

— Tego też nikt nie wie, bo to było nocą. Od tej pory słuch po nim zaginął, ale mecenas zadepeszował kilka dni temu po moją babkę Elizę, najbliższą krewną dziadka, znajdującą się jako tako przy zdrowych zmysłach i zaraz zaczęli razem wzywać wszystkich spadkobierców. To chyba jasne, że dziadka gdzieś po drodze szlag trafił, no nie?

— Skąd mogę wiedzieć. To bardzo dziwna historia. Ale widzę, że ty zbytnio go nie oplakujesz. Czy nie byłaś do niego wcale przywiązana?

— lii tam... Stary sknera. Raz na rok, na Boże Narodzenie szczypał mnie w policzek, a przez cały rok traktował jak powietrze i nawet nie zatroszczył się nigdy o to, czy mam całe buty. Tu wszyscy lecą na spadek po nim. Jeden drugiego utopiłby w łyżce wody. Zostawił cholernie duży majątek i krewniacy ostrzą na niego zęby. Zaraz zobaczysz tę całą menażerię. Ja też chciałabym być tak bogata, żeby móc raz w życiu gwizdać na pieniądze. No, to ja już pójdę do tej Ewy. Właściwie nie lubię takich ładnych bab jak ona, w ogóle nie lubię kobiet.

Czupiradło zniknęło za drzwiami, a ja przebrałem się w pośpiechu. Nie upłynęło nawet pięć minut, gdy ukazało się znów na progu.

— Mecenas Loyal przyjechał. Idziemy.

Ewa czekała na mnie u szczytu schodów. W luźnej,

szafirowej sukni, spowijającej ją w taki sposób, że można się było tylko domyślać cudownej proporcji kształtów pod nią ukrytych, z masą jasnozłotych włosów spływających na ramiona i marzącym wyrazem fiołkowych oczu, wyglądała tak nieziemsko, jakby za chwilę miała pofrunąć na Olimp, aby przygrywać bogom, na harfie do biesiady. Poczulem nawet coś w rodzaju rozczarowania, że normalnie otworzyła usta i przemówiła jak zwykła śmiertelniczka.

— Czy słyszałeś już o tej zwariowanej historii z dziadkiem Mignonem? Właściwie nie wiadomo, co się z nim stało.

— Mam nadzieję, że zaraz się wszystko wyjaśni — odparłem, patrząc z przerażeniem na Yvette, która ryzykując złamanie karku zjechała po poręczy schodów i palcem wskazywała nam na w pół uchylone drzwi, spoza których dobiegał lekki szmer głosów.

Oczy wszystkich zgromadzonych osób, siedzących w głębokich fotelach, spoczęły na nas uważnie i badawczo. Jak na komendę przestano rozmawiać i w pokoju zaległa zupełna cisza.

Staliśmy niezdecydowani, co z sobą zrobić, ale z tej kłopotliwej sytuacji wybawiła nas ciotka Eliza, która powstała i majestatycznym krokiem zbliżyła się do wielkiego mahoniowego biurka, za którym siedział, przeglądając rozłożone dokumenty zażywny, siwowłosy jegomość.

— Drogi mecenasie — powiedziała, przy czym słowo „drogi” wyleciało z jej ust, jak wystrzał artyleryjski. — Pozwoli pan, że mu przedstawię naszych krewnych z Polski.

Mecenas podniósł się z fotela, rozjaśnił nalaną twarz profesjonalnym uśmiechem, i płynnym ruchem podał nam rękę.

— Bardzo mi przyjemnie — oświadczył i ponownie zagłębił się w papierach.

Usiedliśmy w różnych kątach pokoju, na wolnych miejscach. Yvette przycupnęła jak psiak na podłodze

obok mnie.

Nie mogłem powstrzymać ciekawości i rozejrzałem się dookoła. Niewątpliwie znajdowałem się w bibliotece, gdyż większą część ścian zajmowały ciemno- mahoniowe szafy, wypełnione masą książek, przeważnie w złoczonej oprawie. Z sufitu, pośrodku, zwisał rozjarzony światłem kryształowy żyrandol, a w rogu kołysał się oryginalny stwór, który natychmiast przyciągnął moją uwagę. Początkowo myślałem, że to jakieś oswojone zwierzę, ulubione przez ekscentrycznego dziadka, ale po krótkiej obserwacji, ku nieopisanemu zdumieniu, doszedłem do wniosku, że jest to człowiek — osobnik płci męskiej, ubrany w sweter i spodnie, balansujący w powietrzu, mniej więcej w taki sposób, jak kosmonauta znajdujący się w stanie nieważkości. Facet ten nieustannie zmieniał pozycję, czepiając się haków przytwierdzonych do ścian, najczęściej z głową zwieszoną w dół i nogami do góry. Zauważyłem, że ma rudawe, przeredzone włosy i długą, postrzępioną brodę. Spojrzałem na Yvette, szukając u niej wyjaśnienia tego dziwnego zjawiska, ale nie zwracała na mnie uwagi, gdyż zajęta była pokazywaniem języka młodemu chłopcu siedzącemu obok, z nogami przerzuconymi przez poręcz fotela, z wyraźną intencją zamanifestowania, jak dalece sobie poważa całe szacowne grono tu zebrane i gdzie mu to wszystko wisi. Chłopiec ten wydawał się niewiele starszy od Yvette i można było dostrzec pewne do niej podobieństwo w jego bladej, zapryszczonej twarzy. Miał na sobie aksamitne, fioletowe spodnie i żółtą kamizelkę, spod której wyzierało gołe ciało. Rękę trzymał na gitarze, zawieszanej u szyi i wydobywał z niej raz po raz jakiś zgrzytliwy dźwięk, na który ciotka Eliza reagowała druzgocąco-karcącym spojrzeniem. Z drugiej strony biurka stał wózek inwalidzki, w którym tkwił niesłychanie chudy staruszek, o wysuszonej, pergaminowej twarzy, w czepku-szlafmicy zawiązanym pod brodą, z oczyma nieruchomo utkwionymi w przestrzeni i żalonym uśmieszkiem na wargach. Domyśliłem się, że

jest to młodszy o kilka lat brat dziadka — Charles Mignon. Naprzeciw niego, w głębi fotela, siedziała trzydziestokilkuletnia, ciemnowłosa kobieta, o interesującej, dyskretnie umalowanej twarzy, ozdobionej parą błyszczących oczu, w czarnej, jedwabnej sukni. Obnażone jej ramiona otulały dwa, złączone ze sobą platynowe lisy, spływające fantazyjnie na podłogę. W momencie, kiedy na nią spojrzełam, rozmawiała szeptem z mężczyzną w czarnym garniturze, w okularach, o spiczastym nosie, wydatnie rysującej się czołowej łysinie i dużych mocnych rękach, które trzymał splecione na kolanach.

Po drugiej stronie pokoju rozsiadł się w fotelu mężczyzna po pięćdziesiątce, o wyglądzie starego matrosa, albo wojskowego na emeryturze, z fajką w grubych ustach. Obok niego, w pozycji półleżącej, spoczywała bardzo młoda dziewczyna, z wyrazem zubożenia w szeroko otwartych oczach i nieprzyjemnym grymasem na twarzy, być może jego córka, albo w każdym razie bliska krewna, gdyż przyglądał jej się z zaniepokojeniem i gładził po głowie. W najbliższym sąsiedztwie tej pary uplasowała się znana mi już Denise, w swoim ekstrawaganckim, czarnym trykocie, z bladą, nieuszminkowaną twarzą, a tuż za nią, oparty o ścianę, stał wysoki brunet, w zamszowym ubraniu koloru czekolady, opinającym ciasno nieco już rozlaną sylwetkę. Jego krucz włosy, demoniczne brwi, umalowane w sposób widoczny policzki, zrobiły na mnie silne, a nawet niesamowite wrażenie. Najbardziej dziwiło mnie, że nikt z tego towarzystwa nie zwracał najmniejszej uwagi na tajemnicze ewolucje „podsufitowe” niezwykłego stworzenia płci męskiej, tak jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego.

W pokoju panowała cisza, przerywana tylko brzękiem gitary nonszalanckiego młodzieńca, wszystkie oczy z coraz większym napięciem śledziły ruchy mecenasa, którego potężny, kartoflowaty nos zapadał się z minuty na minutę głębiej w otchłań papierów, a układ pochylonych ramion świadczył o całkowitym zaangażowaniu w czynności zawodowe.

— Chce mi się jeść, muszę natychmiast coś zjeść — zawołał nagle piszczącym głosem dziadek w wózku i zaczął się niespokojnie kręcić w różne strony.

— Niech Yvette się nim zajmie, bo nie da nam spokoju — zagrzmiała ze swego piedestału ciotka Eliza, przerywając zbożne i zachłanne wpatrywanie się w mecenasa.

— Pewno się posikał, stary nudziarz — warknęła pod nosem Yvette. Kocim ruchem zerwała się z podłogi, podbiegła do starca, z kieszeni obszernego szlafroka, w który był zakutany, wyciągnęła rogalik i wepchnęła mu do ust, który natychmiast zaczął mozolnie i z chrzęstem rozrywać bezzębnymi dziąsłami.

Antyczny zegar z brązu, stojący na marmurowym kominku, zadzwonił donośnym, śpiewnym głosem — siedem razy. Wówczas mecenas Loyal podniósł się z biurka, z namaszczeniem rozkładając przed sobą kartki papieru, a ciotka Eliza pospiesznie podsunęła mu karafkę z wodą.

— Proszę państwa — powiedział wolno i uroczyście, delektując się każdym słowem. — Mam zaszczyt odczytać list pana Jean-Pierre'a Mignona, skierowany do państwa, a stanowiący wyraz jego ostatniej woli w zakresie dyspozycji majątkiem ruchomym i nieruchomym.

Prawnik przerwał, gdyż w pokoju powstał lekki szmerek na skutek wzrostu napięcia do maksymalnych granic, następnie chrząknął i przybliżył papiery do nosa.

— „Moi mili spadkobiercy! Wbrew temu, czego oczekujecie, nie umarłem, żyję, a nawet cieszę się wyjątkowo dobrym zdrowiem. Ponieważ jednak istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, przynajmniej dla większości z was, abyście mnie kiedykolwiek zobaczyli, postanowiłem rozporządzić pozostałym po mnie majątkiem w sposób, który przedstawię poniżej. Wyobrażam sobie, jak jesteście ciekawi, co się ze mną stało. Zniknąłem przecież z tego świata w tajemniczych okolicznościach. Nie będę was dłużej trzymał w niepewności. Niedawno skończyłem dziewięćdziesiąt

osiem lat. Wiem, że zgodnie z prawami natury nie pozostało mi wiele życia, zdecydowałem więc wypowiedzieć wojnę tej nieubłaganej konieczności, dopóki jeszcze starcza mi sił i zanim nie przeistoczę się w taki wrak, jakim jest mój młodszy brat Charles. W tym celu kazałem się wystrzelić w przestrzeń kosmiczną. Obecnie znajduję się jeszcze na orbicie okołoziemskiej, a podróżą steruje mój przyjaciel — generał Claude Passager, dyrektor Ośrodka Kierowania Lotem Eurokosmosu w Compiegne.

Chyba zdajecie sobie sprawę, że tam w górze czas biegnie o wiele wolniej niż na ziemi. Kiedy wrócę za dwa lata, u was upłynie jeden wiek, a może więcej, nie ma więc praktycznie szansy, abym zastał was przy życiu, co przyznam szczerze, nie jest moim największym zmartwieniem. Natomiast dla mnie otwierają się niebagatelne perspektywy zobaczenia tego, czego nikt z was nie zobaczy. Ponieważ jednak na ziemi pozostawiam duży majątek, który będzie przynosił stałe dochody, postanawiam, aby w wyniku corocznych rozliczeń, dokonywanych przez upoważnione osoby, pod nadzorem mecenasa Loyala, przypadają one w częściach równych wszystkim krewnym, którzy przybyli w dniu 20 kwietnia bieżącego roku, na moje wezwanie, o godzinie dziesiętnastej do mojej rezydencji w Paryżu, przy Avenue de Fleurs nr 15. Udziały krewnych, którzy nie zgłosili się w wyżej oznaczonym dniu i godzinie, ulegają przepadkowi na rzecz pozostałych, również w częściach równych. To samo dotyczy przypadku śmierci którejkolwiek z osób, które będą partycypować w przychodach z mojego majątku, gdyż wówczas nie przejdą one na ich własnych spadkobierców, ale wyłącznie na rzecz pozostałych krewnych dzisiaj tu zgromadzonych. Co do samej masy spadkowej, składającej się z licznych fabryk i przedsiębiorstw, nieruchomości położonych w kilku stolicach europejskich oraz pieniędzy i innych walorów złożonych w bankach szwajcarskich i francuskich, których pełny i

szczegółowy wykaz ma adwokat Maurice Loyal, wypowiem się osobiście jutro, o godzinie szóstej rano, za pośrednictwem transmisji telewizyjnej z kosmosu, którą będziecie mogli obejrzeć na ekranie telewizora w mojej sypialni. Pamiętajcie jednak, że nikt obcy, spoza kręgu rodziny, nie może w niej uczestniczyć, to jest warunek, którego nie wolno wam przekroczyć. Oznajmiam, że ci z was, którzy zastosują się do moich poleceń, odziedziczą w przyszłości również i wyżej wymieniony majątek. Ponadto zarządzam, aby wszyscy wzięli udział we wspólnej kolacji o godzinie dwunastej w nocy, w moim domu przy Avenue des Fleurs. Przygotowanie jej powierzam mojej siostrze Elizie de Biencourt. Nadmieniam, że niestawiennictwo na kolację spowoduje wykluczenie z grona spadkobierców. Od powyższego warunku zwalniam jedynie Cyryła Stupefaita.

Ponieważ każdy z was, w wyniku rozdziału przychodów, stanie się człowiekiem zamożnym, dom mój, przy Avenue des Fleurs nr 15, przeznaczam na Ośrodek Hodowlano-Doświadczalny dla gadów beznogich, najmilszych i najwierniejszych moich towarzyszy. W związku z tym wszystkie osoby tam zamieszkujące muszą się bezzwłocznie wyprowadzić, z wyjątkiem wyżej wzmiankowanego Cyryła Stupefaita, którego swoista patologia wymaga specjalnego dostosowania do otoczenia.

List mój należy traktować jako rozporządzenie ostatniej woli. Wykonanie jej powierzam zaś z całkowitym zaufaniem doświadczonemu prawnikowi. A więc, moi mili, do zobaczenia i do usłyszenia. Podpisano — Jean-Pierre Mignon”.

Mecenas skończył, nalał sobie wody do szklanki i upił parę łyków. W pokoju zapanowała cisza, w której czujne ucho wyłowić by mogło przyspieszone podnieceniem oddechy i nerwowe połykanie śliny.

— Chciałem jeszcze dodać — adwokat ponownie zabrał głos — że wszystkich szczegółowych informacji dotyczących podziału dochodów i ich wysokości będę mógł już jutro państwu udzielić w mojej kancelarii przy

Place de la Concorde.

— Panie mecenasie, mam nadzieję, że zaszczyci pan nas swoim towarzystwem na dzisiejszej kolacji — ciotka Eliza pochyliła nad łysiną prawnika kunsztowną fryzurę i błagalnie złożyła ręce na piersi.

— Dziękuję bardzo, droga pani, ale w żadnym wypadku nie będzie to możliwe. Prawdopodobnie całą noc spędzę na przygotowywaniu obrony Jacusia-Rozpruwacza, słynnego mordercy kobiet po siedemdziesiątce, którego proces rozpoczyna się jutro rano.

Dalszą wymianę duserów i grzeczności pomiędzy mecenasem i ciotką zagłuszył hałas odsuwanych gwałtownie foteli. Wstając z miejsca pomyślałem, że na skutek nieobecności Sławka i Jarka straciliśmy na pewno duży majątek i że w końcu szczeniaki miały rację, napierając się na tę podróż, ale nie miałem czasu na dalsze medytacje na ten temat, gdyż nieomal nad samym uchem usłyszałem spokojnie brzmiący męski głos.

— Zdaje się, że dziadek Mignon nie pozwoli nam przez całą dzisiejszy noc zmrużyć oka. Chyba nie warto się będzie kłaść spać. Przepraszam, kuzynie, czy nie studiował pan czasem na uniwersytecie w Lyonie?

Przedem mną stał wysoki mężczyzna w czarnym ubraniu, o wydatnej łysinie czołowej i dużych rękach. To on przedtem rozmawiał z ładną szatynką w lisach. Miał wygląd znużonego życiem intelektualisty, którego nic już w życiu nie może zaskoczyć, poza natychmiastowym końcem świata. Na jego cienkich wargach błąkał się lekki uśmiezek.

— Nie, nigdy dotąd nie byłem we Francji. Ukończyłem Politechnikę Warszawską.

— A! To pan reprezentuje polską odnogę naszej rodziny. Byłem niedawno na wycieczce w Warszawie. Bardzo tam romantycznie: Starówka, Łazienki, Szopen, koncerty przy świecach... Przyznam, że kobiety macie zachwycające, mają typ urody, który mnie bierze: długie nogi, aż po pachy, włosy koloru dojrzałego zboża, wdzięk w poruszaniu. Prawie się zakochałem w jednej studentce Akademii Sztuk Pięknych. Chodziła w malowniczych,

kolorowych szatach i miała posągowe kształty. Nazywała się Christine. Krysza — dodał, śmiesznie zmieniając brzmienie tego imienia. Ta dziewczyna, która z panem weszła, trochę mi ją przypomina. Czy to też Polka?

— Tak — przytaknąłem, choć ten temat nie bardzo mi odpowiadał. Stanowczo nie lubiłem, jak inni mężczyźni interesowali się Ewą.

— Myślę, że czas, abyśmy się sobie przedstawili. Jestem Paul Amoureux. wnuk Jean-Pierre a Mignona, a bliżej syn jego zmarłej córki Brigitte, jeżeli panu to coś mówi. Jestem doktorem medycyny. Na stałe mieszkam w Lyonie. Ja i moja siostra Marie-Louise, która osiedliła się w Nantes, przyjechalśmy na to dziwaczne wezwanie. A propos, jak się kuzynowi podoba jego ostatnia wola?

— Jestem mocno oszołomiony tym wszystkim. Szczerze mówiąc, byłem pewny, że jadę na pogrzeb. Nigdy bym się nie spodziewał takiego obrotu sprawy.

— Widać, że kuzyn nie zna naszego zacnego dziadka. Ja ostatnie odwiedzałem go dość często. To oryginał, egocentryk, jeżeli nie sadysta. Kiedy odebrałem depeszę, od razu wiedziałem, że to jakieś oszustwo.

— Czy nie jest jednak szaleństwem w jego wieku wyruszać w podróż kosmiczną? Przecież praktycznie równa się to samobójstwu.

— Niewątpliwie, ale w tym szaleństwie na pewno jest metoda. On ma niesłychane zdrowie. Przy dzisiejszych osiągnięciach techniki, możliwe jest, że wróci cało na ziemię za sto lat.

Poszukałem wzrokiem Ewy, ale już wyszła z pokoju. Mimo woli zawadziłem spojrzeniem o dziwadło wiszące u sufitu na kształt nietoperza. Drgnąłem z obrzydzenia.

— Czy może mi pan wyjaśnić — zapytałem z nutą podniecenia — co to znaczy? Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś mógł się utrzymać w tej pozycji. Czy to żyjący człowiek?

— Kuzyn — doktor uśmiechnął się wyrozumiale. — Przede wszystkim mów mi „ty” — oświadczył kordialnie. —

Jesteśmy przecież spokrewnieni. To jest Cyryl Stupefait, mój cioteczny brat, istotnie niezwykle przypadek w historii medycyny, którym interesują się naukowcy całego świata. Całkowite zaburzenie zmysłu równowagi, odwrotne położenie błędnika, odporność na grawitację ziemską. Jednym słowem, może wyłącznie, mówiąc językiem potocznym, żyć do góry nogami, poza małymi sporadycznymi przerwami. Od najwcześniejszego dzieciństwa mieszka w tym domu. Jego matka, córka dziadka, urodziła go przedwcześnie w samolocie i tamże zmarła, kiedy samolot zbliżał się do lądowania. Niewykluczone, że ma to jakiś związek z tego typu patologią. Dziadek w gruncie rzeczy nie znosił jego widoku, ale trzymał go u siebie i kazał mu zainstalować w kilku pokojach specjalne haki. Służą mu do odpoczynku i do snu.

W tej chwili przeszedł obok, potracając mnie przez nieuwagę łokciem, mężczyzna o wyglądzie matrosa. Prowadził pod rękę ową młodą dziewczynę, którą gładził po głowie i czynił to z taką pieczołowitością, jakby spełniał misję swego życia, a wszystkie inne sprawy, poza tą jedną, nie miały dla niego żadnego znaczenia. Dziewczyna trzęsła głową o długich, tłustych włosach. Szła niemrawo, mocno kulejąc.

— Oto wzniosły przykład miłości ojcowskiej. Siostrzeniec Mignona, emerytowany major, uczestnik Ruchu Oporu, Francois Dalentin i jego upośledzona córka Jacqueline. Przechodziła podobno chorobę heinemedina, a ponadto od urodzenia jest niemową, ale ojciec wielbi ją jak bóstwo. Co prawda, do niedawna nikt nie wiedział o jej istnieniu, gdyż wujaszek trzymał ją w ukryciu, lecz ostatecznie nie można się temu dziwić. Ale, czy znasz kuzynie moją siostrę Marie-Louise?

— Nie miałem dotąd przyjemności.

— A więc poznajcie się. Marie — pozwól: oto nasz kuzyn z Polski, nie pamiętam imienia.

— Zygmunt. Zygmunt Orczycki.

W mojej dłoni znalazła się drobna ręka, promieniująca przyjemnym ciepłem, znad różowego dekoltu lypnęły ku mnie

paciorkowe, szklane ślepia szcepionych ze sobą lisów, a brązowe, aksamitne oczy ich właścicielki poraziły mnie ostrym blaskiem.

— Bardzo mi miło — powiedziała niskim, melodyjnym, trochę jakby rozwleczonym głosem. — Czy kuzyn widział już terraria dziadka?

— Na pewno nie, Marie-Louise. Przecież Zygmunt jest tu po raz pierwszy, nie miał na to ani czasu, ani okazji. Chyba nawet nie wie, że dziadek Jean, zapalony miłośnik i hodowca gadów, zgromadził w podziemiach tego domu ogromne zbiory węży różnych gatunków, w tym dużo jadowitych. Od lat sprowadzał je specjalnymi samolotami z zagranicy, sam również kilkakrotnie w tym celu był w Indiach. To jego zbieractwo przeszło z czasem w manię. Większość czasu zaczął spędzać w towarzystwie pytonów i kobr. Oczywiście na takie dziwactwo mógł sobie pozwolić tylko milioner w jego stylu. Ale, istotnie, kuzyn powinien je zobaczyć. Marie jest nimi zafascynowana. Jeżeli tylko kuzyn ma ochotę, to natychmiast służę za przewodnika. Możemy tam zaraz iść.

— Oczywiście, to jest bardzo interesujące — odparłem, chociaż wolałbym stokroć bardziej spędzić następne godziny, dzielące nas od kolacji, w towarzystwie Ewy.

— Marie, czy pójdiesz z nami? — zapytał doktor swoją siostrę.

— Nie, Paul — powiedziała, przeciągając się leniwie, aż lisy zadrżały na jej piersi. — Idźcie sami, jestem trochę zmęczona.

Do podziemi pałacyku zjechaliśmy windą, wyglądającą jak hermetycznie zamknięte pudełko. Ciemne, kręte korytarze, rozjaśnione nikłym blaskiem żarówek, prowadziły do ogromnej sali o łukowatych, ostrych sklepieniach, podpartych masywnymi kolumnami. Paul przekreślił taster i silne, ale drżące światło zalało całe wnętrze. Po jednej stronie spostrzegłem duże, białe skrzynie podobne do lodówek, pośród których największa, ustawiona w pozycji poziomej, o przezroczystej pokrywie,

wyglądała jak wielka, monstualna trumna.

— To są chłodnie dziadka Mignona — objaśnił Paul, widząc zdumienie w moich oczach. — W tej chwili nieczynne. Przed podjęciem decyzji o podróży w kosmos, miał zamiar dać się zamrozić, również na sto lat, w sąsiedztwie swoich węży, zapewne w nadziei, że w następnym wieku życie ludzkie będzie można przedłużać w nieskończoność. Jak widać, wypowiedział twardą walkę śmierci. A oto terraria z węzami.

Szklane, widmowe gabloty ciągnęły się wzdłuż pozostałych ścian. Do każdej z nich przytwierdzona była metalowa tabliczka z nazwą rezydujących wewnątrz okazów. Kilka wypełniała woda, gdyż przebywały w nich węże morskie, w pozostałych tkwiły nieruchomo najróżnorodniejsze gatunki gadów, dusiciele-boa i pytony, pochodzące z tropików w terrarium ze specjalną instalacją podgrzewczą, potężna anakonda, australijskie węże, siejące grozę samą nazwą: tygrysy, czarne węże, tajpany i żmija-śmierć, poza tym grzechotniki, a dalej groźnica niema, grot lancy, żararaka, władca lasu i inne. W samym środku zauważyłem terrarium z napisem „kobra królewska”. Zwinięty gad poruszył się pod wpływem światła i podskoczył z sykiem do góry, objawiając niezadowolenie, że został mu zakłócony spokój. Obok kobra azjatycka zademonstrowała kaptur ozdobiony wzorem z łusek, zbliżonym w kształcie do okularów. Cała ta galeria wzbudziła we mnie gwałtowną odrazę. Wydało mi się wręcz nieprawdopodobne, aby można było znajdować przyjemność o obcowaniu z tymi stworzeniami.

Paul Amoureux najwidoczniej to odczuł, gdyż powiedział z uśmiechem.

— Jak widzę, kuzyn nie jest zachwycony ulubieńcami naszego dziadka. A jednak hodowla węży stanowiła jego największą pasję. Odkąd zmarły mu trzy córki, odizolował się prawie zupełnie od świata i oddał kultowi tych zwierząt. Podobno kilkakrotnie jeździł do indyjskiej wsi Rampur-Tikri, aby nauczyć się sztuki zaklinania pytonów i kobr oraz brać udział w tradycyjnym obrzędzie jej mieszkańców na cześć węży, połączonym ze składaniem ofiar. Ja w pewnym stopniu go

rozumieć. Na przykład niesłychanie fascynuje mnie kobra królewska. W jej oczach jest coś niezwykłego, urzekającego, jakby tajemnica wszechbytu.

Pochylił się nad terrarium i wyciągnął ręce. W migotliwym oświetleniu płynącym z niewidzialnego źródła, wysoki, czarny i nieruchomy, wydał mi się nagle kapłanem jakiegoś tajemniczego, niesamowitego obrzędu. Woląłem nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby w przypiływie jakiejś religijnej egzaltacji otworzył zamki terrarium. Ale było to tylko złudzenie, które trwało ułamek sekundy.

— Chodźmy stąd — mruknął. — Nie jest bezpiecznie tu przebywać. Mógłbym popaść w taki sam nałóg, jak dziadek i zakochać się w kibrze.

Poczułem znaczną ulgę, kiedy wydobyliśmy się z płataniny podziemnych korytarzy na powierzchnię. Amoureux pożegnał mnie z ukłonem przed swoim pokojem.

Zapukałem do pokoju Ewy, ale widocznie nie było jej u siebie, gdyż odpowiedziała mi cisza. Za to na moim łóżku, na wzburzonej aksamitnej kapie, leżała Yvette i z zapalem obgryzała paznokcie.

— Co ty tu robisz? — zapytałem ze zniecierpliwieniem. — Czyżbyś zamierzała ze mną zamieszkać?

— Nie pleć — warknęła. — Przyszłam, bo uważam cię za jedyne go człowieka z całej tej zgrai, z którym można po ludzku porozmawiać.

— Widzę, że nie jesteś zbyt wysokiego mniemania o swoich krewnych — powiedziałem, sadowiąc się z rezygnacją w fotelu, gdyż czułem, że prędko jej się nie pozbędę. — Nie wiem, co takiego masz im do zarzucenia. Na przykład, twoja babka Eliza — to urocza starsza pani ze staroświeckim wdziękiem w obejściu, którego już dziś się nie spotyka.

Warkoczyki na głowie Yvette stanęły nagle dęba, a ona sama sturlała się z łóżka na podłogę.

— Nie ma gorszej od niej więdźmy! — wrzasnęła. — Wiesz, ilu ona miała mężów? Pięciu! Samych adwoka-

tów! Wszyscy umarli na zawał serca, bo ich zdręczyła, żeby odziedziczyć po każdym majątek. Z jednym z nich miała mego ojca Yvesa, ale podrzuciła go swojej teściowej na wychowanie. Był to straszny cherlak, chory na płuca. Ożenił się też z gruźliczką i oboje szybko wykitowali, pozostawiając mnie i Alaina, kiedy byliśmy zupełnie małymi dziećmi. Wtedy babka umieściła nas u dziadka Mignona, który bał się kompromitacji, jaką wywołałby fakt, że jego bliscy krewni zdechli z głodu na ulicy.

— Przedstawiasz to bardzo obrazowo, ale czy mocno nie przesadzasz? Przecież sama przed chwilą twierdziłaś, że babka dziedziczyła po swoich mężach. Nie musiała więc być biedna.

— Co z tego, kiedy stale zgrywała się w ruletkę. Wszystko przepuła w Monte Carlo. A potem zarzucała sidła na nową ofiarę. Teraz usiłuje omotać mecenasa Loyala, który parę lat temu owdowiał. Czy zauważyłaś jak przewraca do niego oczami, aż się mdło robi?

— Ile właściwie twoja babka ma lat?

— Osiemdziesiąt z okładem, ale stale robi sobie operacje kosmetyczne, żeby się odmłodzić. Za uszami, pod peruką, ma kupę różnych blizn. Raz mało mnie nie zabiła, kiedy ją podejrzałam rano przy robieniu toalety. Wyobrażam sobie, jak dzisiaj się wścieka. Cały czas miała pewność, że jako najbliższa krewna dziadka będzie główna spadkobierczynią, tylko się trochę bała, żeby jej stary Charles nie popsuł szyków.

— A cóż ten dziecienny staruszek może jeszcze zrobić?

— Ty jeszcze go nie znasz. Sika pod siebie, a za babami aż piszczy. Wszystkie pielęgniarki szczypał po tyłkach i kazał sobie angażować same grube. Zawsze groził, że jak będzie miał pieniądze, to się zaraz ożeni. I mógłby to zrobić, choćby na złość babce. Słuchaj, jak myślisz, czy ja będę bogata?

— Dobrze nie wiem, ale sądząc po tym, co mówił

mecenas, to tak.

— Jak to fajnie! Nareszcie się odegram! Całe życie byłam czymś pomiotłem, musiałam się stale wysługiwać. Stary Mignon raz w życiu okazał się człowiekiem. Wszystkim dał jednakowo! Z przyjemnością tym paskudnym podlizusom, którzy chcieli przekabacić go na swoją stronę, powydłubywałabym oczy.

— Ale masz makabryczne pomysły! Wiesz, że ty mnie przerażasz. Jesteś jeszcze taka młoda, prawie dziecko, a wydaje się, że nienawidzisz wszystkich ludzi, z którymi miałaś kiedykolwiek do czynienia. Jestem pewny, że mylisz się w ocenie swoich krewnych. Przed chwilą rozmawiałem z doktorem Amoureux i jego siostrą. Sprawili na mnie bardzo przyjemne i dodatnie wrażenie.

— Ale z ciebie naiwniak, dyrektorku. Paul i Marie-Louise już od lat czyhają na śmierć dziadka. Ostatnio stale tu przyjeżdżali. Są tak fałszywi, że aż wstrętni. Okropnie nienawidzą się z moją babką. Ona mówi, że Paul, który jest ginekologiem, wpadł na niedozwolonych zabiegach i musiał na dłuższy czas zawiesić praktykę lekarską, a jego siostra, pod pokrywką domu mody, prowadziła jakieś ciemne interesy. Handel narkotykami, czy coś takiego. Rok temu zwinęła cały majdan, bo jej policja deptała po piętach.

— Słuchając ciebie należałoby dojść do wniosku, że cała nasza rodzina składa się z samych degeneratów i przestępców. Trudno, nie mogę w to uwierzyć.

— Jeszcze sam się przekonasz, że to święta prawda. Na przykład Marcel — mąż Denise, ten taki gruby, czarny, wymalowany. Wygląda jak diabeł. Kilka lat temu był zamieszany w sprawę o zabójstwo piosenkarki kabaretowej, jako jeden z głównych podejrzanych. W końcu zwolnili go z braku dowodów, ale nie dałabym trzech groszy za jego niewinność. Całe życie nic nie robi, tylko żyje za cudze pieniądze. Denise przez długie lata tańczyła w nocnych lokalach i tam go gdzieś wytrzasnęła. Wyszła za niego za mąż i ciężko pracowała

dopóty, dopóki nie zachorowała na płuca. W ostatecznej nędzy zwróciła się do dziadka o pomoc. Dziadek wziął ich do domu przez pamięć na swoją najukochańszą córkę Catherine — matkę Denise, ale odmówił stanowczo łożenia na utrzymanie Marcela. Wtedy Denise zaczęła znów występować w night-clubie z jednym iluzjonistą po to, żeby ten nierób mógł się wylegiwać do południa w betach. Teraz pracuje w „Czarnym Baranie” na placu Pigalle. Ma taki mrozący krew w żyłach numer: kładzie głowę pod gilotynę z prawdziwym ostrzem, ostrze spada, a głowa Denise pozostaje na swoim miejscu. Wiesz co? Musisz koniecznie to zobaczyć. Mam świetny pomysł! Zabiorę ciebie i tę twoją Ewę, bo pewnie się bez niej nie ruszysz, do „Czarnego Barana” Tam jest całkiem fajnie. Striptiz, ruletka, haszysz, najzgrabniejsze dziewczyny w Paryżu, na pewno będzie ci się podobać. Występ Denise jest przed głównym programem, już o dziesiątej wieczór. Co ty na to?

— I wpuszczają tam takie smarkule jak ty?

— Też pytanie! Byłam tam już kilkadziesiąt razy. Zaprzyjaźniłam się z jednym portierem Murzynem. Zawsze mogę mieć stolik. Więc jak, idziemy? Nic was to nie będzie kosztowało.

Propozycja, sądząc ze słów Yvette, była wcale atrakcyjna, skinąłem więc głową na znak zgody. Ostatecznie, kto nie jest ciekaw, jak wygląda życie Paryża „by night”.

— Bądźcie, gotowi za pół godziny. Ja tymczasem pójdę uruchomić wóz. Spotkamy się w ogrodzie przy garażu.

Rozdział III **„Czarny Baran”**

— Proszę — powiedziała Ewa, kiedy zapukałem do jej pokoju.

Stała przed wielkim, owalnym lustrem w złożonych ramach i czesała włosy.

— Dobrze, że przyszedłeś, mam ci bardzo dużo do zakomunikowania. Rozmawiałam z kilkoma osobami i zrobiłam kilka ciekawych spostrzeżeń.

— A ja mam dla ciebie szalową propozycję. Yvette zaprosiła nas do autentycznego, paryskiego nocnego lokalu, gdzie nasza miła kuzynka Denise występuje w mrozącym krew w żyłach numerze rozrywkowym, polegającym na ścinaniu jej głowy przez gilotynę. Jak się zapatrujesz na taki wypad?

— Ach, to może być bardzo interesujące. Oczywiście, że pójdę. Ale, pamiętaj, że musimy się stawić punktualnie o dwunastej w domu, nie możemy się ani minuty spóźnić. Zresztą ja powinnam być nawet dużo wcześniej, bo obiecałam pomóc ciotce Elizie w kuchni.

— Więc zawarłaś już bliższą znajomość z tym rodzinnym gigantozaurusem? Ewo, jesteś niezwykła. Jak to się stało?

Odwróciła nagle spoważniałą twarz o pociemniałych, rozszerzonych oczach.

— Słuchaj, tu się dzieją bardzo dziwne rzeczy. Chcę, żebyś o tym wiedział. Przynajmniej ja to tak odbieram. Uważam, że musimy się mieć na baczności.

— Zaczynasz mnie przerażać. Mów, proszę, o co chodzi.

— Być może są to tylko moje odczucia, ale jeden fakt jest na pewno zastanawiający. Szłam korytarzem na drugim piętrze, do gabinetu dziadka, skąd obiecałam przynieść pewną książkę Cyrylowi.

— Czyżbyś zdążyła się już zaprzyjaźnić z Cyrylem?

— Nie przerywaj; o tym ci powiem później. Tam jest bardzo puszysty chodnik, który absolutnie głuzy kroki. Właśnie otwierałam drzwi do gabinetu, kiedy zobaczyłam dwie osoby podążające w przeciwną stronę. Był to Francois Dalentin i jego córka. Nie widzieli mnie, przynajmniej tak mi się wydaje. I wiesz, co ujrzałam na własne oczy? On ją popychał, brutalnie, jak zwierzę, a potem wciągnął za włosy do pokoju i kopnął. Czy to nie straszne? Ta dziewczyna nie wydała żadnego jęku, nawet

nie pisnęła. A przecież przed kilkunastoma minutami odgrywał rolę najbardziej kochającego i oddanego ojca.

— To rzeczywiście bardzo dziwne.

— Teraz powiem ci o Cyrylu. Wbrew pozorom, to wcale niegłupi facet. Zapytałam go, czy mogę mu być w czymś pomocna i zaczęliśmy rozmawiać. Okazuje się, że jego choroba nie jest nieuleczalna, wymaga tylko milionowych kosztów, kilkakrotnych operacji, które musieliby wykonać najsłynniejsi chirurdzy Stanów Zjednoczonych, specjalnej aparatury itd. Dziadek Mignon nie miał zamiaru wydać na to ani centyma. Cyryl marzy o wielkich pieniądzach, które umożliwiłyby mu powrót do normalnego życia, a nawet o miłości. Nie chce pozostać w tym domu, pragnie kupić willę nad morzem Śródziemnym i w niej zamieszkać. Odniosłam wrażenie, że nienawidzi swoich krewnych za to, że rozmyślnie nie starali się go wyleczyć.

— To istotnie bardzo wstrząsająca historia, naturalnie jeżeli znajduje pokrycie w prawdzie. Paul Amoureux, który jest lekarzem, twierdzi, że przypadek Cyryla jest niepowtarzalny w dziejach medycyny i nie rokuje żadnych szans wyleczenia.

— Słyszałam, że wspólnie z Paulem zwiedziłeś terraria dziadka.

— No to wiesz już o wszystkim. Kto ci o tym powiedział?

— Jego siostra Marie-Louise. Zaprosiła mnie na spacer po ogrodzie. Jest bardzo piękna, nie uważasz? Ma ogromne, niesamowite oczy. Powiedziała mi mnóstwo komplementów, że lubi takie smukłe, zgrabne blondynki jak ja, że byłabym idealną modelką w jej domu mody. W pewnej chwili objęła mnie ramieniem i zdziwisz się pewno, ale nagle odczułam strach. Wydało mi się, że lisy na jej szyi ożyły i za chwilę rzucą się na mnie, żeby mnie zagryźć. To bardzo głupie, prawda? Nigdy w życiu nie podlegałam takim idiotycznym wrażeniom i urojonym obawom. Myślę, że Marie ma dar hipnotyzowania. Zresztą nie wiem, co mi się stało. Zachowałam się jak

małe dziecko: uciekłam od niej, bez wyjaśnienia.

— Wszystko, co mówisz, jest bardzo zaskakujące.

— Posłuchaj dalej. Pomyślałam, że służby nie ma w domu i że ciotka Eliza, której dziadek zlecił przygotowanie kolacji, może mieć z tym wiele kłopotów i wypadałoby, żeby ktoś młodszy i silniejszy jej w tym pomógł. Zapukałam więc do jej pokoju, żeby to zaproponować.

— No i jak to przyjęła?

— Na początku była bardzo zdziwiona i nie chciała się zgodzić. Powiedziała, że uważa mnie za gościa, należy więc mnie godnie przyjąć, a nie absorbować domowymi sprawami, ale potem szybko uległa. Przypuszczam, że ona bardzo słabo widzi i ma z tym duże trudności, chociaż nie chce się do tego przyznać. Na toalecie stało kilka buteleczek z kroplami do oczu, zaopatrzonych w etykietkę z trupią czaszką, pośród niesamowitej ilości kosmetyków i różnych środków upiększających. Domyśliłam się, że prawdopodobnie choruje na jaskrę, ale mdło mi się zrobiło, jak to zobaczyłam. Nie wiem dlaczego, wyobraziłam ją sobie odmierzającą skrycie po kilka kropli do kieliszków z coctaiem, który ma zamiar nam podać przy kolacji.

— Ależ, Ewo, to już są chorobliwe skojarzenia. Nie rozumiem, z jakiego powodu przychodzą ci do głowy. Nie podejrzewasz chyba, że ciotka ma zamiar nas wszystkich wytruć dzisiejszej nocy!

— W każdym razie będzie lepiej, jeśli to ja przyrządzę coctail i podam kawę. Wydaje się, że atmosfera w tym domu zaczyna się niepokojąco zagęszczać.

— Czy to wiąże się w twoim przekonaniu z osobą ciotki?

— W pewnym sensie tak. Wiesz, ona była niesłychanie zdenerwowana, kiedy ze mną rozmawiała. Cały czas nasłuchiwała, czy ktoś nie idzie korytarzem. Odniosłam wrażenie, że się czegoś lub kogoś panicznie boi. Czy nie uważasz, że dziadek Mignon rozmyślnie tak sporządził ostatnią wolę, aby nas wszystkich ze sobą poróżnić.

— Przyznam się, że nie zwróciłem na to uwagi.

— Pomyśl — to zostało jakby specjalnie zainscenizowane, wyreżyserowane: najpierw zawiadomienie o spadku, potem za kilka godzin rodzinna kolacja, o świcie dalszy komunikat. Wszystko w odstępach czasu dających pole do działania. Bo jeżeli zgodnie z jego ostatnią wolą, w razie śmierci jednego członka rodziny, udziały jego przechodzą na pozostałych, to...

— Ewo! — przerwałem jej energicznie. — Nie pozwolę ci snuć takich domysłów, rodem z powieści kryminalnej. To do niczego nie doprowadzi. Jeżeli istotnie czujesz się zagrożona, to natychmiast wracajmy z powrotem. Ostatecznie dotychczas żyliśmy i możemy żyć dalej bez tego zwariowanego spadku.

— O nie! — roześmiała się ironicznie. — Ja nie ustąpię! W końcu jestem tylko sekretarką, panie dyrektorze. Myślę, że trafia mi się wspaniała okazja, z której nie mogę zrezygnować. Nie mam zamiaru stchórzyć, ale jeżeli ty chcesz wyjechać, to proszę bardzo.

— Nigdy bym cię nie zostawił samej. A poza tym, osobiście, nic groźnego nie wyczuwam, choć, być może, mam inną, grubszą skórę. Istotnie, raz, przez krótką chwilę, w terrarium, doznałem jakiegoś niemilego wrażenia, ale widok tyłu węży sam przez się może wytrącić z równowagi, nie mówiąc już o innych akcesoriach, znajdujących się w podziemiach. Najlepiej będzie, jeśli przestaniesz o tym myśleć. Dobrze, że akurat idziemy się zabawić.

— I ja się z tego cieszę — uśmiechnęła się promiennie i znów wyglądała na dziewczynę, którą każdy mężczyzna już przy pierwszym spotkaniu pragnie natychmiast wziąć w ramiona i pocałować. — Poczekajcie na mnie w ogrodzie, muszę się przebrać.

Yvette grzebała w silniku imponującego wozu Alfa-Romeo, koloru kości słoniowej, stojącego w garażu obok trzech innych samochodów. Ubrana była w ten sam wymięty sweter, jeszcze bardziej przybrudzony, na skutek wykonywanych właśnie czynności. Najwidoczniej

nie zamierzała zmienić toalety.

— Myślałam, że świecę diabli wzięli. Fajny wóz, no nie? Buchnęłam tej świni, Marcelowi, kluczyki. Niech nie myśli, że ma do niego prawo. Dziadek pozwalał Denise jeździć nim do pracy, ale go jej nie podarował. Teraz, niech mecenas Loyal rozsądzi, do kogo ma należeć — głos jej zawibrował złością i nienawiścią.

Ewa nie dała na siebie długo czekać. Wyglądała jak prezenterka domu mody Christiana Diora, albo Chanel, w srebrnej, lamowanej, krótkiej sukience, na dżetowych ramiączkach, otulona zwiewnym, koronkowym szalem. Nie wątpię jednak, że gdyby założyła zgrzebny wór, opasany konopnym sznurem, to i tak nie straciłaby nic ze swego niepowtarzalnego uroku.

Yvette spojrzała na nią z ukosa i milcząc zapuściła motor. Paryż, o tej porze, dudnił i huczał wielkomijskim ruchem. Jechaliśmy przez gwarne, oświetlone ulice, wypełnione tłumami przechodniów, grzęznąc w korkach stłoczonych samochodów.

Night-club „Czarny Baran” powitał nas dużym, świetlistym neonem, wyobrażającym potężną głowę zwierzęcia, ozdobioną migocącymi rogami. Do środka prowadziły zaskakująco małe, czarne, jakby zakonspirowane drzwi. W mrocznym wnętrzu, na progu wyrósł rozneglizowany Murzyn, o torsie gladiatora, najwidoczniej łączący funkcje portiera i wykidajły. Na widok Yvette wyszczerzył białe nienaturalnie błyszczące zęby i wskazał nam wejście do sali. Panował w niej specyficzny, trochę niesamowity nastrój. Wszystkie ściany przecinały w zygzakach drżące, różnobarwne światła, z dominującym kolorem czerwieni, skoncentrowanym na monstrualnie wielkim czarnym baranie o rozżażonych jak główne, mrugających oczach, spełniającym rolę baru, za którym, pośród podświetlonych butelek z alkoholem, rezydował ciemnoskóry Hindus w turbanie. Kilka kobiet o obnażonych ramionach siedziało przy nim samotnie na wysokich stołkach, sącząc napoje z

kolorowych kieliszków Niezmiernie niskie stoliki otaczały półkolem parkiet. Wiele z nich było już zajętych przez ludzi w różnym wieku i często nie dającej się określić płci. Przeważały stroje wieczorowe, chociaż nie brakowało niemal obdartych ekscentryków, demonstrujących ostentacyjnie wyrafinowaną abnegację. Kilku wymalowanych mężczyzn, w sukniach kobiecych, przechadzało się z wachlarzami w rękę. Kelnerki, przeważnie młode Mulatki, ubrane w strój, którego koszt nie mógł zbytnio obciążyć budżet właścicieli klubu, gdyż składał się wyłącznie ze srebrnych piór na czubku głowy i srebrnych pantofelków, przemykały pośród gości z tacami w dłoniach.

Nie mogłem nawet spokojnie pomyśleć o tym, co by się stało, gdyby Alina w jakiś nadprzyrodzony sposób zobaczyła mnie w tym otoczeniu, postanowiłem więc natychmiast odpędzić jej natrętnie pojawiające się widmo.

— Klawo tu, prawda? — zapytała Yvette, kiedy usiedliśmy na małych, miękkich taboretach, zmuszających do podkurczenia nóg. — Niedługo zobaczycie numer Denise. Jest fenomenalny. Ona rozpoczyna cały program. Wszyscy myślą, że to prawdziwa głowa leci w powietrzu, pocą się ze strachu, niektóre babki kwiczą, jakby je kto zarzywał. Potem Denise kłania się cała i zdrowa i nikt nie wie, jakim cudem to się stało, a cała zabawa polega na odpowiednio ustawionym mechanizmie gilotyny.

W głębi sali otworzyły się zamaskowane drzwi, ukazując na chwilę wnętrze pełne światła, buchające gwarem podnieconych głosów.

— Tam się gra w ruletkę — wyjaśniła Yvette, a dalej — wskazała palcem następne drzwi — wyświetlają filmy porno, a za kinem jest palarnia narkotyków, ale nie wszyscy o tym wiedzą. Tylko specjaliści, zaufani goście... O, jest Marcel. On się tu stale pęta. Chyba ma zamiar do nas podejść.

Rzeczywiście, mężczyzna w brązowym, zamszowym ubraniu, który dotąd tkwił przy barze, wstał z wysokiego stołka i szedł w

naszą stronę. W migotliwym blasku kolorowych świateł jego ucharakteryzowana twarz i kruczoczarne włosy, wyglądały jeszcze bardziej diabolicznie. Ukłonił się nam, ale nie podał ręki, tylko na mgnienie oka zawisł spojrzeniem na twarzy Ewy.

— Witaj, playboyu dla ubogich — wykrzywiła twarz od ucha do ucha Yvette. — Co cię tu sprowadza?

— Denise telefonowała, że nie ma kluczyków od samochodu. To na pewno twoja sprawka, ty je wykradłaś. Przez ciebie spóźni się do pracy — natarł na nią z wściekłością, nie licząc się z naszą obecnością.

Pyszczek Yvette przypominał w tej chwili rozdrażnione, drapieżne zwierzątko, które za chwilę zaatakuje upatrzoną ofiarę.

— Nie udawaj czułego męża, kochasiu, i nie zapominaj, że auto do was nie należy. Nie macie żadnego prawa robić mi wymówek, a ty najmniej. Będę nim jeździła, kiedy będzie mi się tylko podobało. A teraz odwal się.

Na policzki Marcela wystąpiły ceglaste plamy, mocniejsze od szminki.

— Ty gówniario — warknął. — Jeszcze mnie popamiętasz.

— Może pan usiądzie z nami, panie Marcelu — odezwała się melodyjnie Ewa, by rozładować przykrą atmosferę i zapobiec dalszej nieparlamentarnej wymianie zdań między zwaśnionymi, przy czym spojrzała na Marcela przejrzystymi, fiołkowymi oczami w taki sposób, że musiał natychmiast zawstydzić się swego nietaktownego zachowania.

— Przepraszam — mruknął, opadając na stołek. — Ta mała zawsze wyprowadza mnie z równowagi.

— Ciekawa jestem — Ewa podtrzymywała rozmowę — jak pan przeżywa występy żony? Czy za każdym razem nie ma pan wrażeń, jakby pan ją tracił i odzyskiwał na nowo?

— No, nie. Przecież wiem, że nie ma w nich nic niebezpiecznego — odpowiedział z pewnym ociąganiem.

— Ale łączą się z tym chyba jakieś odczucia emocjonalne? Wyobrażam sobie, co bym przeżywała, gdyby

bliska mi osoba wkładała na przykład głowę w paszczę Iwa albo wykonywała potrójne salto na trapezie.

— Ewo, jesteś śmieszna — przerwała Yvette. — On nie może nic odczuwać. Przecież nie ma ani krzty wyobraźni.

— Przepraszam — powiedziała Ewa, podnosząc się od stolika, zanim Marcel zdążył zareagować na zaczepkę dziewczyny. — Mam ochotę zagrać w ruletkę. Wrócę za parę minut.

— Może pójść z tobą? — zapytałem, również wstając z miejsca.

— Nie, proszę cię, zostań — uśmiechnęła się i potrząsnęła złocistą główką. — Chcę zupełnie sama spróbować szczęścia.

Odprowadziłem ją wzrokiem, kiedy szła przez salę, kołysząc leniwie biodrami i znikła za drzwiami salonu gry.

— Mam nadzieję, że nie będziesz brał udziału w naszej rodzinnej kolacji. Twoja obecność zepsułaby mi apetyt. Zupełnie nie rozumiem, jakim prawem brałeś udział w odczytywaniu testamentu dziadka. Chyba nie spodziewasz się spadku. Nie jesteś naszym krewnym i stary cię nie znosił — zaatakowała go znów Yvette.

Tym razem się nie odezwał, tylko zmierzył ją krótkim, nienawistnym spojrzeniem, i zwrócił się do mnie.

— Pan wybaczy, że odejdę, ale jestem umówiony.

Podniósł się zwinnie, jak na swoją okazałą tuszę i zmieszał się z różnobarwnym tłumem coraz liczniej napływających gości.

— Nie rozumiem, dlaczego stale prowokujesz go do kłótni. Nie zdziwiłbym się, gdyby ci kiedyś sprawił porządne lanie.

— Phi — Yvette pogardliwie wydeła usta. — To w gruncie rzeczy pospolicie tchórz. Nie znoszę go organicznie i nic na to nie mogę poradzić. Serwus Alain, nie wiedziałam, że będziesz tu dzisiaj — raptownie odwróciła się do chłopaka w aksamitnej kamizelce, który właśnie rozsiadł się bezceremonialnie na taborecie przy

naszym stoliku ze swoją nieodłączną gitarą, przewieszoną przez ramię.

— Cholera nadała tę dzisiejszą kolację — oświadczył ponuro i zaczął ostentacyjnie dłubać w nosie, jakby to był jedyny i wyłączny sposób na uspokojenie wzburzonych nerwów. — Przepadł mi nocny występ w „Pstrym Kaczorze”. Sam Johnny Miles z londyńskiej wytwórni płytowej chciał przesłuchać nasz zespół i mielibyśmy murowaną umowę na longplay w kieszeni, gdyby nie ta przekłeta stypa z kupą mamutów.

— Możesz na nią nie iść. Najwyżej forsa przeleci ci koło nosa, a dla nas zostanie więcej — roześmiała się złośliwie.

— Stary zupełnie zwariował. Na co mu ta cała heca z kolacją? Przecież i tak tego nie zobaczy z kosmosu.

— Skąd wiesz, czy nie zainstalował gdzieś ukrytych kamer, które przekażą mu obraz na orbitę okołoziemską. Po nim można się wszystkiego spodziewać.

Alain pomilczał chwilę i podrapał się po licznie rozsianych krostach koło nozdrzy.

— A ja na to gwizdzę — zakomunikował i odwrócił się do mnie ostentacyjnie plecami dla zamanifestowania, że osoba moja, zakwalifikowana w poczet stworów przedpotopowych, znajduje się całkowicie poza sferą jego zainteresowań życiowych. Przez cały czas zresztą traktował mnie tak, jakbym był powietrzem.

— To ja lecę — oświadczył siostrze, zrywając się ze stołka. — Chłopaki już pewno czekają. Zaraz mam próbę.

— Niezły kretynek z tego mojego braciszka, prawda? — zachichotała Yvette. — On ma chyba mózg uformowany w kształcie gitary. Nic poza tym rzępoleniem go nie wzrusza. Udaje ważniaka, że go forsa nie obchodzi, a tak naprawdę to trzęsie się do niej, aż mu łydki latają. A wiesz dlaczego? Roi mu się, że zbierze największy zespół gitarzystów na świecie z najdoskonalszym sprzętem elektronicznym, że kupi im pałac, gdzie będą wiedli życie poświęcone wyłącznie sztuce, a wszystko inne poza

tym będzie im wisieć. Coś w rodzaju obozu młodych, wyzwolonych dla wielkiej, czystej idei, tylko, że w luksusowych warunkach. Zupełne dno, nie uważasz?

— Jak widzę i do rodzzonego brata również jesteś nastawiona krytycznie, ale w tym wypadku zbytnio ci się nie dziwię. Trzeba przyznać, że nie jest komunikatywny. Wiesz co, Yvette? Właściwie to bym chętnie już stąd wyszedł.

— Coś ty?! Zaraz będzie występ Denise. Poczekaj, zamówię aperitif. Co prawda jest tu cholernie drogo, nawet nie można kichnąć za darmo, ale ja mam kredyt. Nic się nie martw o moniaki.

Prawda była taka, że od dłuższego czasu czułem ból w podkurczonych nogach, chciało mi się diabelnie jeść i pić, gdyż od posiłku spożytego w samolocie, nic nie miałem w ustach. Kilkakrotnie już miałem zamiar zawołać krążącą w pobliżu kelnerkę — Mulatkę, ale w głębi ducha obawiałem się, żeby ze względu na jej mocno zdekompletowany ubiór jakikolwiek gest z mojej strony nie został przez nią poczytany za dwuznaczną propozycję. Musiałem przyznać, że napój, podany na zamówienie Yvette, był doskonały. Lekki, nieco musujący, przyjemnie uderzył mi do głowy już po paru łykach.

Zauważyłem, że Yvette przygląda mi się badawczo z łobuzerskim wyrazem oczu. A ja nagle poczułem się jak młody, nieco rozwiązły bóg, dla którego nie istnieją żadne trudności i problemy nie do pokonania, z „Irontaxem” włącznie, przy czym ogarnęła mnie nieprzeparta ochota, aby wykonać natychmiast solowy taniec na parkiecie, przy akompaniamencie orkiestry murzyńskiej, która właśnie rozpoczynała wrzaskliwy koncert. Następnie spłynęły ku mnie wszystkie ściany, opasując czerwonymi, żółtymi i zielonymi falami światła, a czarny baran porozumiewawczo mrugając płonącymi ślepiami, zbliżył się do mnie i polizał grubym ciepłym jęzorem, zaś hinduski barman, wykonujący

rytualne modły nad butelkami, wyciągnął obie ręce i pogłaskał mnie miłośnie po głowie, co wywołało w moim sercu bezmiar wzruszenia, graniczącego z nirwaną. Z kolei, po tych chwilach nadziemskiego uniesienia, wszystko wróciło do poprzedniego stanu: ściany osiadły na dawnym miejscu, czarny baran przestał się mną interesować i spoglądał w zupełnie inną stronę, a Hindus ze stoickim spokojem nalewał alkohol do kieliszków, niepomny na pieszczoty, którymi mnie niedawno obdarzał.

— Jak się czujesz? — zagadnęła Yvette i wybuchnęła głośnym rechotliwym śmiechem.

Zrozumiałem, że wypłatała mi jakiegoś figła, którego na razie nie kojarzyłem z przeżyтыми wrażeniami, ale na wszelki wypadek zapragnąłem zbić ją na kwaśne jabłko.

— Widzę, że doskonale się bawicie — usłyszałem głos Ewy. Usiadła obok, zaróżowiona z emocji, z oczami pełnymi nieznanym mi blasków i głębi.

— Wygrałaś? — zapytałem, aby stwierdzić fakt, który wydawał się oczywisty.

— To nieważne. Myślę jednak, że odkryłam w sobie żyłkę do hazardu.

Orkiestra nagle wykonała wstrząsający tusz, gwar rozmów znacznie przycichł, a na parkiecie ukazał się wysoki jegomość we fraku, wyglądający co najmniej na ministra pełnomocnego w czasie konferencji prasowej. Używając bardzo barwnych i kwiecistych wyrażen, rozpoczął przemowę do publiczności, z której wynikało, że adeptka sztuki czarnej magii, okultyzmu, chiromancji oraz absolwentka licznych fakultetów w jednej osobie, złoży z siebie ofiarę na ołtarzu sztuki, dzięki czemu wszyscy tu obecni będą mieli możliwość uczestniczenia w wielkim misterium z pogranicza metafizyki i wiedzy tajemnej, polegającym na autentycznym ścięciu jej głowy przez gilotynę pochodzącą z czasów rewolucji, a następnie skutek nadprzyrodzonej mocy sił wyższych, powrotu tejże głowy do ciała. Jednocześnie spod podłogi, jak z czeluści piekielnych, zaczęła dostojnie i majestatycznie wyłaniać się gilotyna i stanęła na

wzniesieniu, połyskując złowieszczo ostrzem.

Odezwało się kilka zduszonych, histerycznych pisków i na sali zapanowała cisza.

Wówczas mistrz ceremonii poprosił na scenę jedną z najbliższych siedzących kobiet, aby sprawdziła, czy ostrze jest autentyczne i czy nie wchodzi tu w grę żadne szalbierstwo. Na kilka sekund zgasły wszystkie światła, następnie reflektory wyłuskały z ciemności wątlą postać kobiecą w czarnym trykocie o białej, jakby martwej twarzy, która powoli i kornie uklęka pod gilotyną.

— Teraz będzie fajnie, zobaczcie, głowa spadnie na stolik koło nas — szepnęła Yvette.

W tym momencie dobiegł nas charakterystyczny świst ostrza, błysnęło tysiące iskier, coś jakby zabulgotało, zachrząściło, przecięło powietrze i uderzyło z hałasem o blat sąsiedniego stolika. Zapłonęły wygaszone światła i nagle przeraźliwy krzyk wypełnił całą salę. Siedząca obok kobieta w wydekoltowanej, zielonej sukni, wykonała kilka spazmatycznych ruchów i osunęła się zemdlna na podłogę. Ktoś pospieszył jej na ratunek, a dookoła podniósł się pomruk pełen grozy i przerażenia, z sekundy na sekundę rosnący na sile, przemieniający się w nieustanny ryk. Spojrzałem przez ramię i poczułem nagły skurcz w gardle. Na półmisku, pośród resztek jedzenia, leżała głowa Denise, na strzępach skóry, z której szeroką, nie kończącą się strugą, płynęła gęsta, czerwona krew. Powieki o wielkich, sztucznych rzęsach jeszcze drgały, ukazując wywrócone białka.

W okamgnieniu ten potworny widok zasłoniła gęstwa ludzi, którzy zerwali się ze swoich miejsc i otoczyli stolik. Na parkiecie, w blasku reflektorów, leżało porzucone, jakby zapomniane ciało w czarnym trykocie, pozbawione głowy, z rozrzuconymi na bok rękami w czerwonej, stale powiększającej się kałuży.

Na razie nie rozumiałem, wprost nie pojmowałem, co się stało. Wiem tylko, że ścisnąłem z całej siły rękę Ewy. Dopiero rozszerzone przerażeniem oczy Yvette

powiedziały mi wszystko. Siedziała, trzymając się kurczowo stołka i dziwacznie kołysała na wszystkie strony.

— Cholera, ona naprawdę nie żyje, naprawdę odcięli jej głowę — krzyczała, nie mogąc opanować nerwowych ruchów.

— Chodźmy stąd — Ewa chwyciła ją wpół i szybko pociągnęła w stronę wyjścia. — Za chwilę przyjdzie tu policja.

Rozdział IV

Kolacja o północy

W pałacyku przy Avenue des Fleurs panowała tak głęboka cisza, jak gdyby zamieszkiwały w nim wyłącznie pokutujące duchy, a nie grono spadkobierców dziadka Mignona i kłębowisko gadów w podziemiach. Tylko schody zamruczały pod mymi stopami, jak stary, wysłużony kot: przyjacielsko i życzliwie, natomiast w pokoju powiało ostrym chłodem, gdyż nie podsycany ogień wygasł na kominku. Czym prędzej zapaliłem wszystkie lampy, wziąłem ciepłą kąpiel i włożyłem świeżą koszulę. Wtedy dopiero poczułem się trochę lepiej i uczucie obrzydzenia, ogarniające mnie na wspomnienie krwawej głowy Denise, zaczęło stopniowo mijać. Po pewnym czasie nawet, w tym otoczeniu, pośród monumentalnych sprzętów, tchnących powagą minionych pokoleń, całe to wydarzenie wydało mi się nierealne i odległe w czasie. Wtedy ktoś lekko zapukał do drzwi. Na progu stanął doktor Paul Amoureux.

— Nie przeszkadzam? — zapytał i nie czekając na zaproszenie rozsiadł się w fotelu. Wyjął z etui cienkiego papierosa i włożył między duże, końskie zęby.

— Biedna Denise — powiedział. — Taka jeszcze młoda. Słyszałem, że miała efektowną śmierć i że jej ścięta głowa wylądowała na półmisku z pasztetem i sałatką z homarów. Zaoszczędźmy sobie jednak tych drastycznych szczegółów. Oddajmy hołd zmarłej: „niech odpoczywa w

pokoju” i wróćmy do żywych. Co kuzyn sądzi o tym szczególnym wydarzeniu?

— Oczywiście, że był to straszny i potworny wypadek, który nieprędko mi się zatrze w pamięci.

— Nie zgodziłbym się z użytym przez kuzyna sformułowaniem: po pierwsze, co do oczywistości tego wypadku, a po drugie, że w ogóle był to wypadek.

— Nie rozumiem. Czyżby kuzyn sugerował, że Denise została zamordowana? Ależ to absurd! Widziałem, jak to się stało. Po prostu zepsuł się mechanizm gilotyny. Rekwizyty iluzjonistów mogą być zawodne.

— Mogą, ale z reguły zdarza się to nadzwyczaj rzadko. Takiej ewentualności naturalnie nie można wykluczyć, ale kuzyn musi przyznać, że jest to niecodzienny zbieg okoliczności. Denise Fourieux zeszła z tego świata akurat w dniu, kiedy została powołana do udziału w majątku dziadka Mignona, jednego z najbogatszych przemysłowców Francji, co wobec specjalnych klauzul, jakimi zostało obwarowane rozporządzenie jego ostatniej woli, samo przez się nasuwa podejrzenie, że ktoś mógł jej w tym skutecznie dopomóc.

— Wydaje mi się, że kuzyn zbyt daleko posuwa się w swoich domysłach.

— Nie przypuszczam, żeby policja paryska była innego zdania. Na pewno jutro z samego rana będziemy mieli uroczystą, urzędową wizytę i wszyscy zostaniemy poddani szczegółowemu przesłuchaniu.

— Wobec tego, każdy z nas jest potencjalnym mordercą Denise? Czy właśnie to kuzyn ma na myśli?

— Nie inaczej. I tylko możliwość wykazania się wiarygodnym alibi zwolni nas od tego podejrzenia.

— Jeżeli tak — to ja przynajmniej jestem uratowany. Nie rozstawałem się z Yvette ani na chwilę przez cały czas naszego pobytu w „Czarnym Baranie”. Chyba od niej kuzyn dowiedział się o tym tragicznym wydarzeniu? Jak ona się czuje? Przeżyła bardzo śmierć Denise. Obawialiśmy się, że zemdleje.

Podałem jej środek uspokajający i bardzo szybko się opanowała. Nawet odzyskała humor, takie szybkie zmiany nastroju w jej wieku są naturalnym zjawiskiem — Amoureux zgasił w popielniczce papierosa i spojrzął na zegarek. — O! Jest już dwudziesta trzecia trzydzieści. Niedługo rozpocznie się nasza rodzinna uroczystość, mam nadzieję, że bez żadnych przykrych niespodzianek. A zatem, do zobaczenia, wkrótce.

Wstał z fotela i wychodząc, lekko skinął głową. Wyglądał tak złowroźnie, że nie wiadomo było, czy wypowiadając te słowa, miał na myśli nasze rychłe spotkanie na tym, czy na tamtym świecie. Zrobiło mi się nagle tak zimno, jakbym już jedną nogą znajdował się w krainie cieni. Ponieważ jednak drugą kończyną kurczowo trzymałem się ziemi i nędznego doczesnego życia, postanowiłem rozniecić ogień w kominku, aby się trochę rozgrzać. W tym celu schyliłem się nad dogasającymi szczapami drewna i rozgarnąłem je ozdobnym, posrebrzonym pogrzebaczem. Nagle wydało mi się, że przemawiają ludzkim głosem, a właściwie szeptem. Dreszcze na moim grzbiecie wzmogły się jeszcze bardziej, poczułem się już niemal nieboszczykiem, obcującym za pan brat z duchami. Miałem właśnie zamiar odskoczyć jak najdalej od gadającego kominka, aby zachować zdrowe zmysły, ale sens dobiegających coraz wyraźniej słów przyciągnął moją uwagę.

— Ta cena nie jest wysoka, połowa wszystkiego, albo...
— szept się urwał i zaległa krótka cisza.

— Dobrze, zgadzam się — zaszemrał drugi głos. — Choć uważam, że to za dużo

— Nie rozśmieszaj mnie — pierwszy szept przeszedł w trzeszczący chrobot. — To jeszcze za mało, zważywszy na straty, jakie ponoszę. No więc jak?

— W porządku, ale musisz mi pomóc...

Głosy umilkły, kominek znów stał się zimny i cichy.

Początkowo byłem pewien, że uległem halucynacji, wywołanej niedawnymi, krwawymi przeżyciami, ale wkrótce potem utwierdziłem się w przekonaniu, że niechcący podśledzałem rozmowę dwojga osób niewiadomej płci, za

pośrednictwem przewodów kominowych, czy wentylacyjnych, stanowiących tajniki konstrukcyjne tego budynku.

Nie miałem czasu na zastanawianie się nad treścią i wagą dobitej przed chwilą transakcji handlowej pomiędzy członkami rodu Mignon, gdyż nieubłaganie upływała minuta za minutą.

Kwadrans przed północą stanąłem pod zamkniętymi drzwiami jadalni, znajdującej się na parterze, naprzeciw biblioteki, z samopoczuciem skazańca, bez najmniejszej szansy na ulaskawienie, który w najbliższym czasie ma być zaprowadzony na szafot. Kilkakrotnie zdejmowałem rękę z klamki, aby zawrócić na pięcie i umknąć do swego pokoju, rezygnując ze wszystkich profitów wynikających z dyspozycji finansowych dziadka, ale obawa przed kompromitacją w oczach Ewy i oczekujących mnie w takim układzie spraw — piekielkiem w domu rodzinnym, sprawiły, że zapukałem, zresztą jak najsubtelniej, w skrytej nadziei, że nikt mnie nie usłyszy, co da mi doskonały pretekst do ucieczki.

Niestety, czujne uszy, wewnątrz, wyłowiły ten dyskretny odgłos, w następstwie czego dobiegły mnie słowa.

— Proszę wejść! — wypowiedziane tubalnym głosem ciotki Elizy.

Jadalnia tonęła w powodzi światła płynących z wielkiego żyrandola z brązu zwisającego z sufitu i z ogromnej liczby świec, tkwiących w ciężkich, kutyh ze srebra lichtarzach. Był to największy z pokoi, jakie widziałem w tym domu, cały w brązowej tonacji, obity do połowy wysokości ścian wytłaczaną skórą. Na ścianach wisiała broń myśliwska sieczna i palna, pochodząca z ubiegłych stuleci, trofea myśliwskie, przeważnie w postaci głów dzików, żubrów i rogów jelenich, oraz portrety antenatów, patrzące zza złożonych ram wypukłymi, zdawkowo uśmiechniętymi oczami. W głębi stał duży zegar wahadłowy, o żółtym cyferblacie z czarnymi cyframi, wskazujący godzinę za czternaście dwunastą, oraz różnorakie ciemnobrązowe rzeźbione meble: kredensy, pomocniki o masywnej konstrukcji, bar, antyczne komódki z marmurowymi blatami, zastawione

kryształami, delftami i figurkami z porcelany, krzesła, fotele. Pośrodku stał wielki, ciągnący się w nieskończoność stół, połyskujący białą serwet i srebrem zastawy. Całość stanowiła konglomerat stylów z różnych epok i świadczyła raczej o kolekcjonerskich zamiłowaniach gospodarza niż o jego dobrym guście, ale w sumie sprawiała imponujące wrażenie dobrobytu i zasobności. W takiej oprawie ujrzałem znane mi osoby uplasowane w dwóch małych grupach: ciotkę Elizę z powleczoną nienaturalną białą twarzą, przypominającą maskę pośmiertną, w szarej, jedwabnej sukni, spiętej na biuście błyszczącą, diamentową broszą, w otoczeniu prezentującego maximum elegancji rodzeństwa Amoureux i naburmuszoną parę: Yvette w wymiętym golfie i džinsach i Alaina w rozpiętej koszuli ukazującej aż do pasa nagie ciało — przysłowiowych młodych gniewnych, protestujących ubiorem i zachowaniem przeciwko zaskorupiałym tradycjom drobnomieszczańskim.

— Chodź. Zygmuncie, nie rób ceregieli. Powinieneś się tutaj czuć, jak u siebie w domu — powiedziała ciotka, skandując każde słowo. — Niestety, nasza rodzinna uroczystość została tragicznie zakłócona — podniosła koronkową chusteczkę do oczu, aby wytrzeć nieistniejącą łzę. — Biedna Denise nie żyje. Słyszałam, że byłeś świadkiem tego okropnego wydarzenia. Niestety przewidywałam, że to się wszystko źle skończy i ten straszny zawód, jaki uprawiała, sprowadzi na nią nieszczęście. Niejednokrotnie ją upominałam, a nawet prosiłam, żeby zaniechała tego rodzaju występów publicznych, kompromitujących naszą rodzinę i zaczęła normalnie pracować, ale nie chciała o tym słyszeć. Była niesłychanie uparta. Twierdziła, że przez jeden wieczór może więcej zarobić niż przez miesiąc w biurze czy magazynie mody, a stale potrzebowała pieniędzy. Prawdę mówiąc, dziwiłam się, że mój brat Jean toleruje pod swoim dachem osobę trudniącą się, oględnie

mówiąc, rzemiosłem pseudoartystycznym w tym stylu, ale on jest oryginałem tego formatu, że nie zwraca uwagi na żadne konwenanse i formy, obowiązujące wśród ludzi na pewnym, określonym poziomie. Przecież jej profesja niewiele różniła się od zawodu striptizerki, chociaż nie występowała nago.

— Niech babcia nie zalewa — wybuchnął niespodziewanie ze swego kąta Alain. — Każdy wie, że Denise była przedtem dobrą tancerką, a ostatnio z konieczności została artystką estradową. Ale nie miała się czego wstydzić! Odwrotnie, to co robiła, robiła dobrze i osiągała duże sukcesy.

Urwał nagle, ogarnięty złością, że musiał publicznie wygłosić swoje poglądy i rzucać „perły przed wieprze”. Schwycił leżącą na bufecie gitarę i wy dobył z niej kilka gwałtownych, zgrzytliwych dźwięków.

Ciotka taktownie puściła tę żywiołową wypowiedź mimo uszu i tym razem przycisnęła chusteczkę do falującej piersi.

— Niestety, nasza Denise nie zasiądzie dzisiaj razem ze wszystkimi do kolacji. Jestem tym wstrząśnięta, do głębi wstrząśnięta.

— Niech się ciocia tak nie przejmuje, może sobie ciocia zaszkodzić. Ostatecznie wszyscy jesteśmy śmiertelni — zauważył sentencjonalnie Paul Amoureux i grzecznie podsunął jej fotel.

— Oczywiście, cioteczko. W tym wieku wszelkie wzruszenia są ryzykowne i niebezpieczne — podchwyciła Marie-Louise z błyskiem czarnych, aksamitnych oczu.

Ciotka zgrzytnęła protezą, a przynajmniej mnie wydało się, że tego rodzaju dźwięk wy dobył się z jej ust, jako wyraz najwyższej dezaprobaty na aluzję do swych podeszłych lat i oświadczyła z przejmującym westchnieniem.

— Tym niemniej nie można rozkazać uczuciom, aby zamilkły w obliczu takiego nieszczęścia.

W tym momencie otworzyły się jedne z licznych drzwi i do jadalni weszła Ewa, niosąc tacę z kryształowymi pucharami, napełnionymi złocistym coctaiem, a razem z nią jakby

wpłynęło wiosenne słońce i ciepło. Chyba przez kokieteryę włożyła koronkowy fartuszek z falbankami i zalotny czepeczek na głowę. W każdym razie wyglądała w tym przebraniu jak najbardziej urocza francuska pokojówka z bulwarowych wodewili. Przechodząc koło mnie, uśmiechnęła się i mrugnęła znacząco okiem.

— Droga Ewo, serdecznie ci dziękuję — roztkliwiła się ciotka, usiłując nadać swemu stentorowemu głosowi brzmienie zbliżone do gruchania gołębia, lecz wypadło to jednak, jak gdakanie kury.

— Czy wiecie — zwróciła się do nas — że to kochane dziecko zdjęło całkowicie z moich ramion ciężar przygotowania kolacji, którym obarczył mnie Jean, a przyznam się, że w obecnym stanie, w jakim się znajduję, jest to dla mnie niezwykle cenna przysługa.

— Z chęcią ci pomogę, kuzyneczko — zaofiarowała się Marie-Louise i objęła Ewę w przelocie ramieniem.

Spojrzałem na zegar: wskazywał godzinę za jedenaście minut dwunastą.

W tej samej chwili usłyszeliśmy odgłos otwierania i zamykania drzwi wejściowych, a potem ciężkie, powolne kroki na schodach.

— Moi drodzy — powiedziała Eliza de Biencourt z miną kaznodziei przemawiającego z ambony. — Przypuszczam, że nie byłoby to sprzeczne z intencją mojego brata Jeana, który pragnął tej nocy zjednoczyć nas wszystkich, gdybyśmy na drodze wyjątku, zważywszy na dramatyczną sytuację Marcela, który przed chwilą wrócił do domu, zaprosili go do naszego wspólnego stołu, mimo iż nie należy do grona spadkobierców. Czy jesteście tego samego zdania? — powiodła gromowładnym okiem po twarzach obecnych, jakby dla sprawdzenia, czy naszym zdaniem Marcel Fourieux istotnie godzien jest spożycia razem z nami kolacji.

W odpowiedzi odezwały się pomruki aprobaty, a nawet uznania dla tak ludzkiego odruchu u ciotki, którego zapewne nikt się nie spodziewał, a Paul Amoureux dodał:

— Przecież ciocia jest tu gospodynią i ma prawo decydować.

— W takim razie, Yvette, idź po niego — rozkazała ciotka.

— Nie pójdę — burknęła Yvette i wysunęła ze złości koniec języka.

— Ach, ja ją wyręcę — uśmiechnęła się wdzięcznie Ewa i wyszła bez ociągania z pokoju.

Zegar wskazywał za dziewięć minut dwunastą.

Z korytarza dobiegło powolne, mozolne suwanie nóg po podłodze, czyjaś niecierpliwa ręka szarpnęła za klamkę i na progu ukazał się major Francois Dalentin w kraciastej, tweedowej marynarce i długich butach z cholewami, trzymający w pół swoją córkę Jacqueline, wyraźnie jeszcze więcej niż przedtem niedysponowaną, gdyż poruszała się z niesłychanym trudem i wysiłkiem.

— Ach, mój Boże, jak ta dziewczyna się męczy. Nie mogę na to patrzeć — westchnęła współczująco Eliza de Biencourt. — Czy ona nigdy nie chodziła i nie mówiła jak normalny człowiek?

Major drgnął, jakby ktoś wymierzył mu policzek, a po jego płaskiej twarzy, ze śladami przebytej ospy, przeleciał skurcz gniewu, co upodobniło ją do paszczy rozwścieczonego wilka, ale natychmiast się opanował i oblekł usta w pełen godności i ubolewania uśmiech.

— Niestety nie. Odkąd zachorowała we wczesnym dzieciństwie, stan jej, mimo nieustannego leczenia, nie ulega poprawie, a raczej stałemu pogorszeniu. Nie mówiłbym tego tak otwarcie przy niej, gdybym nie miał pewności, że słowa te nie dotrą do jej świadomości. Najgorsze zło tkwi właśnie w tym, że postęp dolegliwości fizycznych idzie w parze z recesją psychiczną. W tej chwili ma poziom umysłowy dwuletniego dziecka, w dodatku dotkniętego niemotą i niezdolnego do odróżnienia dobrego od złego. Nieraz zastanawiam się, czy jednak nie jest dla niej lepiej, że nie zdaje sobie sprawy ze swego tragicznego położenia. Mówię o tym

spokojnie, bo zdążyłem się już przyzwyczać do tej sytuacji, choć Jacqueline to jedyna bliska memu sercu istota, którą mam na świecie i dla której żyję.

Kończąc te słowa, pochylił się nad chorą i delikatnie, acz sprawnie, umieścił ją w fotelu. W tym geście było tyle oddania i pieczołowitości, iż człowiek ten mimowolnie budził szacunek i współczucie otoczenia i byłby zapewne i we mnie wykrzesał podobne uczucie, gdyby momentalnie nie przyszło mi do głowy to, czego dowiedziałem się od Ewy o jego prawdziwym stosunku do córki.

„Ależ ten facet umie znakomicie łąać - pomyślałem. — To oczywiste, że pragnie otrzymać należną Jacqueline część spadku, ale jaki w końcu ma interes w odgrywaniu przed nami roli kochającego i udręczonego ojca?”

Nie zdążyłem sam sobie udzielić odpowiedzi na to pytanie, gdyż do jadalni wróciła Ewa, a za nią wsunął się ze spuszczoną głową Marcel, wyglądający jak uosobienie czarnej rozpacz i żaloby.

— Biedny Marcel — powiedziała ciotka najbardziej kondolencyjnym tonem, jaki może wyprodukować głos ludzki. — Pozwól, że w imieniu całej rodziny złożę ci wyrazy najgłębszego współczucia z powodu śmierci Denise. Dla nas również jest to nie mniej ciężki cios, możesz mi wierzyć.

— Dziękuję — wyszeptał wdowiec i rozłożył ręce dla podkreślenia bezmiaru jego osobistej tragedii, której żadne moce nie zdołają już odwrócić.

— Kabotyń — syknęła pod nosem Yvette, ale w istocie na tyle głośno, że mogło to dotrzeć do uszu całego audytorium.

Eliza de Biencourt nieznacznie wzruszyła ramionami i obejrzała się, aby spojrzeć na zegar, który wskazywał za cztery minuty dwunastą.

— Yvette — powiedziała tym razem ostro i rozkazująco. — Idź natychmiast po dziadka Charles'a. Czyżbyś zapomniała, że należy to do twoich obowiązków?

Dziewczyna zerwała się z miejsca jak furia i przybrała

buntowniczą postawę.

— Nie będę więcej tego robić! — zawołała. — Mam dosyć tego wiecznego podcierania go i wysadzania. Nie myślcie, że...

W tej chwili głos jej zagłuszył niesamowity rumor na korytarzu. Jakiś ciężki przedmiot z żelaza czy metalu stoczył się z piekielnym hałasem po schodach, a po- lum zapanowała zupełna cisza.

Wszyscy, poza Jacqueline, jak jeden mąż wybiegliśmy z jadalni i pochyliliśmy się w przerażeniu nad postacią rozciągniętą pokracznie na podłodze.

Głuche, ciężkie milczenie przerwał zduszony, drżący głos Ewy.

— O Boże! To chyba dziadek Charles spadł ze schodów.

Tak, nie uległo najmniejszej wątpliwości, że Charles Mignon, drobny, mały, skurczony, ubrany w szlafrok, w szlafmocy na głowie, spod której wymykały się pasemka siwych włosów, z rękoma rozrzuconymi na boki, leżał nieruchomo u stóp schodów, a obok przewrócony jego wózek inwalidzki.

— Pozwólcie! - doktor Paul Amoureux rozepchnął wszystkich energicznie i przyklęknął nad bezwładnym ciałem. Zręcznym ruchem poszukał tętna, przyłożył głowę do piersi staruszka i zajrzał pod powieki.

— Nie żyje — oświadczył i powiódł wzrokiem po obecnych.

— To straszne! — z ust ciotki Elizy wydobył się głośny gulgot, który prawdopodobnie miał być imitacją szlochu. — Gdyby Yvette po niego poszła jak zwykle... — nie dokończyła i znów głośnie zagulgotała.

Tym razem wszyscy spojrzeli na dziewczynę z wyrzutem, jakby to ona właśnie własnorecznie ukatrupiła dziadka. Yvette nagle zbladła, krótko, urywanie zawyła, jak zwierzę, i wbiegła z powrotem do jadalni.

— Może ktoś mi pomoże. Trzeba go przenieść do jego pokoju, przecież nie zostawimy go tu na podłodze — Amoureux powoli wstał z klęczek i otrząpał pył ze spodni..

Oczywiście, zważywszy na płeć i na wiek, tym kimś

mogłem być tylko ja, Alain i ewentualnie Marcel Fourier, wobec czego razem z Alainem podnieśliśmy ciało starego Charles'a i wnieśliśmy po schodach na górę, wdowiec zaś zajął się wózkiem.

Nie wyobrażałem sobie dotąd, że jakikolwiek osobnik płci męskiej może tak mało ważyć. Właściwie każdy z nas mógłby go unieść na dłoni, był bowiem suchy jak szczapa, wyschlą chudością starca, którego tkanki obumierają systematycznie dzień po dniu, w sposób nieubłagany i ostateczny. Skóra na jego piersiach, pod niedopiętym, przybrudzonym szlafrokiem była żółta, zwiotczała i pokryta rzadkim włosem jak u kurczaka. Ciało nie nosiło nawet żadnych śladów krwi, czy obrażeń. Prawdopodobnie wystarczył sam upadek, aby zgasić ledwo tłący się w nim płomień życia. Położyliśmy go na łożu z baldachimem, które widocznie stanowiło tradycyjny element wyposażenia każdej sypialni w tym domu.

— Muszę raz jeszcze zbadać zwłoki, aby ustalić dokładny czas i przyczynę zgonu — powiedział doktor Amoureux, dając tym do zrozumienia mnie i Alainowi, że nasza dalsza obecność tutaj jest zbędna.

W jadalni panowała atmosfera pełna napięcia i podniecenia. Marie-Louise i Ewa uspokajały ciotkę, która siedziała w fotelu ze zmierzwionym włosiem na skutek przekręcenia się peruki, Yvette i Alain, pogwizdujący pod nosem, odwrócili się ostentacyjnie do wszystkich plecami, a major gwałtownie wlewał do ust córki, jak do dzioba ptaka, orzeźwiający napój, choć nie istniało najmniejsze prawdopodobieństwo, aby cokolwiek z tego, co się stało, mogło dotrzeć do jej chorego mózgu.

Na nasz widok Eliza de Biencourt odzyskała z powrotem nadwątlone siły i poprawiwszy perukę, przejęła znów ster w swoje ręce.

— Fatum zaciążyło nad tym nieszczęsnym domem — oznajmiła grobowym głosem. — Oto już drugi członek naszej rodziny opuścił ten padół w ciągu jednego wieczoru i nie zasiądzie do kolacji. Biedny Charles za żadne skarby nie chciał przenieść się na parter, choć odkąd utracił

władzę w nogach stało się to konieczne. W swoim pokoju na górze przeżył kilkadziesiąt lat i zamianę na inny uważał za swego rodzaju dyskryminację. Wprawdzie Jean dobudował specjalną pochylnię do schodów, aby go można było sprowadzać na uroczystości rodzinne, gdyż na co dzień jadał i przebywał u siebie, ale najwidoczniej Charles stracił dziś orientację, spiesząc się do nas przed godziną dwunastą, ponieważ nikt po niego nie przychodził i zjechał schodami — tu wymownie spojrzęła na Yvette. — Ach! Cóż za tragiczny wypadek i co za straszny /bieg okoliczności: on i Denise nieomal jednocześnie... Co prawda, niezbadane są wyroki losu. Być może, że śmierć właśnie jest dla niego dobrodziejstwem. On ostatnio bardzo się męczył. W sytuacji, kiedy człowiek staje się ciężarem dla otoczenia — to jedyne i nieuniknione wyjście. No cóż, z samego rana zajmę się formalnościami związanymi z pogrzebem.

Doktor Amoureux wrócił do jadalni z zimną i nieprzeniknioną twarzą. Usiadł w fotelu i spokojnie zapalił papierosa.

— Chyba nie będziemy musieli zawiadamiać policji o tym wypadku? — zainteresował się nagle Dalentin, okrywając szalem nogi córki.

— Policja będzie tu o ósmej rano — odezwał się Marcel. — Inspektor Vendeur, który mnie przesłuchiwał wstępnie w „Czarnym Baranie”, zapowiedział swoje przyście. Prosił, żeby wszyscy byli obecni i przeproszał, że będzie nas niepokoił tak wcześniej, ale jest to konieczne ze względu na dobro śledztwa.

— A więc prowadzi się śledztwo? To niesłychane! — oburzyła się dotknięta do żywego ciotka.

— Oczywiście, chociaż jakikolwiek by nie był jego wynik, nie zmienia to tragicznej rzeczywistości — Marcel znów rozłożył teatralnym gestem ręce.

Yvette wydała z siebie odgłos, który równie dobrze mógł być poczytany za jęk bóleści, jak i za spazmatyczny wybuch śmiechu.

Eliza de Biencourt ponownie spojrzęła na zegar.

— Moi drodzy — powiedziała uroczyście. — Wydaje się, że musimy spełnić wolę Jean-Pierre'a Mignona i usiąść w tym zdekompletowanym składzie do stołu. Ewo, jeżeli w dalszym ciągu masz chęć mi pomóc, to proszę bardzo...

— Ależ naturalnie — Ewa poderwała się z miejsca. — Wszystko jest przygotowane.

— Niech się wreszcie skończy ta draka — syknęła Yvette, patrząc na mnie z ukosa.

Właściwie tylko jedno miejsce, na którym miał zasiąść Charles Mignon, świeciło pustką, gdyż zmarłą Denise zastąpił jej mąż. Zapłonęły wszystkie światła elektryczne, a Paul zapalił świece, które tymczasem zgasły. Z mojej prawej strony usiadła Marie-Louise, szczelnie otulona lisami, a z lewej major Dalentin, który od razu odwrócił się plecami, aby zająć się wyłącznie Jacqueline. Na stole pojawiły się w girlandach majonezu i zieleni: kraby, żabie udka, pasztety, salami, polędwica, szynka, pomidory, pieczona kura i, jako główny przysmak, ślimaki faszerowane szpinakiem, przesyconym czosnkiem oraz czerwone i białe wino. Początkowo wszyscy zachowywali się niepewnie i z pewnym zażenowaniem odnosili się do tak przyziemnej sprawy, jaką jest jedzenie, ale przełamawszy pierwsze opory, z niemalym apetytem wzięli się do konsumpcji. Tylko Jacqueline tkwiła nieruchomo oparta o poręcz krzesła i pozwalała ojcu się karmić, leniwie otwierając usta. Ewa, jak zwiewny obłok, przemykała wokół stołu, ściągając spojrzenia mężczyzn, dzwoniły kieliszki, pobrzękiwały sztucce, a niezmiennie wytworni i statyczni antenaci, przyglądali się nam wybałuszonymi oczami zza szerniałych ram i gdyby nie świadomość, że w tym domu na piętrze leży nieboszczyk i że w tym samym czasie najprawdopodobniej odbywa się pod nadzorem policji sekcja zwłok Denise, ucztą sprawiałaby wrażenie sielankowej uroczystości, celebrowanej na cześć krążącego w kosmosie dziadka.

Chwilami, co prawda, miałem wrażenie, że z każdym wziętym do ust kęsem, połykam dawkę trucizny na szczury, albo

arszeniku, ale obawy te rozproszyła Ewa, która serwując na półmisku ślimaki, jednocześnie porozumiewawczo i uspokajająco uściśliła mnie za ramię.

Kolacja upływała prawie w całkowitym milczeniu, gdyż nikt poza wymianą zdawkowych, okolicznościowych słów, nie miał chęci do rozmowy. W pewnej chwili z ust Jacqueline, raczonej cały czas przez ojca najlepszymi smakołykami, wyleciał pokarm, brudząc obrus i ubranie majora.

— Czy nie próbował wuj konsultacji chirurgicznej? — zapytał Amoureux, patrząc z obrzydzeniem na mokre plamy. — Wydaje mi się, że precyzyjna operacja przysadki mózgowej mogłaby przynieść jakieś rezultaty. Wiem, że pewien chirurg w Szwajcarii specjalizuje się w tego rodzaju pozornie beznadziejnych przypadkach. Ewentualnie będę mógł służyć bliższym adresem.

— Dziękuję — wycedził Dalentin — ale nie skorzystam. Nie pozwolę, aby ktokolwiek, nawet gdyby był laureatem nagrody Nobla, krajał moje dziecko i na nim eksperymentował. Nigdy nie oddam jej pod nóż i nie lubię na ten temat dyskutować. Wierzę w zupełnie inną terapię, zresztą bardzo kosztowną, którą, mam nadzieję, będę mógł w najbliższej przyszłości zastosować. Taka jest moja ostateczna decyzja. Nie narzucałbym też nikomu towarzystwa tej biednej istoty, gdyby nie wyraźna dyspozycja stryja.

Po tych słowach, ucinających raz na zawsze wszelką ingerencję z zewnątrz w prywatne sprawy majora, zapanowała już zupełna cisza, którą przerwała dopiero Eliza de Biencourt, wstając od stołu, i tym samym dając hasło do rozejścia się.

— A więc spotykamy się o szóstej rano w sypialni Jeana — powiedziała, a jej zazwyczaj donośny głos zabrzmiał martwo i bezbarwnie. Najgorsze, że wieczorowy maquillage nie wytrzymał próby czasu i bezlitośnie demaskował sieć zmarszczek na twarzy, która wyglądała jak pole porwane brzdami. Dla ratowania własnej godności powinna była już dawno zejść ludziom z oczu.

— Muszę z kuzynem natychmiast porozmawiać — usłyszałem nad uchem przytłumiony szept. Tym razem Paul Amoureux był bardzo blady i poważny. — Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli przejdziemy zaraz do biblioteki.

Rozdział V **„Serenada Szatanów”**

Paul zapalił lampę stojącą na biurku i zwrócił ku mnie poszarzałą twarz. W bibliotece panował nieład. Krzesła i fotele były porozstawiane. Widocznie nikt tu nie wchodził od chwili odczytania listu dziadka. Odruchowo spojrzałem w górę, czy nie zobaczę wiszącego nieszczęsnego Cyryla, ale sufit również świecił pustką.

— Mam kuzynowi do zakomunikowania coś bardzo ważnego. Myślę, że musimy nad wszystkim poważnie się zastanowić i powziąć jakąś decyzję.

Po tym zagadkowym wstępie opadł na fotel i na chwilę objął głowę rękami.

— Charles Mignon nie zakończył życia na skutek upadku ze schodów, lecz został zamordowany — powiedział głuchym, drewnianym głosem.

— Jak to? Czy ktoś go umyślnie zepchnął?

Uczynił niecierpliwy gest obydwoma dłońmi.

— To już jest sprawa drugorzędna. Istotne jest to, że już nie żył przed upadkiem. Ze schodów zleciał trup, a nie żyjący człowiek.

Poczułem, że mi gwałtownie ślina zasycha w gardle i włosy zaczynają mi się jeżyć na głowie.

— Nie rozumiem. Więc co się właściwie stało? — wyszeptalem.

— Ba! Żebym ja to wiedział! Mogę tylko jako lekarz stwierdzić przyczynę zgonu, a jest nią — jeszcze bardziej niżył głos — zadanie śmierci przez uduszenie. Charles Mignon został pozbawiony życia przez gwałtowne zaciśnięcie frędzli od szlafmocy na szyi, które spowodowało pęknięcie krtani.

— Więc może spiesząc się, usiłował ją sam sobie zawiązać

i...

— Wykluczone — przerwał mi Paul. — To zrobił ktoś inny, dysponujący odpowiednią siłą, a właściwie zręcznością w rękach. Zresztą po śmierci nie mógł wjechać na schody, a następnie z nich zlecieć.

— A więc zepchnięcie ze schodów miało na celu upozorowanie wypadku?

— Tak, choć w gruncie rzeczy było to posunięcie bardzo naiwne. Rozpoznanie prawdziwej przyczyny zejścia dla każdego lekarza jest w takim przypadku dziecinnie łatwe, chyba że postępowanie mordercy ma jakiś inny, specjalny cel. W każdym razie pomiędzy śmiercią starego Charles'a a upadkiem jego ciała upłynęło bardzo niewiele czasu. Najwyżej kilka, albo kilkanaście minut.

— Innymi słowy — wykrztusiłem, mimo iż język odmawiał mi posłuszeństwa — zabójca jest tu, w tym domu i jest nim ktoś spośród nas.

— Nie chciałem tego tak dokładnie precyzować, ale skoro kuzyn sam powiedział...

Nagle nad naszymi głowami zabrzmiała jakaś jękliwa ponura melodia, stanowiąca kakofoniczną, przejmującą gmatwaninę dźwięków w tonacji minorowej. Mimo woli przerwaliśmy rozmowę i wzrok nasz powędrował ku sufitowi. Dźwięki wzmagaly się, przechodząc w żałobne, rozwleczone frazy, powodujące występowanie dreszczy.

— To Alain rozpoczął koncert na swojej gitarze elektrycznej — stwierdził Paul. — Ten chłopak ma obrzydliwy zwyczaj lekceważenia sobie całego świata i istniejącego w nim porządku. Pewno przejdzie mu to z wiekiem, ale na razie jest trudny we współzyciu.

— Jak wyraźnie go słyhać, prawie tak, jakby grał w tym pokoju.

— Tak, istotnie, ściany w tym pionie są niezwykle akustyczne, być może w ten sposób umyślnie zbudowane przez dziadka Mignona. Alain mieszka na drugim piętrze nad biblioteką. Nie odbiegajmy jednak od tematu. Myślę, że musimy wyciągnąć właściwe wnioski z tego, co się stało.

Pomyślałem, że akustyka jest właściwością nie tylko tego pionu i już miałem zamiar powtórzyć Paulowi treść tajemniczej rozmowy, podsłuchanej przeze mnie w moim pokoju, ale jakiś głos wewnętrzny ostrzegł mnie przed zbytnią wylewnością. Zamiast tego powiedziałem: w

— Przede wszystkim trzeba natychmiast zawiadomić policję.

— To kuzyn jest tego zdania, a ja wręcz przeciwnie. Interwencja policji spowodowałaby takie zamieszanie, że uniemożliwiłoby to nam wysłuchanie komunikatu Mignona zgodnie z jego decyzją. Poza tym nie przywróci życia zmarłemu.

— To znaczy, że kuzyn proponuje, żebyśmy przeczekali do szóstej rano, zamknęci w tym domu, pod wspólnym dachem z mordercą?

— Tak jest. Oczywiście, przy zachowaniu pewnych środków ostrożności. Dlatego uważam za konieczne, abyśmy spędzili pozostałą część nocy wspólnie w bibliotece i nie wracali do swoich pokoi. Utrudni to akcję mordercy, jeżeli ją zaplanował, a nam ułatwi kontrolę nad jego posunięciami i obroną.

Pomyślałem o Ewie i dreszcz przerażenia spłynął mi wzdłuż pleców.

— A reszta? A pozostali? Czy mamy prawo świadomie narażać ich na niebezpieczeństwo? W takim razie należy zebrać tu wszystkich. Nie widzę innego wyjścia!

— Absolutnie nie. Wywołałoby to niepotrzebną panikę, szczególnie wśród kobiet. Myślę, że jeżeli teraz zrekapitulujemy to, co się stało, uda nam się całkowicie opanować sytuację.

Nie byłem wcale tego pewien, ale Paul Amoureux był mocną indywidualnością, umiejącą wywierać magnetyczny wpływ na otoczenie, a ja od zarania życia miałem słabą konstrukcję psychiczną, łatwo dającą się podporządkować czyjejs woli. W tej chwili tchnął powagą i godnością, a jego duże, splecione na kolanach ręce były silne i władcze.

Tymczasem koncert nad naszymi głowami nie usta-

raczej wzrastał na sile, wibrując złowroźnie, w spazmatycznych drgawkach.

— Czy on nigdy nie przestanie? Przecież od tego można zwariować — zasyczałem.

Paul w odpowiedzi wrzucił ramionami i przybliżył do mnie twarz, tak, że oczy nasze znalazły się prawie na jednym poziomie.

— Zbrodniarz uderzył już dwa razy. Jest więcej niż pewne, że nie zawaha się uczynić tego po raz trzeci. Naszą rzeczą jest, aby mu to uniemożliwić.

— Jak to dwa razy? A więc Denise zginęła z tej samej ręki? Przecież to niemożliwe.

— Tylko pozornie, a fakty mówią co innego. Nawet, jeżeli miało miejsce współdziałanie dwóch lub więcej osób, bo i tego nie można wykluczyć, to jest to inspirowane przez tego samego sprawcę, który postawił sobie jeden oczywisty cel: zgładzenie jak największej liczby członków rodziny w celu opanowania całości lub przeważającej części majątku Jean-Pierre'a Mignona.

— Nie brzmi to dla nas pocieszająco. Jednak, jeżeli tak jest istotnie, to działanie jego musi być spontaniczne. Przecież wiemy o dziwacznych warunkach testamentu dopiero od kilku godzin.

Paul Amoureux drgnął z przejęcia na fotelu.

— Widzę kuzynie, że zaczynamy się rozumieć i nasze myśli biegną jednym torem. Tak, iw tym tkwi słabość całego planu, który z konieczności jest improwizowany. Dlatego mamy szansę, aby udaremnić tę zbrodniczą grę.

— Nie wiem tylko, w jaki sposób. Dla dobra sprawy, moglibyśmy już zostać wszyscy wytruci przy kolacji, albo po kolei zastrzeleni jak kaczki w swoich pokojach, choćby w tych łóżkach wyglądających jak trumny, co zresztą jeszcze może nastąpić.

Wydało mi się, że Paul lekko się uśmiechnął, jakby wizja taka nie była mu niemiła. Prawdopodobnie jednak w ten sposób skwitował naiwność mego rozumowania.

— Według mnie jest prawie pewne, że zabójcy zależy na

tym, żeby każda śmierć wyglądała na nieszczęśliwy wypadek, jeżeli ma zamiar jako legalny i prawowity spadkobierca wejść w posiadanie majątku albo korzystać z dochodów, jakie będzie przynosił. Oczywiście, dokonanie serii zbrodni tak pozorowanych jest prawie niewykonalne. Pierwsze potknięcie nastąpiło już przy morderstwie starego Charles'a i dlatego jesteśmy w stanie mu przeszkodzić.

Alain właśnie pastwił się w swoim pokoju nad wysokim „C”, wprawiając w stan ekstatyczny wszystkie mięśnie, gdyż sufit zdawał się uginać pod naporem dźwięków, ja zaś pomyślałem, że nie jest to stosowna pora na drobiazgową analizę faktów. Przyjmując linię rozumowania Paula, to kto wie, czy podczas, gdy my tu debatujemy nad motywacją popełnionych zbrodni, nie przybywa nam jakiś nowy nieboszczyk lub nieboszczka. Samo przypuszczenie, że mogłaby to być Ewa, przyprawiło mnie o gwałtowne bicie serca.

— Kuzynie — przerwałem doktorowi wywody. — Ja jednak stanowczo obstaję przy tym, żeby natychmiast zawiadomić policję. Sytuacja jest niebezpieczna, a my dwaj nie dysponujemy żadnymi środkami zaradczymi.

— Nie zgadzam się, stanowczo się nie zgadzam, a nawet nie dopuszczę do tego — wycedził Paul Amoureux, wstając z fotela. — Proszę przyjąć do wiadomości, że mnie również zależy na udziale w majątku Mignona. Nie wolno nam zapominać o tym, co zastrzegł w swoim rozporządzeniu ostatniej woli: nikt obcy nie może być obecny o szóstej rano w jego sypialni, w czasie nadawania komunikatu z kosmosu. Nie unikniemy tego, jeśli wtrąci się w nasze sprawy policja. Jean-Pierre — to stary chytrus. Na pewno skorzysta z okazji, żeby nas wydziedziczyć, przemiły mecenas Loyāl zaś skutecznie tego dopilnuje. A więc do tego czasu nie może być mowy o żadnej interwencji z zewnątrz. Po godzinie szóstej — proszę bardzo, ale teraz musimy sobie radzić sami.

Patrząc na niego, sprężonego w sobie, pełnego determinacji,

zrozumiałem, że ten człowiek gotów jest na wszystko, aby przeprowadzić swój plan i zrealizować własne zamierzenia, i raz jeszcze musiałem mu ulec. Widać wyczytał to w moich oczach, bo usiadł z powrotem i wyjął papierosa ze srebrnego etui.

Melodia na górze spotęgowała jeszcze bardziej demoniczną, drażniącą nerwy atmosferę, wibrując uparcie jednym przenikliwym dźwiękiem. Paul spojrział na mnie z czujnym wyrazem twarzy.

— Mam nadzieję, że wreszcie zrozumieliśmy się całkowicie. Możemy więc zastanowić się, kto jest mordercą Charles’a Mignona, naturalnie, jeżeli przyjmiemy za pewnik, że nie był nim żaden z nas.

Cóż to? Narada okrągłego stołu? — rozległ się nabrzmiały ironią głos Yvette. Stała na progu, kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach, co wprawiało w nieustanny ruch warkoczyki, sterczące na jej głowie. — Wyglądacie jak amerykańscy biznesmani, przyklepujący fuzję koncernów naftowych. A może już naprawdę zastanawiacie się, w co zainwestować forszę po dziadku? Radzę wam poczekać do szóstej, bo spotka was jeszcze przykre rozczarowanie.

— A co ty możesz o tym wiedzieć? Idź spać mała.

O tej porze dzieci powinny grzecznie leżeć w łóżku — pół żartem, pół serio powiedział Paul.

— Dziękuję za dobrą radę, ale nie skorzystam. Obawiam się, że tej nocy jest szansa, aby zasnąć i więcej się nie obudzić. Raczej wolę nie ryzykować.

— W takim razie powiedz swojemu braciszkowi, żeby się trochę przyciszył. Obydwaj z kuzynem Zygmuntem dostaliśmy już rozstroju nerwowego od tej zwariowanej melodii.

— Po pierwsze, nikt wam nie każe tutaj siedzieć i słuchać, a po drugie i tak by nie przestał. To jego własna kompozycja „Serenada Szatanów”. Będzie ją ćwiczył dopóki starczy mu natchnienia, a to może trwać bardzo długo. Ma ją zaprezentować przedstawicielowi angielskiej wytwórni płytowej, który chce ją nagrać na longplay. Ciao,

chłopaki, może rzeczywiście się trochę zdrzemnę. Albo — nie. Lepiej napiję się czarnej kawy i poczytam książkę porno, którą givzdnęłam Marcelowi. Jeżeli będziecie grzeczni, to wam potem pożyczę. Podobno bomba.

Odeszła w mrok korytarza, skacząc na jednej nodze jak rozdokazywane dziecko.

— Chyba trzeba było powiedzieć jej o wszystkim — zauważyłam. — Nie postąpiliśmy wobec niej lojalnie.

— Bez przesadnych skrupułów. Ostatecznie jedziemy na jednym wózku — ona i my. W takich wypadkach należy zachować jak najdalej idącą ostrożność, aby nie spłoszyć przestępcy. I właściwie, co my wiemy o niej, o Yvette? Że jest krnąbrną, źle wychowaną dziewczyną, pozującą na hippiszkę, nihilistkę, czy innego czorta, bez żadnego kręgosłupa moralnego i pokrycia dla tak jaskrawo uzewnętrznianego programu ideologicznego, a w gruncie rzeczy niedouczonej, zakompleksionym stworzeniem, nieco trywialnym i nieco spaczonej, które przeszło przez twardą szkołę w dzieciństwie i płonie żądzą odwetu za prawdziwe i urojone krzywdy. Czyż to nie świetny materiał na zbrodniarkę? Na pewno pragnie zdobyć tyle pieniędzy, żeby świat leżał u jej stóp, żeby wszystko podeptać i przewartościować, zniszczyć dawnych bogów i samej stanąć na cokole.

— Chyba jednak nie przypuszcza kuzyn, że to Yvette spowodowała śmierć Denise i udusiła dziadka Charles'a? Cały czas była razem ze mną w „Czarnym Baranie”, a z jadalni nie wychodziła ani na chwilę. Zresztą obserwowałem jej reakcję: na widok głowy Denise o mało co nie wpadła w obłąd.

— Ten stan mógł być wywołany szokiem i nie świadczy o jej niewinności. Ale istotnie, nie sądzę, żeby Yvette była sprawczynią tych zbrodni, to znaczy, żeby wykonała je własnoręcznie; mogła jednak mieć współnika lub współniczkę. Przykładowo: była zaprzyjaźniona z portierem w tym lokalu i skłoniła go do przedstawienia mechanizmu gilotyny tak, aby w czasie występu prawdziwe

ostrze spadło na szyję Denise, obiecując połowę swego majątku za pomoc w jej zgładzeniu. Albo: namówiła kogoś do uduszenia dziadka i zrzucenia go ze schodów, a może nawet sama go udusiła i przyszła jak gdyby nigdy nic do jadalni, a ktoś inny go zrzucił.

— Wersja spółki z Murzynem w lokalu wydaje się mało prawdopodobna. Nie byłby tak naiwny, żeby narażać życie dla obiecanek niedorosłej dziewczyny. Również nie jest dla mnie do przyjęcia hipoteza, że dokonała zabójstwa na osobie, którą opiekowała się od wielu lat. Mimo że brzydziła się dziadka i miała wstręt do wykonywania przy nim posług, czemu w końcu nie można się wcale dziwić, musiała być do niego w gruncie rzeczy na swój sposób przywiązana. Uważam, że wiadomość o jego śmierci zrobiła na niej wstrząsające wrażenie i że rozpacz jej była szczerą, choć trwała krótko. Nie, nie mogę zgodzić się z tym, że Yvette może być podejrzana o dokonanie tych morderstw.

— Toteż nie twierdzę, że ona jest jedyną podejrzaną, ale nie widzę podstaw do całkowitego wyeliminowania jej z tego kręgu. Będę nadal upierał się przy tym, że na zbrodnię w night-clubie należy patrzeć wyłącznie pod kątem współdziałania sprawcy z osobą pracującą w lokalu. Inaczej w ogóle nie można by jej dokonać.

— Jeżeli naprawdę było to morderstwo...

— Dla mnie nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Śmierć Charles'a to kropka postawiona nad i. Podejrzenie zamieniło się w pewność. Na razie jednak skoncentrujmy się na zbrodni numer dwa. Tu mamy o wiele większe pole do działania. Właściwie wszyscy członkowie rodziny mieli osobisty interes w zgładzeniu starego Mignona, wszyscy oprócz Marcela, choć to łotr spod ciemnej gwiazdy z nieźle zabagnioną kartoteką kryminalisty.

— No tak. Marcel, w związku ze śmiercią Denise, automatycznie został wyłączony z grona zainteresowanych w podziale spadku, po prostu w nim nie uczestniczy. Ale czy te wszystkie rozważania na temat ustalenia osoby

przestępcy mają jakikolwiek sens? Nie wydaje się, żebyśmy mogli dojść do pozytywnych rezultatów. Jeżeli na przykład morderca w tej chwili czai się na korytarzu z nożem w ręku, aby nas zadźgać i tak nie będziemy mogli mu przeszkodzić.

— Kuzyn znów swoje. Wykluczam, absolutnie wykluczam, stosowanie metod gwałtu przez zbrodniarza. Mówiłem przed chwilą na ten temat. Nie traćmy czasu na powracanie do tych samych kwestii i wróćmy do istoty rzeczy. Tu każda chwila może być droga.

Alain przeżywał szczyt upojenia swoją twórczością. Fantazje na jednej nucie zdawały się osiągać kulminacyjny punkt, którym mógł przyprawić już dawno mniej wytrzymałe jednostki o atak szału; Paul odznaczał się widocznie wyjątkową odpornością w tej dziedzinie, gdyż nie zwracał na nie uwagi.

— Postawmy sobie proste z pozoru pytanie. Kto mógł zabić Charles'a Mignona? Zakładając dopuszczalną, kilkunastominutową tolerancję w czasie między zgonem a upadkiem zwłok ze schodów — każdy. Nie było wśród nas osoby, która by nie mogła wejść do jego sypialni i zacisnąć frędzle od czepka na szyi starca. Do tego nie było potrzeba siły. Drugie pytanie jest o wiele trudniejsze. Kto zepchnął starego Mignona, a właściwie jego trupa, ze schodów? Przecież wszyscy byliśmy w tym czasie w jadalni.

— Nie wszyscy — powiedziałem nie swoim głosem. — Nie było Cyryla Stupefaita.

Rozwiązanie było tak dziecinnie proste i narzucało się z tak oczywistą siłą, że należało się tylko dziwić, dlaczego tyle czasu poświęciliśmy na zbędne domysły. Diabelska muzyka na górze nie traciła na intensywności, a nawet zdawała się rozbrzmiewać jeszcze głośniejsze, gdyż między nami zaległa zupełna cisza.

Przerwał ją Amoureux.

— To niemożliwe. Znam dobrze stan zdrowia Cyryla i jego schorzenie. W żaden sposób nie mógł zadusić tego starca. Cierpi na pewnego rodzaju porażenie nerwów kończyn, jego palce nie są na tyle sprawne, aby uchwycić frędzle i pociągnąć za nie z siłą, która w efekcie spowodowała pęknięcie krtani. Mówiąc, że każda ze

zgrupowanych w tym domu osób mogła dokonać morderstwa Charles'a, nie miałem na myśli Cyryla. On stoi poza nawiasem normalnych ludzi. Choć jednak...

— A jednak?

— Cyryl mógł zepchnąć wózek ze schodów. Na tyle jest sprawny fizycznie.

— W takim razie niewątpliwie miał współnika albo..., albo był narzędziem w rękach zbrodniarza. Uważam, że powinniśmy bezzwłocznie z nim porozmawiać, jeżeli mamy zamiar nadal sami prowadzić śledztwo. Gdzie on jest teraz? Myślałem, że jego stałym miejscem pobytu jest biblioteka.

— Prawdopodobnie w drugim skrzydle budynku, w miejscu specjalnie dla niego wydzielonym, w starej zbrojowni, gdzie zainstalowano mu hamaki do spania. Dziadek Jean nie lubił jego widoku na co dzień, wołał go odseparować i usunąć ze swego pola widzenia. Jednak urządził dom tak, żeby ten biedak mógł się poruszać bez niczyjej pomocy, czepiając się wbitych w sufity i ściany haków. Ja znam dobrze zarówno jego stan fizyczny, jak i umysłowy, i wydaje mi się wprost niepodobieństwem, aby mógł nawiązać ścisły kontakt z innym człowiekiem i w pewnym sensie zdecydować się na współudział w zbrodni. Moim zdaniem, to znacznie przekracza jego zdolność percepcji pojęć i zjawisk.

— Jeżeli nie zrobił tego Cyryl, to oznacza, że w tym domu znajduje się ktoś obcy, kto sprytnie ukrywa się w jakimś zakamarku i może, bez najmniejszych trudności, wybić nas wszystkich co do nogi. Wobec tego czeka nas miła perspektywa spędzenia reszty tej nocy z zakonspirowanym opryskiem!

Paul Amoureux widocznie po tych słowach poczuł się nieswojo, gdyż pozeglował niespokojnym spojrzeniem w głąb korytarza, jakby z jego czeluści miał natychmiast wychynąć bliżej niezidentyfikowany osobnik z tomahawkim w ręku, ale w okamgnieniu twarz jego przybrała z powrotem bezosobowy i kamienny wyraz.

— Zaczynamy bardzo szybko dochodzić do absurdalnych

wniosków, a w ten sposób nie osiągniemy niczego. Trudno przypuścić, że zorganizowana szajka sprzysięgła się, aby dokonać zagłady rodu Mignon, należałoby raczej sądzić... Ale cóż to? Co się dzieje? Dlaczego zgasło światło?

W bibliotece zaległa nieprzenikniona ciemność, związana z jakąś niespodziewaną, fizycznie odczuwalną ulgą. To jednocześnie umilkła, a właściwie urwała się, piekielna muzyka nad naszymi głowami.

Amoureux po omacku, roztrącając sprzęty, podszedł do kontaktu i przekręcił go kilkakrotnie, ale bez rezultatu.

— Psiakrew! — zaklął, co wskazywało na zupełne zakłócenie jego równowagi. — To chyba większa awaria. Wydaje mi się, że coś trzasnęło na górze. Czy kuzyn też słyszał?

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, gdyż na schodach rozległy się kroki i na korytarzu odezwały się liczne głosy.

Pierwszy ukazał się major Dalentin z wielką latarką w dłoni.

— Dlaczego nie ma światła? — zadudnił, jak gdybym ja do spółki z doktorem Amoureux był za ten karygodny fakt osobiście odpowiedzialny. — Podawałem właśnie Jacqueline lekarstwo, kiedy nagle zgasło.

— Co się stało? Trzeba sprawdzić korki w mufie — ciotka Eliza w aksamitnym turbanie na głowie wystąpiła z ciemności, dzierząc w dłoni okazałą świecę, niewiele mniejszą od gromnicy.

W jej migotliwym blasku Ewa, spływająca z góry w różowym peniuarze, wydała mi się zjawą nie z tego świata. Serce zabiło mi żywiej i poczułem niewysłowioną ulgę, że widzę ją w tak dobrej formie. Marie-Louise, powiewająca niezmiennie lisami, w wieczorowej sukni, której widać ani na chwilę nie zdejmowała, wyłoniła się z mroku z bladą, marmurową twarzą. Niespodziewanie podeszła do Ewy i objęła ją wpół, przytulając głowę do jej ramienia. W tym ułamku sekundy, w niesamowitej scenerii ciemności i grozy, te dwie piękne, lecz jakże różne w ty pie i urodzie kobiety, mogły stanowić zapewne znakomite studium portretowe dla niejednego malarza. Nie było jednak czasu na kontynuowanie estetycznych wzruszeń, gdyż Dalentin

zagrział znowu, wymachując latarką.

— No cóż do diabła! Czy nikt nie wie, gdzie są te przekłete korki? Przecież zostawiłem Jacqueline samą! Kto się wreszcie ruszy?!

— Yvette — zawołała Eliza de Biencourt. — Zejdź na dół do mufy!

Dziewczyna, dotychczas niewidoczna w mroku, ukazała się w kręgu światła latarki. Przystanęła na środku korytarza, jakby czegoś nasłuchując.

— Alain! To na pewno Alain! — krzyknęła nagle przeraźliwie i pobiegła, jak huragan, po schodach, na górę, a za nią wszyscy pozostali.

Drzwi do pokoju chłopca nie były zamknięte, ustąpiły łatwo pod jej niecierpliwą ręką. Drżący blask świecy ujawnił kształt postaci rozciągniętej na podłodze. Alain Cherier leżał w pobliżu kominka, w dziwnej pozycji z podkurczonymi nogami i rękoma rozczapierzonymi jak szpony. Na nagich piersiach spoczywała gitara, wyglądająca jak zrośnięta z nim nierozłącznie część jego ciała.

— Niech nikt go nie dotyka! — krzyknął Paul Amoureux i z całej siły chwycił Yvette, osadzając ją w ostatniej sekundzie gwałtownie na miejscu.

— Pilnuj jej! — rozkazał mi krótko, puszczać jej ręce, a sam wszedł do pokoju.

Wyrywała mi się z furią zranionego, dzikiego zwierzęcia, dysząc i parskając. Usiłowała mnie gryźć, drapać. Musiałem ją trzymać niemal przy użyciu wszystkich sił, aż wreszcie przycichła i opadła jak podcięta roślina. Paul Amoureux, przy blasku świecy, którą podniósł w górę, badał coś długo w rogu pokoju, przyklękawszy na jedno kolano.

— Chyba już wszyscy zorientowali się, że Alain Cherier nie żyje — powiedział, stając wreszcie na progu. — Od razu przypuszczałem, że zginął na skutek śmiertelnego porażenia prądem elektrycznym, które spowodowało krótkie spięcie w całym budynku, chciałem jednak ustalić, jaka była jego bezpośrednia przyczyna. Teraz mogę z całą

stanowczością stwierdzić, że porażenie wywołało uszkodzenie wzmacniacza do gitary elektrycznej. Upprzedzam, że nie wolno dotykać zwłok, ani przenosić je na inne miejsce, gdyż grozi to niebezpieczeństwem; muszą się tym zająć specjaliści. Należy go zostawić w spokoju — to wszystko, co możemy zrobić dla tego biedaka.

Zamknął starannie drzwi i przekręcił klucz w zamku.

— Zabiliście go! Mordercy! Zbrodniarze! — histeryczny, napięty do szczytu krzyk Yvette przeciął powietrze, jak wybuch granatu.

Chwilę stała nieruchomo, a potem pobiegła tak szybko, że nikt nie był w stanie jej zatrzymać.

— Dobry Boże, to straszne, to okropne... Przekleństwo, przekleństwo... — z ust Elizy de Biencourt wydobywał się bełkot, aksamitny turban niebezpiecznie zjechał na bok, ukazując siwe pasmo włosów, a ona sama zdawała się chwiać na nogach.

— Zajmę się nią — powiedziała Marie-Louise i pospiesznie ujęła starą damę pod rękę. — Zaprowadzę ciocię do pokoju.

— Tak będzie najlepiej — przytaknął Paul, chowając klucz do kieszeni.

Rozdział VI

Czwarte uderzenie

— A co z elektrycznością? Nie możemy wiecznie tak tkwić w ciemności — zahuczał ze zniecierpliwieniem major Dalentin, który, jak widać, przeszedł już nad zgonem Alaina do porządku dziennego.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że zostawiłem niebacznie w moim pokoju wszystkie dokumenty z paszportem włącznie. Oczyma wyobraźni ujrzałem przestępcę plądrującego zapalczynie w mojej szafie, co sprawiło, że czym prędzej zbiegłem po omacku po schodach na pierwsze piętro. Zamiast zapalić świece, których na szczęście w tym domu nie

brakowało, dopadłem do szafy i zagłębiłem niecierpliwie rękę w szufladzie. Z westchnieniem ulgi stwierdziłem, że wszystko jest w porządku, dokumenty leżą na miejscu, schowałem więc je do portfela i rzuciłem się na fotel, czując przyływ znużenia i nieprzewartą chęć do drzemki. Nie było mi danym jednak tej nocy zmrużyć oka, gdyż z błogosławionego stanu znieczulenia na wszystkie ziemskie kataklizmy wyrwał mnie gwałtowny hałas na korytarzu. Wyraźnie dobiegły mnie odgłosy charakterystyczne dla staczanej walki, szamotanina, uderzenia, stuk upadającego na podłogę ciała, a potem szybko oddalające się kroki. Jednocześnie zapaliła się mała lampka nocna, której nie zgasiłem wychodząc na kolację. Awaria spowodowana krótkim spięciem została więc usunięta. Błyskawicznie otworzyłem drzwi na korytarz i ku swemu niekłamanemu przerażeniu zobaczyłem Ewę stojącą nieruchomo i trzymającą się oburącz za szyję.

— Ewo, co się stało?! Na litość boską, powiedz co ci jest?!

— zawołałem.

Odjęła ręce od szyi. Jej peniuar był rozchylony. Ujrzałem drobne piersi, pokryte złocistą, jędrną skórą. Chwilę milczała.

— Szłam do łazienki — powiedziała, a głos jej był nieco zmieniony, jakby schrypnięty — gdy ktoś mnie napadł. Myślę, że chciał mnie udusić. Zarzucił mi coś na szyję, chyba szalik, i usiłował zacisnąć. Ale nie niepokój się, nic mi się nie stało, już wszystko w porządku.

— Jakże mogłem zostawić cię samą! Jestem potworem, wstrętnym egoistą, samolubem. Uległem sugestiom Paula Amoureux, żeby zachować tę sprawę w tajemnicy, ale powinienem był ci od razu powiedzieć, że Charles Mignon nie umarł naturalną śmiercią, lecz został zamordowany i że grozi nam wszystkim niebezpieczeństwo. To ja jestem temu winien!

— Przestań — przerwała dość gwałtownie. — Niepotrzebnie się oskarżasz, przecież to ja pierwsza powiedziałam ci, że w tym domu panuje dziwna atmosfera, że wyczuwam w powietrzu coś groźnego. W końcu nie trzeba prowadzić mnie za rękę. Ach, przepraszam... Jestem

jednak zdenerwowana. To pocziwe z twojej strony, że troszczysz się o mnie. A ja zamiast ci podziękować, jeszcze się złościę.

— Ewo! To nie ma sensu! Nie możemy spokojnie czekać na to, żeby jakiś perfidny obłąkaniec wytlukł nas wszystkich do szóstej rano. Idź, spakuj się! Natychmiast opuszczamy ten dom!

— O, nie! Ja tu zostaję! Przyjmij do wiadomości, że się niczego nie boję i że potrafię się obronić. Co zaś do ciebie — to przecież możesz się w każdej chwili wycofać.

— W żadnym wypadku nie wyjadę stąd sam! Nie zostawię cię tu na pastwę losu — powiedziałem z tragicznym patosem. — Chociaż naprawdę nie wiem, czy ci w czymkolwiek mogę być pomocny, skoro tak stawiasz sprawę. Czy przynajmniej wiesz, kim był ten napastnik?

— Nie, przecież było zupełnie ciemno. I wszystko trwało tak krótko. Ale z całą pewnością to mężczyzna.

— Jakim cudem zdołałaś mu się wyrwać?

Błady uśmiech rozchylił jej ponętne usta, które nabierały już zwykłego zabarwienia.

— Nie jest to trudne, jeśli zna się trochę dżudo. Jak widzisz, nie jestem bezbronną kobietką, nie musisz się o mnie obawiać.

— Schodzę na dół, Ewo, do biblioteki. Proszę cię, przyjdź tam także. Razem przeczekamy do szóstej rano, tak będzie bezpieczniej.

— Ach, nie. To zbyt ciężkie. Położę się trochę i odpocznę. Zresztą na pewno będzie tam z tobą ten Amoureux, a on działa mi na nerwy. Nie krępuj się, idź sam, jestem teraz zmęczona.

— Ale zamknij się dobrze. Najlepiej zastaw drzwi jakimś ciężkim sprzętem.

— Dobrze. Jesteś kochany, Zygmunco. Nie miej takiej przerażonej miny, już się świetnie czuję.

Drzwi za Ewą zamknęły się. Zbiegłem szybko na dół.

Paul Amoureux stał na progu biblioteki i spokojnie palił papierosa. Nie wiem dlaczego, ale cała moja złość skrupiła

się na nim. Wydał mi się nieprzyzwoicie elegancki i pewny siebie w obliczu nieszczęść, które nawiedziły ten dom. choć w gruncie rzeczy wiedziałem, że to powierzchowna i niesprawiedliwa ocena: Paul nie uzewnętrzniał swych przeżyć, umiał znakomicie panować nad sobą, ale na pewno czuł się nie mniej wstrząśnięty niż ja, tym bardziej, że osoby, które w błyskawicznym tempie przeniosły się na tamten świat, były mu o wiele bliższe niż mnie.

— A więc przybył nam jeszcze jeden nieboszczyk. Czy nadal kuzyn nie chce zwrócić się do policji o pomoc? — zaatakowałem go, podchodząc.

— Tym razem mógł się wydarzyć naprawdę nieszczęśliwy wypadek — odpowiedział, unikając mego spojrzenia.

— Takie wytłumaczenie staje się teraz wygodne. Ja jednak pozwolę sobie wyrazić odmienny pogląd: Alain Cherier jest następną ofiarą zbrodniarza czyhającego na majątek Mignona — to oczywiste.

— Być może — mruknął Amoureux. — Tego nie można wykluczyć.

— Więc na co, do diabła, czekamy?! Chyba na to, żeby ten dom zamienił się w kostnicę! Nie wiadomo, czy ręka mordercy nie dosięgnie któregoś z nas. Czy o tym kuzyn nie pomyślał?

— Spokojnie, drogi Zygmuncie. Nie należy się tak gorączkować. Czas pracuje na naszą korzyść, jest druga w nocy. Do szóstej brakuje tylko czterech godzin. Musimy jakoś przetrwać.

— Przez te cztery godziny może się jeszcze dużo przytrafić, jeżeli nie podejmiemy odpowiednich kroków. Okazuje się, że nasze poprzednie rozważania na temat identyfikacji mordercy nie dały żadnych rezultatów, a wręcz odwrotnie. W tym czasie rozegrała się nowa tragedia, której nie mogliśmy, ani nie umieliśmy zapobiec.

— Bo scenariusz zbrodni, wbrew, wszelkiej logice, został dawno obmyślony, a realizacja nie przedstawiała żadnej trudności.

— To szumnie powiedziane, a prawda jest taka, że

morderca przed chwilą chciał zadać następny cios, który na szczęście mu się nie udał.

Amoureux drgnął i nerwowo przetarł okulary.

— O niczym nie wiem. Czy znów coś się stało?

— Ktoś w ciemnościach chciał udusić Ewę Okoniównę. Ona twierdzi z całą stanowczością, że był to mężczyzna. Uratowała się tylko dzięki znajomości dżudo. Napastnik uciekł na sekundę przed zapaleniem światła.

— Niestety, właśnie byłem przy mufie i reperowałem korki, więc nic nie słyszałem. Ale w tym wypadku liczba podejrzanych jest niezbyt wielka. Jest nas pięciu w tym domu, choć zabrmi to paskudnie, aktualnie żyjących mężczyzn, w tym my dwaj, a siebie raczej nie będziemy brać pod uwagę, Cyryl Stupefait, który tym razem absolutnie nie może wchodzić w rachubę, Marcel i Dalentin.

— Ciekawe, że Marcel ani razu nie pokazał się od kolacji.

Widocznie poszedł spać i dlatego nawet awaria elektryczności nie postawiła go na nogi. Nie wiem, czy nie nazbyt pochopnie wyeliminowaliśmy go z kręgu ewentualnych morderców, chociaż i teraz w żaden sposób nie mogę dopatrzeć się korzyści, którą przyniosłoby mu wyekspediowanie nas na tamten świat, w sytuacji kiedy Denise nie żyje.

— Poza umiłowaniem zbrodni, sadyzmem, fanatyczną nienawiścią i różnymi dewiacjami umysłowymi. Wydaje się jednak, że Marcel, mimo bujnej przeszłości, nie jest profesjonalnym mordercą, a ponadto brak mu predyspozycji intelektualnych do konsekwentnego, przemyślanego działania. To w gruncie rzeczy kompletny imbecyl i dlatego raz jeszcze trzeba go wykluczyć.

— W takim razie, pozostaje tylko Dalentin, major Dalentin — uczestnik Ruchu Oporu. Nie, to się w głowie nie mieści, to podważa mit o bohaterstwie, sławie, odwadze tych ludzi, wsławionych tak wielkimi czynami. Chociaż i ja mam na jego temat coś do powiedzenia, o czym dotąd nie wspomniałem. Ten człowiek kłamie,

odgrywa przed nami komedię. Jego miłość do córki nie jest prawdziwa. Ewa przypadkiem zobaczyła, jak pchał ją i kopał, sądząc, że jest z nią sam. To też o czymś świadczy.

— Coś podobnego! — Amoureux aż podskoczył do góry. Tym razem nie udało mu się zachować stoickiego spokoju. — To z wujaszka taki ananas! Od razu podejrzewałem, że chce nas nabrać. Nie wiadomo, kim jest ta dziewczyna i skąd ją wytrzasnął. Prawdopodobnie wcale nie jest jego córką, a kaleką wziętą z przytułku, którą zamierzał podstawić celem zagarnięcia jeszcze jednej części spadku. Nikt dotąd nie słyszał, żeby miał żonę, czy dziecko. Mam zamiar powiedzieć mecenasowi, żeby zbadał tę sprawę. Obawiam się tylko, że Dalentin jest w posiadaniu sfałszowanych papierów. No, nie patrz tak na mnie, kuzynie. Wujaszek nigdy nie cieszył się świetlaną opinią, a jego udział w Ruchu Oporu stoi także pod znakiem zapytania. Oczywiście, każda szanująca się rodzina chce mieć krewnego — bohatera i dlatego skwapliwie została przyjęta legenda o jego wyczynach wojennych, w istocie nie mająca pokrycia w prawdzie. Wydał się, że zacny wujaszek trochę przesadził z wprowadzeniem na scenę tak upośledzonego stworzenia, jakim jest Jacqueline. Zapewne chodziło mu o to, żeby osoba taka była głuchoniema, ale to przecież absolutna ofiara. Cierpi na szczególny niedorozwój, i którym się dotychczas w mojej praktyce nie zetknąłem. Ona wcale nie połyka pokarmu. Dalentin wrzucał jedzenie do jej ust, jak do nieruchomego otworu. Nie wiem, w jaki sposób w takim układzie może odbywać się trawienie.

— Przestańmy, kuzynie, zajmować się szczegółami anatomii Jacqueline — powstrzymałem zapał zawodowy Paula. — Zajmijmy się naszą sytuacją. Jeżeli jesteśmy pewni, że Dalentin jest mordercą, musimy natychmiast go obezwładnić, nawet przy użyciu siły.

— Cha, cha, cha — roześmiał się z humorem wisielca, Amoureux. — Oto polska wojownicza krew: Sobieski, Kościuszko, Sułkowski. Pamiętam jeszcze coś niecoś historię. Do broni! Walka do ostatniej kropli krwi!

Zwycięstwo albo śmierć! Szczytne hasła. My jednak musimy być ostrożni, przecież nie złapaliśmy go na gorącym uczynku. A jeśli istotnie na terenie tego domu ukrywa się nieznany osobnik, który zabił Charles'a Mignona? Równie dobrze mógł dokonać zamachu na Ewę. Gdyby naprawdę tak było, popełnilibyśmy karygodne głupstwo, oskarżając o zbrodnie majora Dalentin, a nawet narazilibyśmy się na przykre konsekwencje, gdyż, jak skądinąd mi wiadomo, wujaszek jest zawzięty i nie puszcza płazem doznanych zniewag.

— Wobec tego musimy natychmiast przeszukać cały pałacyk od piwnic, aż do strychu. Nie zapominajmy, że razem z nami są kobiety narażone na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Lepsza najgorsza prawda niż świadome chowanie głowy w piasek i trwanie w bezczynności.

— Nie wiem, jak sobie kuzyn wyobraża takie polowanie na mordercę, ale ja osobiście nie mam zamiaru zostać zaciukany w jakimś ciemnym kącie, choć rozumiem, że rycerskość twoja nie ma granic. Zresztą, prawdę powiedziawszy, dalej nie wierzę w obecność w domu kogoś z zewnątrz. Dopuściłem taką ewentualność na skutek uprzednich sugestii kuzyna, ale bez przekonania co do jej możliwości. Tak czy inaczej musiałby to być współnik któregoś spośród nas, osobiście zainteresowany w zagładzie rodziny. Zamiast ryzykować napad na majora, proponuję, żebyśmy porozmawiali z Cyrylem Stupefaitem, tak jak mieliśmy to zamiar przedtem zrobić.

— A jeśli on nie zechce z nami mówić? Przecież nie można go zmusić?

— Przypuszczam, że będę umiał użyć właściwych argumentów, które skutecznie na niego podziałają. To osobnik o bardzo słabej odporności psychicznej. No jak, Marie-Louise? Czy udało ci się uspokoić ciotkę?

Marie pojawiła się w bibliotece tak bezszelestnie, jakby poruszała się za pomocą sił nadprzyrodzonych i była zjawą, a nie młodą, atrakcyjną kobietą. Wrażenie to potęgowała alabastrowa bladość twarzy i nienaturalny

blask rozgorączkowanych oczu.

— Z wielkim trudem — powiedziała stłumionym, powolnym głosem. — Wpadła w histerię. Koniecznie chciała porozmawiać z Yvette, ale nie dopuściłam do tego. Przy ich stanie nerwów nie miałyby to sensu. Opowiedziała mi, że kilka tygodni temu Alain miał już podobny wypadek, z którego cudem wyszedł cało. Odniosłam wrażenie, że ciotka panicznie boi się śmierci. Czy to nie śmieszne w jej wieku? Co może ją jeszcze ciekawego czekać? Zastanawiam się, dlaczego starzy tak uparcie czepiają się życia. Przecież to straszne, kiedy się swoim wyglądem budzi odrazę i wstręt w otoczeniu. Myślę, że ja będę umiała w odpowiednim momencie zejść ze sceny. No, ale nie wszyscy mogą się na to zdobyć. Ciotka Eliza myśli, że pieniądze przywrócą jej młodość i urodę, nie rozumie, że dla niej się wszystko skończyło. Biedna stara:.. Nie chciała mnie od siebie puścić. W końcu dałam jej proszek nasenny, może się trochę zdrzemnie. Przyznam się, że jestem potwornie zmęczona. Chętnie wypiłabym kilka drinków. Słuchajcie — mam propozycję: zapraszam was obu i Ewę do siebie na kieliszek Veuve-Cliquot. W ten sposób czas nam szybciej zleci.

— Lepiej prześpij się, Marie-Louise — mruknął Paul, który bez drgnienia powieki wysłuchał słów siostry. — To ci wyjdzie na zdrowie. Niestety — nie będziemy ci mogli służyć towarzystwem, nieprawdaż, Zygmunce? — zwrócił się do mnie z naciskiem, szukając potwierdzenia. W milczeniu skinąłem głową.

Twarz Marie-Louise pobladła jeszcze bardziej, a w oczach zamigotał błysk gniewu. Wydawała się być nieprzyjemnie zaskoczona naszą odmową.

— No cóż, znajdę jakieś inne zajęcie — wycedziła, otulając się nerwowo lisami.

Wyszła, pozostawiając za sobą smugę delikatnych, egzotycznych perfum.

— Chodźmy wreszcie do Cyryla — Paul poprawił odruchowo krawat i przygładził włosy. — Choć to jest także

zwariowany pomysł. Jeżeli śpi, a tak jest najprawdopodobniej, nie obudzą go nawet wystrzały armatnie.

Dom pogrążony był w ciszy, zza licznych drzwi, które mijaliśmy, nie dochodził żaden odgłos. Weszliśmy na piętro, a potem zagłębiliśmy się w długi korytarz, o którego istnieniu dotąd nie wiedziałem, prowadzący do bocznego skrzydła budynku, zatopionego w zupełnym mroku.

„Doskonała okazja do popełnienia morderstwa — pomyślałem. — Za chwilę ktoś zdzieli mnie w łeb i w ten sposób zakończę swój doczesny żywot”.

W pewnej chwili kroki idącego obok mnie Paula ucichły. Ni stąd ni zowąd wyobraziłem sobie, że umyślnie przystanął, aby zacząć się w ciemnościach i kielkujące we mnie nieśmiało podejrzenie, że to on jest tym tajemniczym zbrodniarzem, wysyłającym w zaświaty krewniaków, zamieniło się w pewność. Grzeczny, układny Paul, wyrachowany, opanowany aż do perfekcji, chłodny analityk, perfidnie roztrząsający motywy, jakimi mógł się kierować morderca, niebezpieczny w swojej wyrafinowanej inteligencji — to musiał być on, to na pewno on! Puls załomotał mi gwałtownie w skroniach, a na plecach pojawił się pot. Na razie jednak wszystkie moje członki łącznie z głową, tkwiły na swoim miejscu, odważyłem się więc wykrztusić.

— Czy... czy... nie można by zapalić światła?

— Właśnie szukam kontaktu — usłyszałem głos Paula i kinkiety na ścianach zapłonęły równym, choć niezbyt ostrym blaskiem. — To tutaj jest zbrojownia.

Poczułem się jak wisielec, którego w ostatnim momencie odcięto od stryczka, na skutek czego nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Całą siłą woli starałem się opanować i gromiłem siebie w duchu za bezdenną głupotę i uleganie panującej w tym domu psychozie zbrodni. Tymczasem Amoureux stał najspokojniej pod okazałym trofeum z rogów jelenich i przyglądał mi się ze szczególnym zainteresowaniem. Widocznie wygląd mój wydał mu się podejrzany.

— Czy kuzyn źle się czuje? — zapytał.

Potrząsnąłem przecząco głową, przysięgając, że nigdy więcej nie ulegnę podobnym napadom histerycznego lęku. Raz jeszcze spojrział na mnie uważnie spoza połyskujących okularów i powoli otworzył drzwi zbrojowni. Łagodne światło elektryczne, płynące z niewidocznego źródła, ukazało rozległe wnętrze, wysłane w całości miękkim chodnikiem, wiejące chłodem i martwością. Wrażenie to wywoływały stojące w bezruchu zbroje rycerskie, zaopatrzone w przyłbice, miecze, halabardy i inne wojskowe akcesoria, pochodzące z różnych stuleci, ponure, groźne jak zmartwychwstałe widma krwawej przeszłości — jeszcze jedna kolekcja spośród licznych tego rodzaju pasji starego Mignona. Nad naszymi głowami ciągnął się biała płaszczyzna, przecięta licznymi hakami, gładki sufit.

— Nie ma go tutaj — powiedziałem z rozczarowaniem.

Amoureux pilnie rozglądał się dookoła.

— Tam! — wskazał ręką jakiś osobliwy kształt w rogu pokoju, zawieszony w poziomej pozycji, na wysokości mniej więcej półtora metra od podłogi, przy potężnej zbroi, połyskującej złocistą blachą.

— To on. Nie rozumiem, dlaczego nie śpi, jak zwykle, w hamaku. Wygląda na to, że znajduje się w stanie katalepsji, co mu się jeszcze nigdy dotychczas nie zdarzyło. Chyba niełatwo będzie się z nim porozumieć.

Tak, to był niewątpliwie Cyryl Stupefait, w całej okazałości, wyciągnięty jak struna, uniesiony w nienaturalny sposób w powietrzu, jak fakir, albo wyznawca tajemnego kultu w transie hipnotycznym. Wyprostowane nogi, obleczone w niebieskie dżinsy, sprawiały wrażenie nieskończenie długich szczudeł, obutych w ranne, zwisające pantofle i tylko skrawki bladego, owłosionego ciała, wyzierającego zza opuszczonych, granatowych skarpet świadczyły o tym, że należą do człowieka, a nie do manekina.

Paul Amoureux zbliżył się i potrząsnął go za rękę, która wymknęła mu się z dłoni i opadła bezwładnie.

— O, Boże — jęknął. — A więc on także... ale jak to się

stało?

Przeniósł na mnie dalekie, niewidzące spojrzenie.

— Niestety, nic się od niego już nie dowiemy, nie żyje przynajmniej od dwóch godzin.

Pochylił się nad zmarłym i gwałtownie odskoczył kilka kroków. Widać było, że cechujący go spokój został tym razem poważnie zakłócony.

— To wprost niewiarygodne, jaka perfidia, nigdy nie dałbym wiary, że to będzie możliwe. Zobacz, Zygmuncie, w jaki sposób Cyryl rozstał się z tym światem. Jestem pewien, że casus ten przejdzie do historii kryminalistyki.

Istotnie, zwłoki Cyryla przedstawiały niecodzienny widok. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że został przebity na wylot mieczem, który przeszedł mu przez plecy i wystawał na piersiach z rozdartej, pokrwawionej koszuli. Fenomen stanowił fakt, że narzędzie zbrodni trzymał rycerz bez głowy, czyli zbroja z uchyloną przyłbicą o pustych, czarnych oczodołach, dlatego z daleka wydawało się, że trup tkwi sztywno i nieruchomo, jakby utrzymywany w powietrzu przez nadprzyrodzone moce. Przede wszystkim jednak uwagę moją zwrócił dziwny przyrząd z metalu, opasujący pierś zmarłego — coś w rodzaju sterczącej do góry rury.

— Wygląda na to, że mordercą jest ten stary pancerz, co jest przecież oczywistym nonsensem — powiedziałem, odwracając głowę od doczesnych szczątków Cyryla.

— Otóż to — podchwycił Amoureux. — Niewątpliwie dokonano tutaj morderstwa zdalnie sterowanego, a sprawca wykorzystał zmiany fizjologiczne organizmu Cyryla. Widzi kuzyn ten metalowy przyrząd? Można by go pospolicie nazwać „odpychaczem”. Został specjalnie skonstruowany dla Cyryla, aby mógł utrzymywać się w odpowiedniej odległości od sufitu, umożliwiając mu normalne ruchy. Wiedząc o tym morderca zamienił stary miecz przytwierdzony do pancerza w straszliwą broń śmiertcioną, nakładając na niego elektromagnes, który przyciągnął metal, znajdujący się na piersiach tego nieszczęśnika. Cyryl spadł jak kamień z góry i nadział się na

ostrze, które przeszło go na wylot. Taki był jego koniec.

— Chodźmy stąd — powiedziałem. — Nie mamy tu już nic do roboty. Mechanizm tej zbrodni wskazuje na to, że morderca działa z premedytacją i bezwzględnością i że nie oszczędzi nikogo, jeśli nadal pozwoli mu się bezkarnie grasować.

— To prawda — przytaknął Amoureux, odchodząc z ociąganiem od fascynujących go (zapewne z punktu widzenia medycznego) zwłok.— Sytuacja jest wyjątkowa. Nie jestem wprawdzie zwolennikiem odpowiadania przemocą na przemoc, ale w tym wypadku, aby się bronić, musimy pierwsi zaatakować.

Rozdział VII

Bogowie podziemia

— Tu jest pokój Marcela — oświadczył Paul, kiedy wyszliśmy na korytarz. — Niestety, będziemy zmuszeni mu przerwać smaczny sen.

— Ależ to bezsens! Przecież wszystko wskazuje na to, że Marcel w ogóle nie wchodzi w grę jako morderca. Absolutnie brak jest motywów, aby wszystkie te okropności były jego sprawką.

— Bywają takie rzeczy na ziemi i niebie, o których nie śniło się filozofom — zacytował Amoureux słowa słynnego poety, i natychmiast zniżył głos do szeptu. — Prawda jest taka, że zostało nam tylko dwóch kandydatów na morderców: Marcel i Dalentin, co nie wyklucza możliwości, że działali wspólnie.

— O Boże! — krzyknąłem, za co zostałem zgromiony groźnym spojrzeniem Paula, gdyż znajdowaliśmy się akurat pod samymi drzwiami podejrzanego. — Nie przyszło mi to do głowy.

Przypomniałem sobie bowiem dziwaczną i niezrozumiałą rozmowę dwójga niezidentyfikowanych osób, którą usłyszałem przed kolacją za pośrednictwem przewodów kominka. A jeśli jedną z nich był Marcel? A może właśnie wówczas on i Dalentin

wspólnie omawiali warunki swego niecnego planu? Mimo wszystko wydało mi się absurdalne, aby Marcel z zimną krwią zgładził lub przyczynił się do śmierci własnej żony, dzięki której spodziewał się uzyskać tak wielkie korzyści majątkowe. Byłoby to sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, nawet gdyby był wyrafinowanym zbrodniarzem.

Paul najwidoczniej nie był ciekaw przyczyny, dla której z ust moich wyrwał się ten niespodziewany okrzyk, gdyż ujmował już za mosiężną klamkę.

— Poczekaj, zastanów się — szepnąłem mu do ucha i desperacko chwyciłem za ramię. — Jeżeli tak jest, jak przypuszczasz, on może być uzbrojony.

— Widzę, że strach cię obleciał — usta Paula wykrzywił złośliwy uśmiech. — O to się nie martw, dam sobie z nim radę.

Przy tych słowach ręka jego zagłębiła się w kieszeni marynarki i spoczęła nieruchomo na znajdującym się w nim przedmiocie, którego przeznaczenia nie było się trudno domyślić.

„A więc on nosi broń przy sobie — pomyślałem. — Kto by się tego spodziewał po tym zimnokrwistym człowieku. Chyba od początku nie miał zbyt wiele zaufania do swych szanownych krewnych”.

Drzwi otworzyły się z lekkim, prawie niedosłyszalnym skrzypnięciem. Zamarliśmy w bezruchu, sprężeni w sobie, gotowi odskoczyć w tył na najmniejszy odgłos z wewnątrz, ale w pokoju Marcela Fourieux panowała niczym nie zmaćcona cisza.

Pierwszy wszedł Paul, widocznie tym razem postawił wszystko na jedną kartę, nie bacząc na niebezpieczeństwo, które mu zagrażało. Wsunąłem się za nim, jak cień przyklejony do jego pleców. Mrok zlewał wszystko w jedną nierozzerwalną całość. Posuwaliśmy się krok za krokiem, po puszystym dywanie, wyściełającym całą podłogę, starając się nie spowodować najmniejszego szmeru. Trwało to całą wieczność ze względu na ogromne wymiary pokoju. Powoli wzrok mój przyzwyczaił się i zacząłem rozróżniać mijane sprzęty, które

były duże i masywne, tak jak i umeblowanie całego domu. Wreszcie dotarliśmy do łóżka ustawionego pośrodku bocznej ściany. Nie słychać było jednak oddechu śpiącego, ani żadnego szelestu, świadczącego o jego obecności, natomiast uderzyła mnie jakaś dziwna, nieprzyjemna woń, unosząca się dookoła.

— No i wszystko na nic — powiedział głośno Amoureux i przekreślił kontakt.

Ciepłe, mleczone światło oblało wielkie, małżeńskie łóżko Marcela i Denise, przedstawiające tak potworny widok, że odruchowo pospiesznie odwróciłem głowę, wyglądało bowiem jak pobojuwisko, na którym stoczono okrutną walkę, albo miejsce, gdzie zdarzył się tragiczny wypadek. Mniej więcej na wysokość pół metra zasłane było kawałami drewna i metalu i spowite, jak całunem, tiulem baldachimu i strzępami kolorowej materii. Widać było wystające palce rąk i bosa stopy ludzkie, a skrwawiony rąb tiulu okrywał głowę i spływał aż na podłogę. Reszta ciała przywalona była gruzem, a wszędzie unosił się mdły zapach krwi.

Amoureux podniósł materiał dwoma palcami i momentalnie odrzucił z powrotem.

— To Marcel — powiedział głucho i wzrok jego powędrował w górę, gdzie zamiast zwisu z baldachimem, sterczał kawałek metalu.

— Musiało go to spotkać we śnie. Cała konstrukcja runęła na niego z wysokości kilku metrów, zmiażdżyła głowę i przygniotła ciało. Zginął od razu, myślę, że nawet nie zdążył zorientować się, co się stało.

Opuściliśmy ten pokój grozy chyłkiem, jak przestępcy w obawie przed złapaniem na gorącym uczynku. Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w bibliotece, Amoureux opadł ciężko na fotel. Tym razem milczenie trwało dłużej niż zwykle, jakby wszelkie słowa między nami stały się zbyteczne. Wreszcie przerwał je Amoureux, który zdążył się całkowicie opanować, gdyż głos jego brzmiał znów rzeczowo i chłodno.

— Zastanawiające jest jednak, dlaczego Marcel Fourieux zginął.

Poczułem ochotę wytrzaskać go po głębie, a w każdym razie strącić okulary z jego długiego nosa, wydał mi się bowiem nieznośny z tą swoją manią przeprowadzania skrupulatnej analizy faktów w sytuacji, kiedy śmierć wisiała tuż nad naszymi głowami.

— Raczej należałoby się zastanowić, jak długo my jeszcze będziemy żyli — syknąłem. — Oto wynik decyzji kuzyna, aby nie wzywać policji i prowadzić na własną rękę śledztwo: czterech nieboszczyków w domu i nieuchwytny morderca na wolności.

— Tego wcale nie jestem taki pewny. W tym układzie nie wiadomo, kto, kogo i kiedy zamordował, tym bardziej, że z bezpośrednim aktem zbrodni mieliśmy tylko raz do czynienia, w przypadku śmierci Charles'a Mignona. Pozostałe zgony można uznać za nieszczęśliwe wypadki, choć w gruncie rzeczy są to perfidnie zorganizowane zamachy.

— A więc równoznaczne z zabójstwem z premedytacją. Nie wiem, dlaczego daję się znów wciągać w te wszystkie spekulacje i domysły. W tej chwili sprawa jest oczywista: na placu boju pozostał tylko Dalentin. Jeżeli nie możemy sami się z nim rozprawić, w dalszym ciągu obstaję za natychmiastowym aresztowaniem przestępcy

— Jesteś śmieszny, kuzynie — powiedział Amoureux, powracając, zresztą tak jak i ja, do oficjalnej formy we wzajemnym obcowaniu. Swego rodzaju okolicznościowa poufałość panowała między nami tylko w momentach dramatycznych spięć i emocji, w których wspólnie uczestniczyliśmy. — Powtarzam: śmieszny, a ponadto naiwny. Masz przerost zmysłu praworządności, jeśli można tak to nazwać. Stale powtarzasz: wezwać policję, podczas gdy już za trzy godziny dowiemy się, komu Jean-Pierre przeznaczył swoje miliony, a dla mnie to jest najważniejsze. Wyjaśniłem już dokładnie, dlaczego nie pozwolę na interwencję organów ścigania do szóstej rano.

— Chwilami zadaję sobie pytanie, czy ta stale powiększająca się liczba zgonów naszych krewnych nie jest

czasem kuzynowi na rękę — rzuciłem mu w twarz impertynencję, czekając jak na nią zareaguje.

Okulary tak szczelnie zakrywały jego oczy, że nie można było dostrzec ich wyrazu.

— Być może w pewnym sensie — tak, choć przyznam, nie leżało to w moich założeniach życiowych — odpowiedział swobodnie. — Jednakże śmierć Marcela, nie mająca żadnego wpływu na układ rodzinnych spraw finansowych, interesuje mnie z innego względu. Jest właściwie nieproduktywna, niepotrzebna, wykracza poza ramy logicznego rozumowania.

— Jest jednak faktem niezaprzeczalnym.

— Tak, i już widzę dwa powody do usunięcia go z grona żywych.

— Ciekawe jakie?

— Jeden: to obłąkańcze umiłowanie mordu przez psychopatę, zabijanie dla czystej przyjemności, dla zaspokojenia żądzy krwi. Zabójca wybiera wyrafinowane formy dla swoich czynów, nie przebierając w ofiarach. Im bardziej wyszukana śmierć, tym większa satysfakcja dla sprawcy. Teoria ta podważa co prawda tezę o pozbywaniu się członków rodziny przez sprawcę, w związku z testamentem, celem zdobycia całej fortuny, ale nie jest do odrzucenia. Drugi powód jest bardziej prozaiczny, ale więcej prawdopodobny: Marcel wiedział o kimś za dużo, być może próbował szantażu, co doskonale pasuje do jego sylwetki moralnej, i dlatego musiał zamilknąć na wieki.

— Tak, czy inaczej — krzyknąłem — jedynym podejrzany był i jest Dalentin. Zamiast zacząć od niego, pozwoliliśmy mu wykończyć tylu ludzi. Chyba w tej chwili nie ma już czasu do stracenia. Nie wiem, dlaczego kuzyn uparł się, aby go zostawić na deser.

— Bo z nim trzeba działać ostrożniej. To chytra i przebiegła sztuka. Jeżeli zdecydował się na taką akcję, to jest na pewno przygotowany na odparcie każdego ataku. Nie wystarczy wejść do jego pokoju i zawołać: ręce do góry. Ewentualność tego rodzaju rozgrywki nie wchodzi w ogóle

w rachubę.

— A więc teraz powinniśmy opracować szczegółowy plan strategiczny, jak ujarzmić majora. To kompletny nonsens w naszym położeniu! Wybacz, kuzynie, ale nie mogę tego słuchać spokojnie — wstałem, odszedłem kilka kroków i odwróciłem się ostentacyjnie plecami.

— Poza tym — ciągnął niezrażony moim zachowaniem Amoureux — nie mamy właściwie żadnych konkretnych dowodów przeciwko niemu. Na domniemaniach nie można oprzeć oskarżenia. W zasadzie powinniśmy przyjąć taktykę defensywną, przygotować się do obrony i czekać.

— Bzdura! Przecież do licha jest tu ktoś, kto morduje.

— Niewątpliwie, ale kto?

— Kuzyn chce udowodnić, że być może jednak Dalentin jest niewinny jak łąza? Nigdy się z tym nie zgodzę! Do tej pory morderca uśmiercał samych mężczyzn. Teraz w każdej chwili może zaatakować kobiety, zresztą już raz usiłował to zrobić. Nie możemy do tego dopuścić.

— Przypuszczalnie nie będzie już miał na to czasu.

Niedługo ta noc się skończy. Czy warto teraz nadstawiać karku?

— W ciągu kilkunastu minut zmieniłeś diametralnie zdanie. Naprawdę, zupełnie cię nie rozumiem.

— A ja zrozumiałem aż za dużo, kiedy zobaczyłem zmasakrowaną głowę Marcela. Przyznam się, że przeszła mi całkowicie ochota do brawurowych występów.

— Wobec tego muszę zrobić to sam.

— Poczekaj, w końcu nie jestem draniem. Pójdę z tobą, chociaż nie wiem, co z tego wyniknie. O, do diabła, skończyły mi się papierosy. Muszę wstąpić do mego pokoju. Bez papierosów mam trudności z myśleniem. Zawsze, kiedy mam okazję zostać bohaterem — coś mi staje na przeszkodzie. Zaraz wracam!

Amoureux wyszedł pospiesznie z biblioteki, a mnie od razu ogarnęło bardzo dziwne uczucie. Najpierw gwałtownie i niespodziewanie opuściła mnie żywiołowa chęć do rozprawienia się z majorem, a sama myśl o jego wielkim

cielsku, obleczonym w kraciatą marynarkę, wywołała we mnie falę odrazy do jakiegokolwiek z nim kontaktu. Ohydna na przykład wydała mi się możliwość, o której jeszcze przed sekundą marzyłem, rozkwaszenia mu nosa, ze względu na konieczność bezpośredniego dotyku jego naskórka. Potem, w miarę przedłużającej się nieobecności Paula, zaczęło we mnie rosnać przeświadczenie, że za chwilę stanie się coś nieodwracalnego i straszego, że właśnie mnie zagraża niebezpieczeństwo i z żywego pulsującego krwią organizmu zamienię się wkrótce w martwy, sztywny zewłok. Nie wiedziałem jeszcze, skąd nadejdzie zagrożenie, ale Amoureux wydał mi się ponownie najbardziej podejrzany osobnikiem na świecie. Dostrzegłem w nim w okamgnieniu wszystkie cechy kryminalisty i zbrojca, jednocześnie nieomal porwał mnie atak śmiechu, że tak łatwo i głupio dałem się wyprowadzić w pole. Poczulem też niezdrową ciekawość, w jaki sposób sprzątnie mnie z tego świata. Instynkt życia właściwy dla każdego żyjącego i myślącego stworzenia skłonił mnie do chwycenia się prymitywnego środka obrony w postaci stojącego na biurku przycisku z brązu. Uzbrojony w ten sposób zacząłem się za drzwiami, aby odeprzeć ewentualne natarcie wroga. Nie wiadomo też, czy doktor Amoureux nie zakończyłby życia, padając trupem z mojej ręki, gdyby w tej chwili wszedł do biblioteki, na szczęście jednak dla siebie nie wracał. Minuty mijały za minutami, panująca wokół cisza zaczęła mnie poważnie niepokoić, ponadto zdrętwiało mi, uniesione wciąż do góry, ramię. To wszystko sprawiło, że ostrożnie wysunąłem głowę za próg i wyrząłem na korytarz.

Podejrzany o zbrodnicze zakusy wobec mojej osoby Amoureux stał odwrócony tyłem w pobliżu wejścia do windy, prowadzącej do podziemi, i przyglądał się czemuś z natężoną uwagą. Czynność ta zaabsorbowała go tak dalece, że nie usłyszał moich kroków i dopiero, kiedy stanąłem koło niego, drgnął jak człowiek wyrwany z głębokiego snu.

— Dziwna rzecz — odezwał się po chwili dłuższego

milczenia. — Nie mogę tego zrozumieć.

Słowa te zabrzmiały zagadkowo i zawisły jak jeszcze jeden znak zapytania w łamigłówce wydarzeń tej nocy. Nie chciałem przerywać mu rozważań i nie zapytałem o powód zdziwienia, zauważyłem tylko, że przedmiotem jego obserwacji jest palący się czerwonym światłem guzik od windy.

— Zupełnie nie rozumiem — powtórzył po okresie dłuższej kontemplacji guzika. — Dlaczego ta przekłeta winda jest zablokowana. Wygląda na to, że stoi w połowie drogi, między piwnicami a parterem.

— Czy nie można jej uruchomić?

Tak, można. W tym celu jest zainstalowana dźwignia, którą włącza się przez naciśnięcie tego tasteru — wskazał palcem biały przełącznik na ciemnej tarczy. — Zastanawia mnie jednak, kto mógł przy niej manipulować. Przed godziną światło się nie świeciło.

— Chyba trzeba ją ściągnąć na górę — zaproponowałem niepewnie. Wydawało mi się, że Paul się zawahał, jakby nie zadawało go tak proste rozwiązanie dręczącej go zagadki.

— Oczywiście — powiedział z determinacją i nacisnął guzik, przy czym nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że mu drżą ręce, a na czole pojawiają się krople potu. Tak, ten człowiek bał się czegoś i pierwszy raz nie zdołał opanować tego uczucia. Udałem, że niczego nie dostrzegam. Liny lekko drgnęły i winda błyskawicznie z cichym szmerem ruszyła w górę. Z piersi Paula wydobyło się westchnienie ulgi: była pusta.

— Muszę zjechać do podziemi — powiedział i wszedł do środka. Wsiadłem za nim, jak automat, zdalnie kierowany czyjąś wolą, której nie mogłem się oprzeć. Zjechaliśmy na dół w zupełnym milczeniu. W podziemiach paliły się wszystkie światła, co świadczyło o tym, że niedawno ktoś w nich przebywał, lub przebywa. Na pierwszy rzut oka wydawały się puste, jeśli chodzi o przedstawicieli gatunku ludzkiego, bo w terrariach drzemały, lub leniwie poruszały się, gady. Amoureux szedł szybko naprzód, jakby szukał kogoś ukrytego między gablotami. W pewnej chwili zatrzy-

mał się raptownie.

— Marie-Louise — krzyknął, a głos jego odbił się krótkim echem o sklepienia. — Co tu robisz?!

Spojrzałem mu przez ramię i zobaczyłem postać kobiecą na podłodze w pozycji półleżącej, opartą o szkło gabloty.

— Marie-Louise — powtórzył. — Czy źle się czujesz? — i w kilku susach dopadł do siostry.

Nie odpowiedziała, tylko jej szeroko otwarte oczy patrzyły w jakąś dal z zastygłym wyrazem przerażenia. Głowę miała odgiętą do tyłu, jakby biała szyja nie mogła udźwignąć jej ciężaru, wydekoltowana, czarna suknia spadła z ramion, odsłaniając piersi, na których widniało kilka czerwonych znaków, a platynowe lisy leżały u jej stóp niby dwa wierne psy, stróżujące przy swej pani.

Amoureux wpatrywał się w te znaki, jak zahipnotyzowany. Zauważyłem, że szczęka zaczyna mu drgać spazmatycznie.

— Kobra — wyjęczał wreszcie. — Kobra królewska...

Na razie nie mógł z siebie wydobyć więcej słów i tkwił tak w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w ciało swej siostry, a potem odwrócił się do mnie ze zgarbionymi, opuszczonymi ramionami.

— Bogowie zażądali ofiary — powiedział z patosem. — A stała się nią Marie-Louise.

Przyjrzałem mu się z niedowierzaniem. Wydało mi się niepojęte, że ten trzeźwo myślący, sceptycznie nastawiony wobec świata i ludzi człowiek, żyjący u schyłku lat osiemdziesiątych XX wieku, jest fanatykiem jakiejś tajemnicy, dziwnej i niesamowitej wiary w nadprzyrodzoną moc węży. Nie mogłem tego pogodzić ani z jego zawodem lekarza, ani z dotychczasową postawą wobec otaczających go zjawisk i faktów, jaką prezentował.

— Dziś miała być noc spełnienia i dokonało się — ciągnął uroczyście i podniośle, jakby przemawiał do zgromadzonych wiernych. — Niezbadane są wyroki losu, trzeba je przyjąć w pokorze.

Nie wytrzymałem i potrząsałem go ze złością, z całej siły, za

ręce.

— Oprzytomniej Paul! Przestań pleść głupstwa! Czy nie rozumiesz, że Marie-Louise została zamordowana? Jest ofiarą nie węży, a tego samego zbrodniarza, który chce się dostać do majątku dziadka.

— Tu w podziemiach rządzą inne prawa — odpowiedział.

— Wszystko, co ludzkie, nie ma tu dostępu.

Zrozumiałem, że uległ jakiemuś specjalnemu zamroczeniu, spowodowanemu wrażeniami tej nocy, a być może działaniem zażytego narkotyku, niezależnie od kultu tych obmierzłych zwierząt. Nie pozostawało mi nic innego: uderzyłem go z całej siły w twarz. Sprawilo mi to dużą satysfakcję, gdyż od dawna miałem chęć to zrobić. Pomogło, oprzytomniał i odruchowo poprawił przekrzywione okulary.

— Marie-Louise została ukąszona przez kobrę — powiedział cicho. — Poznaję po dwóch śladach ukłucia kłów jadowych. Objawy zatrucia wystąpiły piorunująco ze względu na zranienie w okolicy serca. Od razu został zaatakowany ośrodek oddechowy i inne ośrodki w mózgu i rdzeniu kręgowym. Krew nie zdążyła nawet wytworzyć przeciwciał. Nie wierzę, powtarzam, nie wierzę, aby ktokolwiek, nie mający fachowych umiejętności, mógł posłużyć się kobrą jako narzędziem śmiertelnośnym, żeby miał na tyle odwagi. To przekracza ludzkie możliwości.

— Gdzie jest kobra? — zapytałem, czując, że włosy jak naelektryzowane, unoszą mi się ze strachu na głowie. — Musiał ją ktoś wypuścić z terrarium.

— Na pewno jest gdzieś tutaj, w pobliżu — Paul rozejrzał się dookoła. — Patrz, jest tam! — krzyknął — przeży się do skoku!

Spojrzałem i zdrętwiałem z przerażenia. Zza kolumny, podtrzymującej strop piwniczny, znajdującej się kilka kroków od nas, wychylał się potwornej wielkości gad. Głowa jego, na skutek ruchu żeber, tworzyła rodzaj kaptura, na którym widniał wzór z jasnych łusek, podobny do okularów.

— Strzelaj! — ryknąłem. — Na co czekasz?!

Amoureux machinalnie sięgnął do kieszeni, ale na-

tychmiast ręka mu opadła. Wyglądał jak porażony nieznaną, piorunującą mocą, nie pozwalającą mu na zrobienie żadnego ruchu.

— Nie mogę — jęknął. — Nie wolno mi...

Oślepiająca myśl, że kobra jest przedmiotem tajemnego kultu Amoureux i innych psychopatów, i że prawdopodobnie jest tak samo czczona i chroniona jak święta krowa w Indiach, sprawiła, że rzuciłem się na niego i w ostatniej niemal chwili wyrwałem mu rewolwer. Gad właśnie szykował się do generalnego ataku, sycząc i wijąc się prawie u naszych stóp, kiedy strzeliłem mu prosto w ruchliwy łeb, z wysuniętym śmiercionośnym językiem. Wykonał jeszcze kilka nieskoordynowanych ruchów i opadł martwy na posadzkę. Poczulem niezmierną ulgę, jakąś niesłychaną lekkość, świeżość i dumę z samego siebie. Nawet nie wiedziałem, że umiem trafić do jakiegokolwiek celu. Ostatnio ćwiczyłem tę dyscyplinę w czasie studium wojskowego, odbywanego na Politechnice, i na ogół z bardzo miernym wynikiem, raczej jako oferta batalionowa.

— Trzymaj! — rzuciłem mu broń z powrotem.

Schwycił i schował ją pospiesznie.

— Możesz mną pogardzać — powiedział. — Ale to było silniejsze ode mnie.

— Czy ją tu zostawimy? — zapytałem, wskazując zwłoki Marie.

— Na razie tak — odparł i, nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku windy.

Rozdział VIII

Świt zagląda w martwe oczy

Jadąc na górę powziąłem ostateczną i nieodwołalną decyzję, że natychmiast, nie pytając Paula o zdanie, zatelefonuję «a policję. Dotychczas on górował nade mną swoją osobowością, narzucał mi wolę, paraliżował wszelką inicjatywę. Teraz, przed chwilą, okazał słabość, ujawnił

mroczone zakamarki swego ducha, a w gruncie rzeczy ośmieszył się i zdyskredytował całkowicie. Nie wiedziałem jeszcze, jak to zrobić, nie znałem bowiem numeru telefonu, utkwiło mi jednak w pamięci nazwisko inspektora Vendeur, który prowadził śledztwo w sprawie śmierci Denise, a poza tym zauważyłem w korytarzu na stoliku książkę telefoniczną. Skorzystałem z okazji, że Amoureux gdzieś się ulotnił, najprawdopodobniej w zupełnie prozaicznych celach, szybko sięgnąłem po słuchawkę, drugą ręką przerzucając karty książki.

Jakiś zimny, metalowy przedmiot wwiercił mi się między łopatkami.

— Widzę, kuzynie, że nie można ani na chwilę zostawić cię samego. Jesteś jak małe dziecko, które trzeba pilnować, żeby nie spsociło — usłyszałem ironiczny głos Amoureux. — Niestety, jestem zmuszony uciec się do ostateczności, gdyż okazałeś się niepoprawny. Rzuć natychmiast słuchawkę! — warknął rozkazująco, zmieniając całkowicie ton. — Ja nie żartuję!

Wiedziałem, że to prawda, że ten piekielny Amoureux opanowany żądzą pieniędzy, gotów jest na wszystko. Musiałem go usłuchać.

— A teraz, żeby na przyszłość nie było nieporozumień, skończymy z tym raz na zawsze — szybkim ruchem wyrwał sznur z aparatu. — Możemy wracać do biblioteki — dodał i pchnął mnie w stronę drzwi.

Nie mogłem oprzeć się zdumieniu, że tak szybko się opanował i wcielił z powrotem w skórę trzeźwego, wyrachowanego człowieka o jednoznacznie ukształtowanym poglądzie i jasno wytkniętym celu postępowania. A przecież kilka minut temu był łachmanem ludzkim, zdany na łaskę dzikiego zwierzęcia, niewolnikiem wstydliwie praktykowanych wierzeń, gotowym do oddania życia dla chorobliwych, anormalnych wizji. Kiedy tak siedział naprzeciw mnie ze złośliwym uśmiechem, przylepionym do kącików wąskich warg, cała, niedawno przeżyta scena w podziemiach, wydała mi się wytworem rozgorączkowanej wyobraźni. Spróbowałem

zaapelować do jego uczuć.

— Człowieku — powiedziałem. — Przecież to była twoja siostra. Zabito twoją siostrę. Czy ty tego nie rozumiesz?

Nie odpowiedział, tylko zdjął okulary i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem jego oczy, a przyznam się, że widok ten nie sprawił mi specjalnej przyjemności. Wyglądały bowiem tak, jakby nie należały do normalnego, żyjącego mężczyzny, a raczej do śniętego karpia. Nieprawdopodobnie małe i zamglone. Niewątpliwie facet z takimi oczami nie mógł liczyć na zrobienie życiowej kariery, nawet jeśli umiał, tak jak on, maskować je za szczelnymi okularami. Wstał, podszedł do okna i odsłonił nieco zasłony. Białe, szare światło wpadło do pokoju. Dniało.

— Już świta — powiedział. — Mogliśmy nie doczekać świtu, a jednak żyjemy. Jesteśmy pionkami w rękach przeznaczenia. Pytałeś mnie, czy zdaję sobie sprawę z tego, że zginęła moja siostra. Tak, oczywiście. Ale czymże jest właściwie życie? Krótkim błyskiem, jednym mgnieniem, a z punktu widzenia biologii mieszaniną wody, białka, węglowodanów etc. Jesteśmy, jak krople w oceanie, przemijamy, zanim zaczynamy istnieć. Śmierć jest nieuchronna, towarzyszy nam już od kolebki, nie warto demonizować tego problemu.

Coś mi ta filozofia znikomości istnienia ludzkiego nie pasowała do jego zachłanności na dobra doczesne.

— Czy warto w takim razie zabiegać o pieniądze? — zapytałem.

— Tak — odpowiedział gwałtownie i szorstko. — W czasie naszego pobytu na ziemi tylko to się liczy: pieniądź i jego siła nabywcza, wszystko, co można za niego kupić, łącznie z tak zwanym szczęściem i miłością. Nic mi się nie udawało, Zygmuncie, niczego dotąd w życiu nie zdobyłem, ani jako lekarz, ani jako mężczyzna. Lepsze, smakowitsze kąski wymykały mi się zawsze z rąk. Kocham piękne dziewczyny, lubię dobry alkohol, dalekie podróże, hazard i luksus — to, co pozostawało poza kręgiem moich możliwości. W gruncie rzeczy wszystko, na każdym polu, kończyło się fiaskiem. Kobiety nie zwracały na mnie uwagi, albo odchodziły bez

słowa, moja wiedza medyczna nie przyciągała pacjentów. Teraz będę mógł spełnić wszystkie swoje pragnienia i nie pozwolę się odtrącić.

Odszedł od okna i zwrócił na mnie swoje rybnie oczy, których spojrzenie przejęło mnie dreszczem wstrętu.

— Jedno jest pewne — powiedział, niespodziewanie odbiegając od poprzedniego tematu. — To nie Dalentin wypuścił kobrę z terrarium.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Jak mi wiadomo, on nigdy nie był nawet w podziemiach. Panicznie brzydził się węży. Zresztą tego nie mógł zrobić żaden człowiek przy zdrowych zmysłach. Ryzyko było zbyt wielkie.

— A może terrarium otworzyła Marie-Louise?

— Nonsens. Wprawdzie umiała obchodzić się z węzami, ale nigdy nie naraziłaby się na takie niebezpieczeństwo. Wiedziała, czym to grozi.

— A jednak poniosła śmierć na skutek ukąszenia.

— Tak, i to jest zagadka, której nie mogę rozszyfrować.

— Chyba jedna z wielu. Jak dotychczas prowadzone przez ciebie śledztwo nie posunęło się ani na krok, a dało raczej oplakane rezultaty.

Amoureux nie zareagował na tę napastliwą uwagę.

— Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia sprawa windy — powiedział jakby sam do siebie. — Zastanawiające jest...

W tej chwili usłyszeliśmy wyraźnie huk wystrzału z rewolweru, spotęgowany przez panującą wokół ciszę i specyficzną akustykę budynku.

Amoureux nie dokończył swego wywodu. Już po raz drugi tej nocy nagle wydarzenie przerwało tok jego myśli.

— To chyba w pokoju majora-krzyknął i wybiegł na korytarz tak szybko, że ledwo zdołałem go dogonić.

Pod drzwiami Dalentina zobaczyłem Ewę. Ubrana była w błękitny kostium podróżny, a włosy miała ściągnięte w koński ogon.

— Co się stało? — zapytała, zwracając ku mnie pełne niepokoju, wilgotne, fiołkowe oczy. — Usłyszałam wystrzał i

przybiegłam...

Była tak rozbijającą krucha i wiotka, że walczyłem przez moment z nie licującą z powagą chwili pokusą, żeby ją przygarnąć do swego mocno bijącego serca.

— Nic się nie bój — powiedziałem dramatycznie, tonem, jakiego by się nie powstydził Don Kichot przemawiający do swojej Dulcyniei, i ująłem ją za rękę. — Jestem przy tobie.

W pokoju majora okna były odsłonięte, szary świt sączył się przez szyby, ukazując poważne, surowe wnętrza, wypełnione ciszą i ledwo uchwytnym zapachem prochu. Paląca się lampa, stojąca na biurku, rzucała blask na podłogę i ściany. W jego kręgu widoczne było duże, rzeźbione krzesło, wysunięte na środek, na którym wisiała kraciasta, męska marynarka, a dalej nieco w cieniu — sylwetka człowieka w niezwykłej pozycji, przewieszzonego przez blat biurka, z głową zwisającą w dół, a nogami wbitymi w podłogę. Przelknąłem ślinę, poprawiłem nerwowo krawat i podszedłem do niego, jakby obdukcja, albo identyfikacja zwłok była dla mnie chlebem powszednim. Zrobiłem to przede wszystkim dlatego, ażeby zadokumentować swoją męskość i odwagę wobec Ewy, a poza tym doktor Amoureux nie kwapił się do dokonania tych czynności. Przez chwilę czułem obawę, że Dalentin niespodziewanie zmieni pozycję i zdzieli mnie swoją potężną pięścią, ale podszedłszy bliżej przekonałem się, że doczesny żywot majora dobiegł nieodwołalnie końca.

Wyglądało na to, że popełnił samobójstwo, gdyż w rękę trzymał rewolwer, z którego niewątpliwie padł strzał.

Rana w głowie była okrągła i niewielka, nawet nie krwawiła, widocznie kula rozwalila mu mózg, nie powodując zewnętrznych obrażeń. Poza tym był to najbardziej antypatyczny trup, jakiego przyszło mi oglądać, twarz zaczynała mu już sinieć i puchnąć, i można było sobie tylko życzyć, żeby się nie przyśniła w nocy.

Amoureux zdecydował się wreszcie podejść i z nawyku zawodowego zbadał mu tętno.

— Nie żyje — oznajmił. — Wszystko wskazuje na to, że

odebrał sobie życie z broni, którą trzyma w rękę, ale co do tego autorytatywnie wypowiedzieć się może tylko ekspert do spraw balistyki.

— Ale żeście fajnie wykończyli wujaszka. Nie ma co, coraz głódziej wam to idzie — ironiczny głos Yvette rozległ się w pokoju, a ona sama ukazała się na progu. Twarz miała bladą, skurczoną, oczy rozszerzone gorączkowo, sweter wisiał na jej drobnym ciele, jak na kościotrupie. Widać było, że ledwo trzyma się na nogach i że ciężar przeżyć tej nocy był dla niej nie do udźwignięcia. Ponadto wyglądała, jakby piła alkohol, żeby zagłuszyć nurtujące ją uczucia rozpacz i strachu, co sprawiło, że stała się zaczepna i agresywna.

— Myślicie, że nie wiem, co się tu dzieje? Jesteście w błędzie — wiem wszystko. W tym domu są same trupy, same... — zakreśliła ręką wokół siebie koło. — Byłam w pokoju Marcela i w zbrojowni. Oni wyglądają strasznie: Cyryl i Marcel. Już prawie nikt nie został, dobraliście się do wszystkich, wy...

— Przestań! — krzyknął Amoureux. — Bo cię spiorę na kwaśne jabłko.

— Okey, doktorku. Jak się miewa twoja piękna siostrunia? Czy jeszcze żyje? Zresztą, co to mnie obchodzi. Możecie się kazać wypchać trocinami, albo powiesić.

— Jesteś wulgarna i pijana — mruknął Paul. — Najlepiej idź spać.

— Nie ma głupich. A wy przez ten czas podzielicie się forszą dziadka, prawda? Tak łatwo się mnie nie pozbędziecie.

— W takim razie wsadź głowę pod kran, to może otrzeźwiejesz.

— Nie kłóćcie się, Yvette jest rozdrażniona, nie można się jej dziwić — odezwała się Ewa, — Chodź do mnie, odpoczniesz, napijesz się herbaty.

— Nie wierzę ci, nikomu z was nie wierzę. Być może chcesz mnie otruć, albo zasztyletować. Nigdzie nie pójdę.

Podczas utarczki z Yvette, zaczęła mnie nagle nurtować

myśl, że jest coś, o czym zapomnieliśmy, a co jest nierozzerwalnie związane z tym pokojem i z nieboszczykiem Dalentinem: jakaś bardzo ważna i pilna sprawa. Spojrzałem na łóżko stojące w głębi i doznałem objawienia.

— Już wiem! — krzyknąłem, aż Ewa, Yvette i Paul przerwali gwałtowną wymianę zdań i przyjrzeni mi się podejrzliwie. — Jacqueline! Gdzie jest Jacqueline?

— To prawda, nie pomyśleliśmy o niej. Musi być w tym pokoju, trzeba się nią zająć — powiedział Amoureux.

Podszedłem do dwóch złączonych ze sobą łóżek o rzeźbionych oparciach i charakterystycznym dla tego sprzętu baldachimem. Były puste i nawet nie posłane. Zajrzałem we wszystkie kąty, pod stoły, do znajdującej się obok łazienki, ale nigdzie nie znalazłem Jacqueline.

— Nie ma jej — oświadczyłem. — Nie rozumiem, co się z nią stało. Przecież nie mogła sama wyjść z pokoju.

— A to ci heca! — wrzasnęła nagle Yvette, która również przyłączyła się do poszukiwań. — Ona tu leży za kanapą. To wcale nie jest człowiek! Zobaczcie sami!

Yvette siedziała w kucki na dywanie i zanosila się histerycznym śmiechem.

Pochyliliśmy się nad człekokształtną masą plastikową, z której wyleciało powietrze, gdyż była zupełnie płaska. Tylko twarz nie uległa zmianie; puciołowata, o czarnych, nieruchomych oczach, rozchylonych, małych wargach, otoczona długimi, lekko natłuszczonymi włosami. Pośrodku tułowia, przez przezroczystą warstwę tworzywa, z którego zrobiony był manekin, prześwitywały liczne śruby, przewody i wkrety stanowiące prawdopodobnie skomplikowany mechanizm, który wprawiał ją w ruch.

— Oto rzekoma córka majora — powiedział Amoureux, dotykając gąbczastej masy. — Od razu spostrzegłem, że jest jakaś dziwna, nienaturalna, że brak jej cech ludzkich. Wujaszek chciał dopuścić się niezłego szalbierstwa, podstawiając ją jako spadkobierczynię. Oczywiście plan ten mógł się nie powieść, ale widocznie postawił wszystko na jedną kartę, aby dobrać się do majątku. Ciekawe, że na szyi

widać jakieś cięcie. Chyba przez ten otwór wyszło powietrze. Musiał to być jakiś nieprzewidziany wypadek, czy coś w tym rodzaju. Nie przypuszczam, żeby sam uszkodził lalkę, jeżeli nie uległ atakowi szału.

— Pewno dlatego palnął sobie w łeb. Wstydził się przyznać do oszustwa i nic mu innego nie pozostało. Zawsze mówiłam, że nasza rodzinka to same kanalie — zarechotała Yvette. Nagle spoważniała, jakby przypomniawsobie o tragizmie sytuacji i o ciosach, które ją dotknęły. — Mam tego wszystkiego dość! Chcę nareszcie wyjść z tego przekłętego domu! Chcę, żeby ta noc się skończyła. Nie mogę na was patrzeć, nie mogę tego znieść — zanosła się krótkim, urywanym płaczem, słaniając się na nogach.

— Uspokój się, Yvette, to nie ma sensu — Ewa usiłowała objąć ją ramieniem, ale wyrwała się jak rozwścieczona kotka.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęła. — Brzydzę się ciebie, brzydzę się was wszystkich!

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zejdziemy do biblioteki i napijemy się czegoś na wzmocnienie — zakończył tę scenę Amoureux. — Ranek przyniesie rozwiązanie wszystkich problemów. Niedługo przemówi do nas dziadek Mignon.

Ująłem Yvette za rękę, usiłując ją uspokoić. Czyniłem to już po raz drugi tej nocy. Palce jej początkowo były sztywne i niechętne, ale potem wczepiły się kurczowo w moją dłoń, jakby szukając w niej pomocy i siły do przetrwania. Pogładziłem ją odruchowo po głowie i pociągnąłem za sobą na dół, po schodach. Usiedliśmy we czworo w bibliotece, na brzeżkach foteli, w absolutnej ciszy, wpatrzeni w różowawe niebo za oknami, prześwitujące spoza gałęzi bujnie rozkwitających drzew w ogrodzie. Dopiero teraz odczułem jak bardzo jestem zmęczony i zrozumiałem, że filiżanka czarnej kawy stanowi największe marzenie mego życia.

Ewa miała nieprawdopodobną wprost umiejętność odgadywania moich najskrytszych myśli, a być może i ją nurtowało podobne pragnienie, gdyż wstała z miejsca i powiedziała z ujmującym, właściwym jej uśmiechem.

— Pójdę przygotować coś do picia, zaraz wracam.

Wolałbym, żeby się nigdzie nie oddalała, żeby była stale przy mnie, ale chciało mi się tak piekielnie pić, że nie zaprotestowałem. Przymknąłem oczy i przez sekundę zdawało mi się, że siedzę w swoim gabinecie w Warszawie, a sekretarka doskonała stawia przede mną, na biurku, aromatycznie pachnącą kawę. Potem ukazała mi się postać dyrektora Kalinowskiego z kawałkiem „Irontaxu” w dłoni i ironicznym grymasem na ustach, jego wysokie czoło z kępką włosów na czubku i przymrużone złośliwie lewe oko, ale natychmiast dyrektor rozpląnął się w sianej mgłę i wróciła ponura rzeczywistość. Zegar na kominku zadzwonił śpiewnie i ostro. Yvette poderwała się, jak smagnięta batem.

— Już wpół do piątej, babka kazała mi się o tej godzinie obudzić — zawołała i wybiegła z pokoju.

— Pociuszające jest, że w tej dzikiej dziewczynie nie wygasły jeszcze wszystkie ludzkie uczucia. Indywidualność babki wycisnęła na jej psychice niezatarte piętno. Mimo uzewnętrznianego bezustannie buntu jest całkowicie podporządkowana jej woli, a nawet więcej: bez jej dominacji nad sobą czułaby się bezradna i zagubiona — Amoureux ślizgał się wzrokiem po błękitniejących skrawkach nieba. — Dobijamy do portu, kuzynie. Ta noc bezpowrotnie się kończy. Na razie nie chcę myśleć o dniu, który po niej nastąpi. Kilka kropel jakiegoś orzeźwiającego płynu — to wszystko, czego oczekuję od dalszego życia.

Ewa ukazała się na progu z tacą zastawioną szklankami napełnionymi mocną herbatą.

— Wypiłbym nawet gdyby to była trucizna — Paul uśmiechnął się smętnie, podnosząc napój do ust.

Nagły, przeraźliwy krzyk przeciął powietrze i nim ucichł zerwał się na nowo w rytmicznych, krótkich odstępach. W brzmieniu przypominał raczej głos śmiertelnie przerażonego zwierzęcia, ale nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to krzyczała Yvette. Nie zdążyliśmy nawet wypić jednego łyku, odstawiliśmy szklanki, przy czym ja na

swoją spojrziałem z cichym żalem, i pobiegliśmy na górę.

Yvette stała na progu pokoju Elizy de Biencourt, w otwartych drzwiach i darła się wniebogłosy. Wyglądało na to, że dostała ataku polegającego na tym, że nie mogła przestać wrzeszczeć, że krzyk niemal automatycznie wyrwał się z jej gardła, nie dając się niczym stłumić. Odepchnąłem ją i wpadłem do środka. Trudno byłoby nie zauważyć ciotki Elizy. Postać jej rzucała się natychmiast w oczy, wyeksponowana na pierwszy plan. Siedziała w fotelu odsuniętym od innych mebli, wielka, majestatyczna, z rękoma wczepionymi w poręcze, z nieruchomą twarzą, zwróconą w stronę wstającego za oknami dnia, który przeglądał się w jej szklistych, szeroko otwartych oczach. Z daleka tchnęła od niej powaga i surowość, fałdy błyszczącego szlafroka rysowały się sztywno na wyniosłych ramionach i obfitych piersiach, zmarszczki wyrównały się na policzkach, powleczonej bielą o sinawym odcieniu, co w sumie sprawiało, że zdawała się być raczej posągami niż człowiekiem. Tylko siwe, rzadkie włosy, pokrywające nierówno czaszkę, opadające w krótkich kosmykach na kark przydawały jej nieco ludzkiego wyglądu. Było oczywiste, że Eliza de Biencourt zakończyła swoją wędrówkę po ziemskim padole. Mimo iż tej nocy przyzwyczaiłem się do oglądania nieboszczyków, tym razem poczułem się wyjątkowo nieswojo. Stara dama po śmierci była nie mniej imponująca niż za życia, a co więcej postać jej budziła grozę i szacunek.

— Ona nie żyje, prawda? — wyszeptała Ewa, stojąca za moimi plecami.

Chciałem objąć ją opiekuńczym ramieniem — ale odsunęła się szybko. W spojrzeniu jej fiołkowych oczu nie widziałem lęku, tylko powagę i smutek. To wprost zdumiewające, jak ta pozornie krucha, filigranowa dziewczyna umie panować nad sobą. Niewątpliwie łzy, krzyki, spazmy i inne histeryczne objawy są obce jej naturze.

Tymczasem Amoureux dokonywał zwykłego w takich okolicznościach rytuału konstatacji zgonu: badał puls, przykładając głowę do piersi i zaglądał pod powieki. Potem

przetarł ręką własne czoło i rozejrzał się wokół. W pokoju panował idealny porządek, z wyjątkiem toalety, na której dość bezładnie ustawionych stało mnóstwo ozdobnych flakonów z perfumami, słoików z kremami, pudełek zawierających, sądząc po opakowaniach, najróżnorodniejsze kosmetyki i buteleczek z ciemnym płynem, opatrzonych złowieszczą etykietą z trupią czaszką i wyrysowaną wółprzymkniętą powieką, wskazujących na ich okulistyczne przeznaczenie. Pośród tych specyfików, na drewnianym manekinie, tkwiła wielka kasztanowo płomienna peruka, zdobna w kunsztownie ułożone fale i misternie skrecone loki.

— Atak serca? — zapytałem Paula, a głos mój zabrzmiał wątko i niepewnie, choć nie było nic dziwnego, że osoba w tak podeszłym wieku zakończyła niespodziewanie życie, po tylu doznanych wstrząsach.

Nie odpowiedział, tylko schylił się i zamruczał pod nosem.

— Byłem tego pewien, to potwierdza moje przypuszczenia. Po coś tu właściwie przyszła? — warknął na Yvette, która przeżywała właśnie nową fazę historycznej rozpaczki: nie krzyczała już, a szlochała. Łzy ciurkiem spływały po jej twarzy. Rozmazywała je rękami, zostawiając na policzkach brudne smugi. Wyglądała przeraźliwie nędznie i brzydko, jak mały, chudy, oskubany kurczak. Obudziła we mnie współczucie i byłem zły na Paula, że natarł na nią tak ostro.

W jednej chwili przestała płakać, znieruchomiała z przerażenia i otworzyła bezgłośnie opuchnięte wargi-

— Przyszłam, żeby ją obudzić, tak jak kazała o wpeł do piątej. O tej godzinie zawsze zapuszcza krople do oczu — wyjąkała wreszcie, patrząc spode łba na Paula.

— Przyszłaś, żeby ją zabić! — wyskandował słowo po słowie. — Dodałaś, kiedy spała, cyjanek potasu do kropli, a potem patrzyłaś spokojnie, jak umiera. To nie musiało trwać długo, prawda?

Z ust Yvette wydobył się przeraźliwy pisk.

— Więc ty myślisz, więc wy myślicie, że to ja?! Kiedy

weszłam do pokoju, ona już nie żyła. Jesteście potworami, zbrodniarzami, sami ją zamordowaliście, a na mnie chcecie rzucić odpowiedzialność! Ale ja się nie dam, słyszycie?! Będę się bronić! Jest jeszcze chyba sprawiedliwość na świecie. To ja was urządzę! Nie dostaniecie ani grosza po dziadku! Jeszcze mnie popamiętacie!

Wybiegła pędem z pokoju, zatrzasnąwszy z hukiem drzwi.

— Po co to zrobiłeś, dlaczego ją zaatakowałeś — zapytałam. — Przecież to na pewno nie ona zabiła ciotkę.

— A dlaczego nie? Ktoś musiał ją ukatrupić. I zrobił to wyjątkowo perfidnie. Ten, komu zależy na zagarnięciu całego majątku. Przyznasz, że wielu już nas nie pozostało. Liczba podejrzanych zastraszająco się zmniejsza — zaśmiał się zgrzytliwie i nieprzyjemnie.

— W jaki sposób poznałeś, że śmierć ciotki nie jest naturalna? Przecież nie ma żadnych zewnętrznych objawów wskazujących na dokonanie morderstwa.

Musiał odczuć w tych słowach rodzącą się we mnie wątpliwość, bo odpowiedział natychmiast swobodnie.

— Kiedy schyliłem się, żeby wysłuchać, czy bije serce, uderzył mnie charakterystyczny zapach migdałów. Nietrudno mi było ustalić, że nie pochodzi z ust, a wydobywa się z otwartych oczu. Sami spójrzcie: źrenice zmarłej są niebywale rozszerzone, co jest typowe dla tego rodzaju przypadków. Kiedy znalazłem leżącą na podłodze butelkę z kroplami, wszystko stało się jasne.

Ewa, która przez dłuższy czas stała w milczeniu, odwróciła się nagle i wyszła z pokoju. Podążyłem szybko za nią. Amoureux został sam z nieboszczką.

Rozdział IX

Toast morderców

— Może to nieprzyzwoite z mojej strony, ale chce mi się jeść — powiedziałem, kiedy znaleźliśmy się na korytarzu. — Odkrywam w swojej naturze coraz więcej cech zwierzęcych. Teraz nie dziwię się studentom medycyny, którzy w

prosektorium, po dokonaniu sekcji zwłok, z apetytem pałaszują śniadanie.

— Chodźmy do jadalni — odparła Ewa, odwracając ku mnie niezmiennie świeżą i uroczą twarzyczkę, której wdzięku nie zdołały zmącić doznane makabryczne przeżycia. — Przyniosę z kuchni resztki pozostałe z kolacji i raz jeszcze zaparzę herbatę.

Do podziwu, jaki żywiłem dla jej urody i innych przymiotów ciała i ducha, dołączyło się uznanie dla trzeźwości rozumowania, opanowania i rozsądku — cech rzadko spotykanych u tak młodej osoby płci żeńskiej.

W jadalni wyblakłe portrety przodków przywitały nas obojętnymi spojrzzeniami namalowanych oczu. Stół, przykryty białym obrusem, otaczały rozstawione byle jak krzesła. Uprzątnięto z niego wszystkie nakrycia, tylko stojąca w samym środku nie napoczęta butelka z szampanem, pozostawiona widocznie przez zapomnienie, zdawała się prowokować do spełnienia toastu. Już miałem sięgnąć po nią, ale Ewa powstrzymała mnie gestem ręki i zniknęła w drzwiach prowadzących do pomieszczeń gospodarczych.

— Usłyszałem wasze głosy — Paul Amoureux wyrósł niespodziewanie na progu. — Pozwolicie chyba, że przyłączę się do was. Samotność w tym domu nie należy do przyjemności. Gdzie jest Ewa?

— Poszła przygotować śniadanie.

— Jedyna osoba w tym towarzystwie, która nie utraciła hartu ducha. W waszych kobietach, których Ewa jest wspaniałą przedstawicielką, tkwi niespożyta siła witalna, umiejętność przystosowania się do sytuacji i przewycięzania największych trudności. Biję przed nią pokłon.

— Obawiam się, że nic nie będzie z naszego śniadania — oznajmiła Ewa, ukazując się w jadalni. — Ktoś zamknął jedzenie w spiżarni. Nigdzie nie mogę znaleźć klucza.

— Widziałem jakiś klucz na toalecie w pokoju ciotki. Myślę, że to ona go zabrała po kolacji — powiedział Amoureux. — Przeworność w zasadzie godna pochwały. W

ten sposób mamy pewność, że jedzenie nie zostało zatrute.

— I co teraz będzie? — zapytałem, jak bezradne dziecko, czując w żołądku ssanie z głodu.

— Zaraz go przyniosę — zdecydowała pospiesznie Ewa.

— Nie, Ewo, zostań. Ja to zrobię — zaofiarowałem się bohatersko, choć na samą myśl o ponownym zetknięciu się z doczesnymi szczątkami Elizy de Biencourt włosy zjeżyły mi się na głowie.

— Nie bądź śmieszny, Zygmunce. Ja się naprawdę nie boję tam pójść. Usiądź spokojnie i czekaj na mnie. Zaraz wrócę.

Ewa wyszła, nie pozwalając na dalsze, w gruncie rzeczy nieporadne, protesty.

— Dzielną dziewczyna — skonstatował ponownie Amoureux. — No cóż kuzynie, jak myślisz? Kto jest właściwie mordercą? Wszystkie nasze poprzednie domysły wzięły w łeb. Zostało nas tylko czworo: dwie młode kobiety i dwóch, oględnie mówiąc, dojrzałych mężczyzn. Inspektor Vendeur będzie miał trudny orzech do zgryzienia, zwłaszcza kiedy znajdzie siedem trupów w tym domu. Chyba dobrze liczę? Mamy, jak dotąd, siedmiu nieboszczyków, nie licząc nadmuchiwaney córki Dalentina.

— Mówisz „jak dotąd”. Czyżbyś spodziewał się dalszych ofiar? Twoja zdolność przepowiadania morderstw zaczyna być interesująca. Wytlumacz mi, co masz na myśli? — wyjąkałem, czując, że serce podchodzi mi do gardła, uświadomiłem sobie bowiem, że Paul ma rewolwer w kieszeni. Wystarczy, że wyciągnie go i naciśnie cyngiel, a przybędzie ósmy nieboszczyk do kolekcji.

Rozszyfrował mnie natychmiast i uśmiechnął się złośliwie.

— Nie bój się, nie mam zamiaru cię zastrzelić. To byłoby zbyt prymitywne zakończenie, jak na tak precyzyjnie obmyślony plan działania, nie uważasz? Myślałem, że na przykład Ewa, tak młoda i piękna, może nie dojść do pokoju ciotki, gdyż jakieś nieprzewidziane wydarzenie, których nie brak nam tej nocy, położy kres jej tak obiecująco zapowiadającemu się życiu. Czy nie

zastanowiłeś się, że tam gdzieś w głębi domu czatuje Yvette, drapieżna, mała kocica, a w gruncie rzeczy wyrafinowana zbrodniarka, konsekwentnie realizująca program zagłady całej rodziny. Naprawdę, postąpiłeś nierozsądnie, drogi Zygmuncie, posyłając naszą śliczną kuzynkę samą po klucz.

— Przestań! — ryknąłem, zrywając się na równe nogi. — Jesteś cyniczny i nikczemny! Mam dość twojej czarnej filozofii. Dlaczego usiłujesz we mnie wmówić, że sprawczynią tych wszystkich potworności jest to biedne dziecko, które znajduje się w stanie godnym pożałowania, na skraju obłądzenia?

— Jeżeli tak zaciekle bronisz tej małej, masz widać uzasadnione powody. W takim razie pozostaje nam urocza Ewa... Istotnie to bardzo prawdopodobne. Opanowana, spokojna, kryjąca pod maską doskonałości fizycznej duszę zbrodniarki, dążącą za wszelką cenę do osiągnięcia wiadomego celu.

— Słuchaj, nie rękę za siebie. Tym razem mówię serio! — zerwałem się na równe nogi i przyskoczyłem do niego z zaciśniętymi pięściami.

Zdawał się tym doskonale bawić, na ustach błąkał mu się ironiczny uśmiech.

— Dzielnie walczysz, błędny rycerzu, o dobre imię swej bogdanki. Rozumiem twoje zaangażowanie uczuciowe. Ona jest rzeczywiście piękna i cudownie młoda. Szkoda byłoby, żeby pod taką powłoką cielesną kryła się poczwara. Jednakże wszystko wskazuje na nią, po prostu nie ma innego wyjścia. Chcesz, czy nie chcesz, musisz się z tym zgodzić.

— Jest jeszcze jedno wyjście, mordercą możesz być ty! — zawołałem, patrząc prosto w zamglone szkła jego okularów.

— Albo ty! — odparował. — Albo jeszcze lepiej, wy razem oboje!

Chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Nagle poczułem szarpiący niepokój. Ewa nie wracała. Minęło już wystarczająco dużo czasu potrzebnego do odnalezienia nieszczęsnego klucza.

Trudno było przypuszczać, aby mogła tak długo przebywać sama na sam ze zwłokami ciotki. Pełen najgorszych przeczuć wybiegłem na korytarz. Wszędzie panowała głęboka cisza najzupełniej uzasadniona faktem, że w domu tym znajdowało się obecnie o wiele więcej nieboszczyków niż ludzi żyjących. W kinkietach płonęło nadal światło. Na schodach nie było nikogo. Wtem do moich wyczulonych uszu dobiegł jakiś cichy, ledwo uchwytny odgłos, który jednak zdawał się z sekundy na sekundę wzrastać na sile. Początkowo nie mogłem odkryć jego źródła, potem uświadomiłem sobie, że jest to szum wody. I wtedy zobaczyłem, że drzwi na półpiętrze są niedomknięte i że wypływa spod nich strużka wody, ciekąc po schodach dużymi, coraz bardziej powiększającymi się kroplami. Wiedziałem, że znajduje się tam łazienka. Bez chwili zastanowienia wbiegłem po schodach, przeskakując po trzy stopnie, jakbym miał dwadzieścia lat, a nie dwukrotnie więcej. W łazience była taka masa pary, że początkowo nie mogłem nic dojrzeć. Przez jej zasłonę zobaczyłem dużą, tradycyjną wannę, obudowaną białymi kafelkami, z której na posadzkę wylewała się strumieniami woda. Brnąc w niej po kostki, dopadłem do kranu. Szukając kurka po omacku, pochyliłem się nad wanną. To, co w niej zobaczyłem, sprawiło, że nogi ugięły się pod mną i byłbym zapewne sam wpadł do środka, gdybym nie trzymał się drugą ręką krawędzi. Ostatecznie nerwy ludzkie, nawet jeśli wchodzą w skład organizmu mężczyzny, umiającego panować nad swymi odruchami, mają jednak granice wytrzymałości.

Pośród skłębionej piany, balansując i podrygując, pływało nagie ciało Yvette. Długie włosy oplątywały ramiona i szyję, otwarte oczy wypełnione przedśmiertnym strachem, patrzyły w dal, z której nie ma już powrotu. Chwilę tkwiłem nieruchomo, nie mogąc oderwać się od tego przerażającego widoku. Woda powoli przestawała się pienić. I wtedy, ku swemu najwyższemu zdumieniu, zobaczyłem na dnie wanny jakiś przedmiot. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: był to klucz, duży, podłużny, czarny, używany w starych gospodarstwach do solidnych zamków.

— Co się tu dzieje, Zygmuncie? Co ty tu robisz? —

usłyszałem za sobą głos Ewy. — Wielki Boże! To Yvette! Utonęła! Ona nie żyje! Jak to się stało? To niemożliwe!

— Nie patrz na to — odwróciłem się do Ewy, która stała pochylona nad wanną, z wzrokiem wbitym w lekko falującą powierzchnię wody. — Nie powinnaś na to patrzeć.

Wziąłem ją za rękę i wyciągnąłem siłą z łazienki. Nie płakała, oczy miała suche, ale czułem, że dreszcze wstrząsają nią od stóp do głowy. Kiedy ją prowadziłem na dół, przytuloną do mego boku, wydawało mi się, że jestem jej opiekunem, bratem i ojcem jednocześnie, a przede wszystkim mężczyzną odpowiedzialnym za jej bezpieczeństwo i pragnącym ją osłonić przed złem całego świata. Ten przyływ energii i sił witalnych spowodował, że nie czułem obawy przed spojrzeniem w cyniczną gębę Amoureux.

— Nie mogłam znaleźć tego klucza — mówiła tymczasem Ewa, skarżącym się głosem, jak małe dziecko. — Szukałam go w całym pokoju, nawet w kieszeni szlafroka ciotki. Nie wiem, gdzie się podział. Kiedy zobaczyłam otwarte drzwi od łazienki i ciekącą wodę, zaraz domyśliłam się, że coś się stało. Wiesz Zygmunco, to wszystko jest okropne.

— Yvette była pijana. Pewno przewróciła się i utonęła — powiedziałem. — Nie myśl o tym i uspokój się.

Amoureux powitał nas ironicznym skrzywieniem warg, mającym imitować uśmiech.

— Czyżbyście oboje wspólnie brali kąpiel? — zapytał spoglądając na nasze zmoczone ubrania. — To nawet może być podniecające, wcale niezły pomysł.

— Nie gadaj głupstw — warknąłem. — Masz okazję do stwierdzenia jeszcze jednego zgonu. Yvette nie żyje — utopiła się w wannie.

— A wy skutecznie usiłowaliście ją ratować — nie okazał najmniejszego zdumienia. — Tylko zapewne było już za późno na wszelką pomoc. No cóż, oczywiście, pójdę ją zobaczyć. Mam nadzieję, że kiedy wrócę zastanę was przy życiu.

Miałem znów ochotę rąbnąć go w szczękę. Ten człowiek bez

przerwy budził we mnie zwierzęce odruchy. Spojrzałem na Ewę, na jej skurczoną, zmizerniałą twarz i pohamowałem się.

Amoureux w okamgnieniu był z powrotem.

— Klasyczny wypadek utonięcia — stwierdził. — Woda dostała się do płuc, w konsekwencji czego nastąpiło zatrzymanie akcji serca. A więc, moi drodzy, zostało nas tylko troje. Jedno z nas na pewno jest mordercą, co nie wyklucza innych kombinacji: na przykład współdziałania dwojga. Tak czy inaczej — stanowimy zgrane trio. Proponuję, przed wysłuchaniem dziadka Mignona, wznieść toast za przyszłe, szczęśliwe życie, które nas czeka po otrzymaniu spadku, za złoto, za pieniądze, za rozkosze, które niesie ze sobą ich posiadanie.

Drapieżną i drżącą ręką sięgnął po stojącą na stole butelkę szampana.

— Ewo, przygotuj kieliszki.

Wydawał się teraz władczy, pełen wewnętrznego podniecenia, a jednocześnie skupienia, jakby teraz właśnie miało się dokonać to, na co czekał przez całe życie. Nie potrzebowałem doznać olśnienia, żeby jasno i wyraziście pojąć, że to on był sprawcą, a w każdym razie głównym motorem i inspiratorem większości dokonanych tej nocy zbrodni. Śmierć Alaina, Cyryla i Marcela z całą pewnością mogła być jego dziełem. Bywał często w tym domu, znał w nim każdy szczegół i zwyczaje mieszkańców. Również mógł bez trudności zgładzić starego Charles'a i namówić Cyryla, z którym nawiązał dość bliski kontakt, do zepchnięcia wózka ze schodów. Śmiało można było mu przypisać dodanie cyjanku potasu do kropel ciotki Elizy. Coś za łatwo rozwiązał zagadkę jej śmierci. Nawet teraz, przed wejściem do jadalni, starczyłoby mu czasu, aby zaskoczyć Yvette w łazience i przytrzymać jej głowę pod wodą. Jeżeli chodzi o zgon Denise, to sam niedwuznacznie zasugerował, że sprawca, czyli bez wątpienia on sam, współdziałał z pracownikiem lokalu, w którym była zatrudniona. Jedyne samobójstwo Dalentina i zgon Marie-Louise były poza zasięgiem jego działania, dlatego go tak niesłychanie

zbulwersowały. Nie bardzo tylko rozumiałem, dlaczego oszczędził Ewę i mnie, i odgrywał cały czas przede mną tak perfidną komedię, ale być może mieliśmy mu służyć za tarczę ochronną przy nieuniknionym starciu z policją, a kto wie, czy nie za kozła ofiarnego.

Korek strzelił z hukiem w górę, szampan zaperlił się w kieliszkach.

— Za nasze nowe życie — powiedział Amoureux i wychylił toast do dna.

Już miałem zamiar pójść jego śladem i przytknąłem kieliszek do ust, gdy nagle Ewa doskoczyła do mnie jak szalona i błyskawicznym ruchem wytrąciła mi z ręki kieliszek, który upadł na posadzkę, rozpryskując się w drobne kawałki.

— Spójrz! — krzyknęła, wskazując palcem na Paula. — Spójrz na niego!

Z kuzynem Paulem Amoureux działo się rzeczywiście coś dziwnego. Twarz jego wykrzywił grymas bólu, z ust wydobył się bełkot, na czoło wystąpiły krople potu, wreszcie oczy stanęły mu w ślup. Zachwiał się, przez chwilę rękami czepiał krawędzi stołu, aż wreszcie runął na podłogę i pozostał już tam nieruchomo. Natychmiast pospieszyłem mu na ratunek. Pochyliłem się nad nim, rozpiąłem kołnierzyk, usiłowałem pomiędzy jego zaciśnięte, posiniałe wargi wiać trochę wody, zbryzgałem mu twarz i zabierałem się już do akcji pobudzania pracy serca metodą „usta-usta”, ale Ewa odciągnęła mnie gwałtownie na bok.

— Czy nie rozumiesz, że on nie żyje? — zawołała. — Otruł się szampanem. Tak, w tym szampanie musiała być trucizna, chociaż nie mam pojęcia, jak się tam znalazła. Gdyby nie pospieszył się tak z wypiciem tego kieliszka i gdybym nie spojrziała na niego w momencie, kiedy wychylał toast, leżelibyśmy teraz nieżywi wszyscy troje.

Patrzyłem na nią nieprzytomnie, słowa jej dochodziły do mnie, jak z niezmierzonej dali. Ewa zauważyła to i pociągnęła mnie na stojącą nieopodal, empirową kanapkę.

— Zyguncie — szepnęła — opanuj się, musimy coś postanowić.

— Tak, naturalnie — wyjąkałem. — Tylko ja nic a nic z tego nie rozumiem. Wszystko, co się wydarzyło tej nocy w tym domu, jest potworne i właściwie nie ma żadnego logicznego uzasadnienia. Zwariuję, jeżeli będę dalej o tym myślał. Nie, Ewo naprawdę nie wiem, co robić, jestem zupełnie bezradny. Przecież oni wszyscy nie żyją, zostaliśmy tylko my dwoje. Dlaczego, właściwie dlaczego tak się stało?

— Ach, mój biedaku, nie zdręczaj się. Wyglądasz tak, jakbyś sam za chwilę miał zemdleć — Ewa delikatnym muśnięciem drobnych, pachnących dłoni, odgarnęła mi spocone włosy z czoła. — Być może będę mogła ci wiele wytłumaczyć, właściwie prawie wszystko. Nie patrz na mnie z takim przerażeniem i zdziwieniem. Widzisz, ja znam tajemnicę tej nocy. Ale boję się, że uznasz mnie za potwora, że odwrócisz się ode mnie.

— Ewo! — krzyknąłem, chwytając ją za ręce i patrząc jej prosto w oczy. — Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, żeś to ty ich wszystkich zabiła. Dlaczego milczysz? Zaprzecz! To niemożliwe! Powiedz, że to nieprawda! To nie ty wykończyłaś tę rodzinę!

— Nie, to nie ja, uspokój się. Jednakże jestem zbrodniarką. W pewien sposób przyczyniłam się do śmierci trojga z tych osób, a nawet ją spowodowałam.

Świat pociemniał mi w oczach, a wszystko zawirowało dookoła. Przekonałem się, że mężczyźni też mogą zemdleć z wrażeń. W najlepszym wypadku czułem, że grozi mi mały zawał.

— Słuchaj, nie trzymaj mnie w niepewności! Oszaleję, jeśli nie dowiem się prawdy.

— Dobrze, zaraz ci wszystko opowiem. Ale przyrzeknij mi, że niezależnie Od tego, jak to przyjmiesz, postarasz się mnie zrozumieć, wybaczyć, że nie przestaniesz być moim przyjacielem.

— Ewo, ten wstęp mnie przeraża — odsunąłem się od niej na długość łokcia i przyjrzałem uważnie, jakbym na nowo zawierał z nią znajomość. Spod wilgotnych rzęs wyjrzały ku

mnie rozbijając ufne, posmutniałe fiołkowe oczy o dzieciennym, naiwnym wyrazie, a malinowe usteczka ściągnął bolesny grymas. Poczułem, że serce moje zaczyna topnieć, jak przysłowiowy śnieg pod wpływem wiosennych promieni słońca i że ta dziewczyna teraz bliższa mi jest niż kiedykolwiek.

— Wiesz co, myślę, że nie ma takiej sprawy na świecie, która mogłaby mnie do ciebie zrazić.

— Bardzo mnie to cieszy — odetchnęła z ulgą, potrząsając złocistymi włosami. — Byłby to dla mnie cios, gdyby było inaczej.

Zrobiła małą pauzę. Ciekawość moja wzrastała z sekundy na sekundę.

— Wiem, że chcesz poznać imię mordercy — podjęła. — Wolalabym jednak nie wymieniać go na wstępie, zanim nie zapoznasz się z przebiegiem wydarzeń tej dziwnej nocy. Pomoże ci to w zrozumieniu wielu spraw, o których mógłbyś wyrobić sobie fałszywe pojęcie, szczególnie, że na skutek fatalnego zbiegu okoliczności, odegrałam w nich niepoślednią rolę.

Pogładziłem ją po rękę, chcąc jej dodać odwagi.

— Widzisz, w „Czarnym Baranie” nie poszłam od razu grać w ruletkę, postanowiłam dostać się za kulisy i obejrzeć tę tajemniczą, sławetną gilotynę. Zawsze interesowały mnie sztuczki czarnej magii i rekwizyty, za pomocą których iluzjoniści osiągają niezwykle, często na pozór niewytłumaczalne efekty. Był to całkiem zwariowany pomysł. Nie wiem, dlaczego miałam nadzieję, że partner Denise uchyli mi rąbka tajemnicy zawodowej, jeśli go o to poproszę. Oczywiście zablądziłam i dopiero po paru minutach odnalazłam rekwizytornię. I wtedy zobaczyłam niespodziewanie, jak wychodziła stamtąd chyłkiem, jakby się czegoś bała.

— Kogo zobaczyłaś, Ewo? Nie wymieniłaś żadnego imienia.

— Ach, tak? Być może... Marie-Louise, w wieczorowej sukni, obwieszoną lisami.

— Nic o tym nie wspomniałaś.

— Bo nie przywiązywałam do tego żadnego znaczenia. Ostatecznie cóż w tym dziwnego, że przyszła odwiedzić kuzynkę za kulisami. Dopiero potem, kiedy głowa Denise spadła na półmisek z sałatką z homarów, a ciało jej na parkiecie podrygiwało w kałuży krwi, nasunął mi się cień podejrzenia, że mogła to nie być zwykła, towarzyska wizyta. Wiesz, że już na samym wstępie atmosfera tego domu wydała mi się jakaś ciężka, nawet niesamowita. W oczach tych ludzi czytałam strach, nienawiść. Ich postępowanie było nienaturalne, sztuczne, zdominowane przez jakieś gnębiące ich od wewnątrz uczucia. Na przykład Cyryl wydawał się być ofiarą swoich opiekunów, żerujących na jego bezsilności i chorobie, ciotka Eliza, pod maską wielkiej damy, staruszką żyjącą w panicznym lęku przed jakimś jej tylko wiadomym zagrożeniem, Marie-Louise psychopatką i narkomanką o anormalnych skłonnościach, Paul wyrafinowanym i cynicznym fanatykiem pieniądza, major Dalentin — oszustem i sadystą. Nawet Alain i Yvette nie stanowili pary młodych, sympatycznych ludzi. Ich również toczyły pasje i pragnienia zdolne wysadzić w powietrze całe to towarzystwo, gdyby tylko to leżało w granicach ich możliwości.

— Widzę, że jesteś wspaniałym psychologiem. Ja nigdy nie zdobyłbym się na tak szybki i trafny osąd naszych krewniaków. Po prostu wydawali mi się przyjemni i komunikatywni. Naprawdę podziwiam, że tak szybko ich rozszyfrowałaś.

— Ach, nie przeceniaj mnie. To nie było wcale trudne. W końcu i ja nie jestem ideałem. Przyjechałam tu w całkiem prozaicznym celu: aby zdobyć pieniądze i wszystko, co można za nie kupić. Nie myśl, że nie lubię drogiej biżuterii, że nie chciałabym mieć futra z norek, willi z basenem nad Morzem Śródziemnym, motorówki, awionetki i innych doczesnych dóbr. I nawet teraz, po tym, co się stało, nie chcę z nich rezygnować. Może rzeczywiście mam trochę więcej wyobraźni niż inni i dlatego wyczułam, że się tu coś

złego święci. Śmierć Denise, starego Charles'a i Alaina utwierdziły mnie w przekonaniu, że ktoś spośród nas chce zagarnąć cały majątek i że każdemu, kto przebywa tej nocy pod tym dachem, zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Naprawdę, nie wiedziałam, kto jest mordercą. Zdawałam sobie jednak sprawę, że perspektywa zdobycia milionowej fortuny obudziła w tej garstce ludzi najniższe instynkty i że ten, kto morduje z zimną krwią, nikogo nie oszczędzi.

— Więc dlaczego nie chciałaś się zgodzić, kiedy proponowałem ci opuszczenie tego domu? Czy warto było ryzykować życiem?

— Oczywiście. Ta gra na pewno warta była świeczki i jest nią nadal. O tym pamiętaj.

— Powiedz wreszcie, jak zdemaskowałaś zbrodniarza i kto jest nim właściwie?

— Bądź jeszcze trochę cierpliwy. Pamiętasz, że ktoś usiłował mnie udusić w ciemnościach. Nie powiedziałam ci całej prawdy. Ja go rozpoznałam: to był Dalentin. Uratowała mnie istotnie znajomość dzudo. Dziwna rzecz, odczułam, że ten człowiek miał zamiar mnie zamordować z całą bezwzględnością, jakby był moim najzaciętszym wrogiem, zionął wprost nienawiścią. Początkowo nie mogłam tego zrozumieć i uznałam go za zbrodniarza, który w ramach planowej akcji chciał mnie sprzątnąć z tego świata, a wykorzystał sprzyjający moment, jakim stała się awaria elektryczności. Ale wkrótce doszłam do zupełnie innego wniosku. On był zainteresowany tylko i wyłącznie moją śmiercią, działał spontanicznie, pod wpływem emocji. Przyczyna mogła być tylko jedna: zobaczył mnie wtedy na korytarzu, wiedział, że odkryłam jego tajemnicę, oczywiście nie w pełni, ale wystarczyło, że poznałam jego prawdziwy stosunek do córki, a właściwie do tego czegoś, co nazywał swoją córką.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy? Mogliśmy coś razem przedsięwziąć, jakiś środek obrony. Choćby zdemaskować go przed resztą rodziny.

— Ach, nie, to nie miało sensu. On by wszystkimu

zaprzeczył. Ostatecznie ja tu byłam obca, nie on, oboje nie mieliśmy żadnych szans. Mogłoby to tylko pogorszyć naszą sytuację. Postanowiłam odtąd stale mieć się na baczności, poza tym miałam własny plan unieszkodliwienia go.

— Ty? W jaki sposób? Co ty mówisz? — wyobraziłem sobie potężne, spasione cielsko majora, mające monstrualne wymiary, i wiotką, kruchą postać Ewy w nierównej walce wręcz i zestawienie to wydało mi się tak komiczne, że mimo woli, w niestosownej chwili, uśmiechnąłem się. Jakby dla poskromienia tych niewczesnych przejawów humoru, wzrok mój napotkał rozciągnięte w ostatnim śmiertelnym spazmie zwłoki kuzyna Amoureux, z głową odrzuconą do tyłu, spiczastym, sterczącym nosem i zakrzywionymi jak szpony rękami. Odwróciłem pospiesznie głowę, aby ukryć ogarniające mnie uczucie strachu, pomieszanego ze wstrętem.

— Zaręczam ci, że mój plan był całkiem pomysłowy — powiedziała ze skromną minką Ewa, czytając w moich myślach. — Ale o tym powiem ci później. W każdym razie idąc za twoją radą, postanowiłam nikogo nie wpuszczać do mego pokoju. Jednakże ona weszła, miała własny, zapasowy klucz.

— Kto ona? O kim stale mówisz? Operujesz zagadkami!

— Jeszcze się nie domyśliłeś? Marie-Louise, oczywiście. Była rozgorączkowana, podniecona, na pewno pod silnym działaniem narkotyku. W pierwszej chwili pomyślałam, że przyszła mnie zamordować, ale miała zupełnie inne zamiary. Szukała oparcia, bratniej duszy, a przede wszystkim współnika. Niedwuznacznie dała mi do zrozumienia, że chciałaby ze mną związać swoje losy, gdyż taka, a nie inna forma współżycia odpowiada najbardziej jej wrodzonym skłonnościom, a ja uosabiam fizycznie wszystkie cechy, które ją specjalnie pociągają. Miała wielkie, nienaturalnie błyszczące źrenice i taki wyraz twarzy, że byłoby bardzo nierozsądne z mojej strony powiedzieć w takiej chwili: nie... Byliśmy zupełnie same, żaden odgłos nie docierał znikąd do mego pokoju.

Pozwoliłam jej mówić, a najwidoczniej potrzebowała tego. Napięcie psychiczne, w jakim się znajdowała, wymagało uzewnętrznienia, wyładowania. Objęła mnie i pocałowała w usta, szukając w moich oczach aprobaty. Oznajmiła mi, że dostrzega we mnie zadatki na wielką zbrodniczkę, która wkrótce zabyśnie, jak gwiazda na firmamencie kryminalistyki. Zrozumiałam, że jeśli chcę wyjść cało z tego pokoju, muszę udawać, że ją rozumiem, że się z nią zgadzam. Przyjęła to za dobrą monetę. Dla niej zbrodnia stanowiła rozkosz istnienia. Wyznała, że obecnie związała się z mężczyzną, który jest inżynierem pracującym w wielkich zakładach chemicznych w Normandii, ale tylko po to, żeby skorzystać z jego pomocy przy realizacji wielkiego zadania, jakie przed nią stało. Potem pozbędzie się go, tak jak i innych, aby żyć ze mną. Na razie jednak potrzebuje pieniędzy, masę pieniędzy, całe morze... Z jej chaotycznych wynurzeń wyłaniała się jedna prawda: grozi jej wielkie niebezpieczeństwo ze strony zorganizowanej szajki, czyhającej na jej życie, jeżeli nie da gigantycznej sumy w charakterze okupu, a być może zwrotu części przywłaszczonego przez nią łupu, pochodzącego, jak się wydaje, z handlu narkotykami. Dlatego zainteresowana jest, aby żaden z członków rodziny Mignon nie doczekał godziny szóstej rano, z wyjątkiem mnie, oczywiście, jeżeli przystanę na jej warunki. Przyjechała tu już z zamiarem ukatrupienia swoich krewniaków, ale nie spodziewała się, że potrzeba będzie tak szybkiego tempa w działaniu. Niektóre zamysły dojrzywały w niej już od dawna.

— Mówisz straszne rzeczy, Ewo. Marie-Louise? Nigdy bym nie przypuszczał. Przecież ona także nie żyje.

— Słuchaj dalej. Narkotyk wywoływał w niej potrzebę mówienia, zwierzenia się. Widocznie zażyła większą dawkę niż zwykle, aby nie mieć żadnych hamulców i oporów wewnętrznych. Zapytałam, w jaki sposób zamierza pozbyć się takiej dużej liczby ludzi, w tym wielu mężczyzn. Roześmiała się cicho, a śmiech jej był przenikliwy, chrypliwy, jak u obłąkanych. Powiedziała, że kilku już nie żyje. Z Denise załatwiła się niepostrzeżenie, już od dawna

wiedziała, na jakiej zasadzie działa mechanizm gilotyny. Dziś dostała się za kulisy bez trudności, ale zobaczył ją Marcel. Głupiec posunął się do szantażu. Przyszedł zaraz po wypadku i wymógł na niej obietnicę podziału całego spadku. W ten sposób przesądził swój los. Wiedziała od swego kochanka inżyniera, jakie śruby wykręcić, aby baldachim ze zwisem runął mu w czasie snu na głowę. Był to jeden ze sposobów uśmiercenia kogoś z krewnych, jakie miała w zanadrzu. Gdyby ten zawiódł, Marcel i tak by zginął. Również ów inżynier wystąpił jako konsultant przy opracowywaniu planu zgładzenia Cyryla, który zresztą został wciągnięty do spółki przy mordowaniu starego Charles'a. Obiecała mu pomoc w leczeniu, w zaangażowaniu lekarzy-specjalistów mających dokonać operacji jego mózgu. Zgodził się zepchnąć wózek ze zwłokami i dlatego musiał przede wszystkim zginąć.

— A więc to ona udusiła Charles'a Mignona?

— Tak. Mówiła o tym ze śmiechem, jak o dziecinnej igraszce, o małej, podniecającej przyjemności, dającej przedsmak rzeczy wielkich. W tym momencie byłam już zupełnie pewna, że jest obłąkana. Potem wyznała mi, że zaopatrzyła się w laboratorium swego ukochanego w cyjanek potasu, którym już zdążyła uraczyć ciotkę Elizę, wsypując go do jej kropel do oczu, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że zamierza dalej robić z niego użytek.

— A Alain? Czy jego śmierć też była jej dziełem?

— Naturalnie. Tego wieczoru, przed jego powrotem do domu, uszkodziła wzmacniacz.

— A jej brat Paul? Czy zamierzała go oszczędzić?

— Do tej fazy zwierzeń między nami nie doszło. Jej wylewność osiągnęła w pewnej chwili kulminacyjny punkt, a potem nagle, zupełnie niespodziewanie nastąpiła w jej zachowaniu diametralna zmiana. Zamilkła, stała się nieufna, obrzuciła mnie dziwnym, badawczym spojrzeniem. Zrozumiałam, że moje życie wisi na włosku. Najwidoczniej narkotyk przestał działać. Natomiast do jej świadomości dotarła brutalna prawda, że powiedziała za dużo i że dla

własnego bezpieczeństwa musi się mnie pozbyć. Gorączkowo szukała sposobu, w jaki to uczynić, ale nie miała nic pod ręką. Wtedy przyszedł jej do głowy szatański pomysł. Zaproponowała mi zejście do podziemi, do terrariów z węzami na uroczystość złożenia ofiary kobrze.

— Przecież mogłaś się nie zgodzić. To była z twojej strony szalona nieostrożność.

— Chciałam w jakikolwiek sposób wydostać się z tego pokoju. Myślałam, że po drodze zdołam się jej wymknąć.

— No i dlaczego się tak nie stało?

— Niestety, Marie miała na mnie zgubny wpływ. Umiała hipnotyzować i węże i ludzi, a ja jej ulegałam. Wyteżyła wszystkie siły, całą swą umiejętność i osiągnęła cel. Zawiozła mnie windą do podziemi. Jednakże moja zależność nie trwała długo. Odzyskałam już trzeźwość umysłu w momencie, kiedy blokowała windę. Na razie udawałam, że znajduję się w transie. Kiedy otworzyła gablotę z kobrą i rzuciła ją w moim kierunku, odskoczyłam gwałtownie w bok i pchnęłam ją na węża. W ten sposób po raz pierwszy tej nocy zabiłam człowieka.

— Zrobiłaś to w obronie własnej. To nie była zbrodnia, a usprawiedliwione działanie, znajdujące całkowite rozgrzeszenie w przepisach kodeksu karnego.

— Czasami zastanawiam się, czy jesteś inżynierem „butologiem”, czy radcą prawnym. W każdym razie masz wszechstronny umysł.

— Dziękuję za uznanie. Jak wydostałaś się z podziemi?

— Dodatkowym, zapasowym wyjściem. Znalazłam je dość łatwo, mimo iż pozornie jest całkowicie zakamuflowane. Teraz, kiedy Marie-Louise nie żyła, jedyne zagrożenie dla mnie stanowił major Dalentin, którego bynajmniej nie należało lekceważyć. Byłam więcej niż pewna, że ponowi on zamach na moje życie, i dlatego postanowiłam go uprzedzić.

— Chyba nie zamierzałaś go zabić? — zapytałem z trwogą, że śmierć Marie-Louise roznieciła w niej żądzę krwi i dalszych ofiar.

— Nie — uspokoiła mnie z wdziękiem. — Ale zdecydowałam się go związać, zakneblować usta i w ten sposób przetrzymać do szóstej rano.

Tym razem ja omal nie parsknąłem śmiechem.

— Ty? Przecież to mniej więcej jakby mucha chciała zaatakować słonia.

— Nie jestem tego taka pewna. Wiedziałam jak postąpić. Zabrałam z jadalni strzelbę, jedną z wielu wiszących na ścianie. Bałam się tylko, że drzwi do jego pokoju będą zamknięte. Ale tak nie było. Major siedział przy biurku i miał bardzo głupią minę, a jego pseudo córeczka leżała w całej okazałości na podłodze, przygotowywana do napompowania. Wrzasnął i obrzucił mnie stekiem plugawych wyzwisk. Nie dał się sterroryzować, wcale się mnie nie bał. Chyba było mu już wszystko jedno: stanowiłam na jego drodze do fortuny przeszkodę, którą bezwzględnie należało usunąć. Rzucił się na mnie z bronią w rękę, ale zanim zdążył zrobić z niej użytek, zastosowałam znów chwyt, do którego nie był, tak jak poprzednio, przygotowany. Broń wypaliła w sam środek jego skroni, jakby do siebie z rozmysłem celował. Runął z impetem na biurko. Wiedziałam, że nie żyje i poczułem niezwykłą satysfakcję, że poszło mi z nim tak łatwo. Sama się tego zlekkałam — zabijanie dawało mi niezdrową przyjemność.

Strzelbę schowałam za szafę. Jest tam jeszcze dotąd, muszę ją usunąć przed przyjściem policji. Potem rozciąłam nożem, leżącym na biurku, plastikową masę, z której zrobiona była cielesna powłoka Jacqueline. Słuchałam nawet przez chwilę syku, z jakim wydobywało się z niej powietrze, i wybiegłam z pokoju. Na progu spotkałam ciebie. Bałam się, że się zorientujesz w sytuacji, musiałam przecież okropnie wyglądać, ale ty troszczyłeś się tylko o mnie. Naprawdę jesteś najpoczciwszym z ludzi, Zygmuncie.

— A co się stało z Yvette? — zapytałem, a przestрах mój był tak widoczny, że Ewa uspokoiła mnie gestem ręki.

— Nie bój się, nie zabiłam jej, ale przyznam się, że w jakiś sposób przyczyniłam się do jej śmierci. To była zła i głupia

dziewczyna. Chciała nas zgubić, za- denuncjować przed policją. Kiedy wracałam z pokoju ciotki Elizy, zauważyłam, że woda wycieka spod drzwi łazienki. Weszłam tam, aby zakręcić kran. Yvette stała w wannie i trzymała klucz do spiżarni w ręku. Była kompletnie pijana. Na mój widok dosłownie dostała szału. Zaczęła wymachiwać kluczem i wrzeszczeć, że powie inspektorowi Vendeur, że ja i ty jesteśmy zbrodniarzami. Oświadczyła, że widziała mnie wchodzącą ze strzelbą do majora Dalentina, że przysięgnie na to przed ołtarzem i że dostaniemy guzik z całego spadku, a ona będzie wielką panią. W tym ferworze pośliznęła się w wannie i wpadła do wody głową w dół. Nie wiem, co mi się stało. Widziałam, że tonie, ale jej nie pomogłam. Nie chciałam jej ocalić. Byłam pewna, że ta mała diaboliczna spełni swoją groźbę, ale nie to właściwie przeważało: czułam do niej wstręt, obrzydzenie, a może nienawiść. To było głupie i podle. Ostatecznie zginęła młoda dziewczyna, a ja nie kiwnęłam palcem, aby ją uratować. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Nie wiem, czy mi przebaczysz — głos Ewy załamał się i przeszedł w szept.

Otoczyłem ją ramieniem, tak jak brat obejmuje siostrę. W uścisku tym nie było cienia erotyzmu, tylko ciepłe, serdeczne uczucie, oparte na więzach krwi.

— Nic się nie martw — powiedziałem. — To nie była twoja wina. Za dużo przeżyłaś tej nocy, po prostu nie wytrzymałaś nerwowo. Nie powinnaś się tym dręczyć.

— Skoro tak uważasz... — trzepot rzęs i fiołkowe oczy zaśniły promiennym blaskiem. — Bo ja już w głębi ducha uznałam się za wyrafinowaną zbrodniczkę, o wrodzonych skłonnościach przestępczych. Szczególnie, że to nie była moja pierwsza zbrodnia. Wiesz, ta koronka dentystyczna, którą udławiła się moja mama w czasie świąt Bożego Narodzenia... To ja ją wrzuciłam do jej kompotu. Zemściłam się, bo mnie postawiła do kąta i nie chciała dać deseru.

— Głuptasku — powiedziałem, wzmacniając uścisk. — Przecież byłaś wtedy małym dzieckiem. Nie myśl o tym

więcej. Pozostaje jeszcze niewyjaśniona sprawa zatrutego szampana, którym uraczył się nieboszczyk Paul. Czyżby to też robota nieszczęsnej Marie-Louise?

— Tak mi się wydaje. W ten sposób widocznie chciała dokończyć dzieła zniszczenia rodu Mignon.

— Szalona! Nie przewidziała, że nie doczeka jego wyników. Ewo, za pięć minut wybije godzina szósta. Czy chcesz wysłuchać dziadka Mignona?

Nie odpowiedziała, tylko ujęła mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

Rozdział X **„Irontax”**

W sypialni Jean-Pierre’a Mignona panowała nieprzenikniona ciemność, gdyż zasłony w oknach nie przepuszczały porannego światła. W blasku lampy ujrzeliśmy sprzęty o wiele przyjemniejsze dla oka niż w pozostałych pokojach, mniejsze, o weselszych obiciach, tak, jakby użytkowała je i dobierała kobieta. Niewątpliwie mieszkała tu kiedyś zmarła żona dziadka. Francuskie łoże, bez baldachimu, świeżo posłane, z odchyloną kółdrą z niebieskiego adamaszku i lekko wgniecioną poduszką, filcowe, wiśniowe kapcie na dywanie, fajka z bursztynu na nocnym stoliku — wszystko zdawało się oczekiwać na rychły powrót ich właściciela. W rogu, na antycznej konsolce, stał duży telewizor z urządzeniem do zdalnego sterowania, a wokół rozstawionych było kilkanaście foteli, na których już nikt oprócz nas dwojga, nie miał zasiąść. Widocznie wszystko zostało przygotowane do transmisji, która miała się za chwilę odbyć. Usiedliśmy koło siebie z dziwnym wrażeniem, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, że asystują nam duchy tragicznie zmarłych krewniaków, którzy padli ofiarą chciwości i zachłanności na pieniądze. Przypuszczam, że i Ewa musiała doznawać podobnego wrażenia, gdyż w jej oczach malowała się powaga, dominująca nad ciekawością, jakie to niespodzianki

przygotował swojej rodzinie ten zwariowany starzec, krążący samotnie w kosmosie.

Kilka sekund przed szóstą włączyliśmy telewizor. Szereg krzyżujących się błysków połączonych z chrypliwym dźwiękiem i na ekran wypłynął obraz, początkowo zamglony i drgający, a potem coraz bardziej wyraźny, układający się w zarys postaci ludzkiej poruszającej się w niemrawym, bezustannym, chybotliwym ruchu. Wreszcie zatrzymał się na twarzy wyschłej, skurczonej, o przymrużonych, małych oczkach i wąskich wargach, rozciągniętych w uśmiechu stanowiącym mieszaninę złośliwości i szyderstwa.

— Witam was, moi drodzy krewniacy — odezwał się skrzeczący, starczy głos. — Jeżeli naturalnie mam jeszcze kogo powitać. Nie jest bowiem wykluczone, że przez tę noc zdążyliście się wzajemnie powybijać co do nogi, a znając was, uważam tę ewentualność za wielce prawdopodobną. Jeżeli jednak przypadkowo ktoś z was pozostał przy życiu, to chcę wam zakomunikować kilka ciekawych rzeczy. Nie będę przed wami ukrywał, że przewidziałem możliwość waszego rychłego zejścia z tego świata, a nawet celowo stworzyłem wam takie warunki, abyście mogli się wymordować. Tylko najsilniejsze psychicznie i fizycznie jednostki mogły taką noc przetrwać i takie są godne szczęścia, jakie przyniesie im odziedziczenie pozostałego po mnie majątku. Nie cieszcicie się jednak przedwcześnie. To nie będzie takie łatwe i proste. Kiedy wrócę za sto lub więcej lat — nie pozostanie po was nawet popiół. Dlatego chcę wam dać niebywałą szansę. Możecie jeszcze dziś przyłączyć się do mojej wyprawy, w pojeździe kosmicznym, który wystartuje o godzinie dziewiątej trzydzieści z lotniska w Compiègne, złączy się po kilku godzinach z moim pojazdem i po przejściu przez was na pokład mego statku, ulegnie samozniszczeniu. Decyzję taką podjąłem z wielu względów. Jestem, jak wiecie, dość stary i muszę mieć pomoc i opiekę, a poza tym nie lubię samotności. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dołączą do mnie ci, którzy wykazali maksimum odwagi, siły i przebiegłości, a o takich

towarzyszy mi chodzi. Ponadto, po powrocie, na tym nowym, nieznanym świecie, który równie dobrze może być zaludniony przez nowe stwory, wytwory innych cywilizacji, przyjemnie będzie mieć trochę znajomych twarzy. Co zaś do was, to uprzedzam, że podejmujecie wielkie ryzyko: możecie zginąć w trakcie lotu lub lądowania, chociaż sterujący pojazdem, mój stary przyjaciel, generał Claude Passager, zapewniał mnie o całkowitym bezpieczeństwie w tym zakresie. Poza tym musicie zapomnieć o swych bliskich, jeżeli ich macie, rozstać się z waszym światem, do którego nigdy już nie powrócicie. W zamian za to, w przyszłości, która wcale nie wyda się wam daleka, dostaniecie po mojej śmierci olbrzymi majątek w równych częściach do podziału, pomnożony przez lata nieobecności. Pozwoli on wam zakosztować wszystkich uciech, jakie tylko są dostępne dla człowieka na tym padole ziemskim. A więc, pamiętajcie, o dziewiętej trzydzięci na lotnisku w Compiègne. W prawej szufladzie komódki pod telewizorem znajdziecie kluczyki do czarnego Mercedesa, który stoi w garażu. Możecie nim przyjechać. Jeżeli umrę w czasie lotu, a ciało moje będzie nosić oznaki gwałtownej śmierci, zostaniecie wydziedziczeni, nie radzę więc próbować żadnych sztuczek. Do zobaczenia! Do odważnych świat należy!

Głos dziadka Mignona umilkł i w tym samym momencie urwał się raptownie obraz w telewizorze.

Spojrzałem na Ewę i prawie jej nie poznałem. Wyglądała niezwykle, jak w jakimś transie. Oczy jej płonęły, pierś unosiła się w gwałtownym oddechu, ręce, którymi mnie dotknęła, elektryzowały jak pod napięciem. Zrozumiałem, że ona już podjęła decyzję. Chwilę trwało między nami głucho milczenie, w czasie którego ważyły się nasze losy.

Przed oczyma stanęło mi całe moje dotychczasowe życie, które mogłem za parę godzin porzucić na zawsze: Alina, dzieci, „Irontax”, nowe mieszkanie na Ursynowie, stary wysłużony fotel — ulubione miejsce wypoczynku, pomnik Chopina w Łazienkach, uliczka na Starym Mieście, gdzie

umówiłem się z dziewczyną na pierwszą randkę. Sprzeczne myśli i pragnienia rozsądzały mi czaszkę. Gdybym był chłopcem, którego największym marzeniem jest wielka przygoda, nie wahałbym się ani chwili. Mimo woli gratulowałem sobie w duchu, że nie pozwoliłem swoim synom jechać do Paryża. Na pewno bez zmrużenia powiek wyruszyliby w upragnioną kosmiczną podróż. Ale ja, dojrzały, stateczny człowiek, czy mogłem dla czczych miraży zerwać bezpowrotnie z teraźniejszością? To przerażało moje siły.

Blask płynący z oczu Ewy przeszył mnie na wylot. Była tak piękna i fascynująca, że trudno było jej czegokolwiek odmówić. Czulem, że jeszcze moment, a ulegnę.

— Boisz się? — zapytała, zapuszczając sondę w głąb mojej duszy. — Ty się naprawdę boisz.

— Wybacz — wyszeptałem. — Jeżeli tylko możesz.

— Tak, naturalnie, doskonale cię rozumiem — głos jej brzmiał trzeźwo i rozsądnie. — Niepotrzebnie się usprawiedliwiasz. Dyrektor Kalinowski nigdy by ci tego nie darował — roześmiała się sztucznie. — Otrzymałbyś naganę z wpisaniem do akt. Mam nadzieję, że jednak mi pomożesz. Sama nie dam rady.

— Zawsze ci służę, w czymkolwiek będę mógł — zapewniłem gorąco i rycersko.

— Musimy ukryć trupy!

— Trupy?... Ale dlaczego?

— Ach, jakiś ty naiwny! Przecież inspektor Vendeur ma tu być o ósmej rano. Zastanie dziewięciu nieboszczyków i na pewno natychmiast rozpocznie pościg za mordercami. Jak myślisz? Kogo będzie podejrzewać o popełnienie tych wszystkich zbrodni? Oczywiście osoby pozostałe przy życiu, a więc ciebie i mnie. Jeśli chodzi o mnie, to być może uda mi się uciec w kosmos, chociaż nietrudno mu będzie, za pośrednictwem mecenasa Loyala, dotrzeć do generała Passagera jeszcze przed startem pojazdu, ale ty zostaniesz niewątpliwie zatrzymany na lotnisku Orły i powędrujesz za kratki.

Tego rodzaju perspektywa zupełnie mi się nie uśmiechała. Poczuję się bezradny, jak małe dziecko.

— Nie opuszczajmy rąk — oświadczyła. — Na nic nie jest za późno.

Gdybym nie był tak przygnębiony, musiałbym raz jeszcze oddać hołd jej niezwykłemu opanowaniu i rozsądkowi.

— Więc co robić? — zapytałem piszczącym ze zdenerwowania falsetem.

— Już mówiłam: ukryć trupy tak, żeby inspektor Vendeur nie mógł ich szybko znaleźć.

— Dobrze, ale gdzie? W końcu trup — to nie szpilka.

— Jest w tym domu miejsce, które wydaje mi się zupełnie bezpieczne i odpowiednie. Jestem pewna, że nikt tam prędko nie zajrzy, a w każdym razie nie poweźmie podejrzeń. Musimy się jednak pospieszyć. Nie wiem, czy się domyślasz? Chcę ukryć zwłoki w lodówkach w podziemiach. Czy nie sądzisz, że to dobry pomysł?

— Znakomity. Jesteś jak zwykle genialna — odparłem i nagle przeszła mnie gwałtowna myśl, że po odlocie Ewy ja zostanę jedynym podejrzany, znajdującym się w zasięgu karzącej ręki sprawiedliwości, niezależnie od tego, gdzie bym przebywał. Moja wiedza prawnicza nie pozwoliła mi utwierdzić się w przekonaniu, że jako niebezpieczny morderca, obciążony tyloma zbrodniami, nie zostanę wydany przez polskie organy sprawiedliwości władzom francuskim i osądzony przed paryskim sądem karnym. W obliczu takiej możliwości umarły we mnie śmiercią gwałtowną wszystkie sentymety i uczucia. Zrozumiałem, że jedynym dla mnie wyjściem jest ucieczka w kosmos.

— Ewo — powiedziałem cicho. — Zmieniłem zdanie. Wyjeżdżam razem z tobą.

— Wiedziałam, że tak się stanie — ucisnęła mi serdecznie rękę. — W gruncie rzeczy świetny z ciebie facet. Jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie, do których nie stosuje się porzekadło: „za sto lat nie będzie nas”. No, ale do roboty! Bo zamiast krążyć po orbicie z dziadkiem i zwiedzać inne planety, znajdziemy się za parę godzin w

paryskim więzieniu. Kogo najpierw odtransportujemy?

— Co ty mówisz? Jak to — odtransportujemy? — wybąkałem, nie zdając sobie sprawy z sensu jej słów.

— Nie udawaj naiwnego — zdenerwowała się. — Przecież musimy ich wszystkich jak najprędzej umieścić w lodówkach. Pytałam, kogo pierwszego wyniesiemy? Myślę, że będziemy zjeżdżać windą. Trzeba będzie zmontować jakieś prowizoryczne nosze. Chyba najlepiej nadadzą się do tego te duże kapy z łózek.

— Gdybym mógł, napiłbym się przedtem dla kurażu. Nigdy nie nosiłem niczyich zwłok. Szczególnie, że te tutaj nie wyglądają zbyt przyjemnie.

— Ani mi się waż! Kto wie, czy piękna Marie nie zatrąła całego alkoholu w tym domu. No więc jak? Chyba zacniemy od najcięższych. Ja proponuję ciotkę Elizę.

— Wolałbym może kogo innego. Na przykład dziadka Charles'a — wybąkałem, czując ucisk w dołku na myśl o zetknięciu się ze zwłokami Madame de Biencourt.

— No dobrze — zdecydowała Ewa. — Ale potem już bez żadnych kaprysów...

Charles Mignon wyglądał jak zeschnięta skorupka od jajka, całkowicie wydrążona od wewnątrz. Kiedy go nieśliśmy, spadł mu z nogi pantofel, ukazując skarpetkę z wielką dziurą na pięcie. Włożyłem mu go pospiesznie z powrotem, aby nie pozostawiać kompromitujących śladów. W pewnym momencie wydał mi się nawet lżejszy od powietrza, choć nie pozwalały na to prawa fizyki. Nie było też trudno umieścić go w chłodni. Wybraliśmy oczywiście najmniejszą, gdyż nie zajmował więcej powierzchni niż jakikolwiek bardziej okazały egzemplarz drobiu.

— No, teraz zabieramy Dalentina — zakomenderowała Ewa.

— Czy nie można by go zostawić na koniec? — usiłowałem błagalnie zaprotestować, ale natychmiast umilkłem, gdyż Ewa zmierzyła mnie spojrzeniem o stalowych błyskach, których nigdy przedtem w jej oczach nie dostrzegłem.

Dalentin był okropny. Bałem się do niego podejść. W żaden

sposób nie mogłem odciągnąć go od biurka, wydawał się być z nim złączony na wieki. Jego wielkie plecy wyglądały jak skała, a kraciasta koszula tworzyła nierozzerwalny z ciałem pancierz. Pociągnąłem go z całej siły za rękę, którą trzymał wczepioną w blat biurka, próbując jednocześnie podciąć mu nogi, aby się ugięły w kolanach. Ponawiałem tę próbę kilkakrotnie, czułem, że braknie mi sił, że pot ciurkiem spływa mi z czoła. W pewnej chwili stała się rzecz straszna. Noga Dalentina obleczone w żółte pumpy podniosła się niespodziewanie w górę i wymierzyła mi siarczystego, potężnego kopniaka. Krzyknąłem przeraźliwie...

Pierwszą osobą, którą zobaczyłem po odzyskaniu świadomości, była moja żona Alina, stojąca nade mną w nocnej koszuli, w wojowniczej postawie, z poduszką uniesioną gestem obronno-zaczeplnym do góry. Na twarzy jej malował się strach. Przypatrywała mi się z napięciem i skupieniem, z jakim lekarze zazwyczaj obserwują osobników zdradzających objawy pomieszania zmysłów.

— No, nareszcie, patrzysz przytomnie — wybuchnęła, dla pewności nie opuszczając jeszcze poduszki, jakby w obawie, że lada chwila mogę dostać nowego ataku. — Co się z tobą dzieje, człowieku?! Mało, że całą noc krzyczałeś, jęczałeś, wileś się jak epileptyk, to na dodatek przed chwilą zerwałeś ze mnie kołdrę, chwyciłeś za nogę i chciałeś zrzucić na podłogę. Dopiero jak ci przyłożyłam parę razy, trochę się uspokoiłeś. Jeszcze moment, a zadzwoniłabym po karetkę pogotowia.

Usiadłem na tapczanie i rozejrzałem się dookoła. Nasz pokój wyglądał tak, jak zwykle, nic się w nim nie zmieniło: stolik, regał zajmujący przeciwległą ścianę, dwa fotele w tym jeden przeniesiony mimo protestów Aliny ze starego mieszkania, z wysłużonym wgłębieniem w środku, zielono-czarny dywan z Kowar, a na nim moje ulubione, ranne pantofle z filcu. Przez okno, przesłonięte stylonową firanką, wpadały promienie wiosennego słońca. Musiało być już dość późno.

Która godzina? — zapytałem zgodnie z wieloletnim nawykiem, chociaż tuż nad moim uchem terkotał ścienny zegar na baterie.

— Kwadrans po szóstej — odpowiedziała machinalnie, nie przestając mi się badawczo przyglądać.

— Muszę wstawać — zaskrzeczałem, jak zdarta płyta. — Dziś rano jest narada u dyrektora Kalinowskiego.

— Słuchaj — Alina przysiadła ostrożnie na brzeżku tapczana, jakby w obawie, czy nie stanę się niebezpiecznie agresywny. — Musisz koniecznie pójść do doktora. Chyba coś ci się rzuciło na mózg. Może ten „Irontax”? W tym laboratorium muszą być jakieś szkodliwe wyziewy. Kto wie, czy nie uległeś zatruciu lub zaccadzeniu. Całą noc bez przerwy gadałeś po francusku, nie mogłam ani w ząb zrozumieć, o co ci chodzi. Co prawda twoja matka była Francuzką, ale nigdy nie mówiłeś tym językiem, dopiero dzisiejszej nocy, po tylu latach... To chyba nie jest normalne.

I w ogóle powiedz mi, jak się czujesz?

W głosie jej zabrzmiała naprawdę troska o moje zdrowie. Od czasu do czasu rzucała niespokojne spojrzenie na serwis z chińskiej porcelany, stojący na regale, w obawie, czy nie ulegnie dewastacji w razie gdybym dostał nowego ataku, ale poza tym wydawała mi się zupełnie sympatyczna, a nawet w jakiś sposób pociągająca, czego już od dość dawna nie dostrzegałem. Stwierdziłem, że jest zgrabna, może trochę za szczupłą, ale proporcjonalnie zbudowana. Różowa koszula nocna odsłaniała właśnie jej prawy obojczyk i małe brązowe znamię, które tak dobrze znałem. Ciemnobrunatne włosy, znacznie bujniejsze po zaprzestaniu noszenia peruki, która ją wyjątkowo postarzała, teraz trochę potargane, opadały wdzięcznymi kosmykami na czoło, a w dużych, niebieskich oczach, niewątpliwie stanowiących jej największą ozdobę, a niestety stale przesłoniętych okularami z powodu wrodzonej krótkowzroczności, dojrzałem trochę zmęczenia po nieprzespanej nocy, łzawej wilgoci i porannego rozmarzenia.

Tak, na pewno ostatnio nie doceniałem powabów mojej żony Aliny.

— Nie bój się — powiedziałem, z zadowoleniem konstatując, że głos mój nabiera naturalnej barwy. — Jestem zupełnie zdrowy. Miałem tylko wyjątkowo dziwny i nieprzyjemny sen. Być może istotnie próby laboratoryjne z „Irontaxem” oddziałują niekorzystnie na mój system nerwowy, lecz myślę, że już wkrótce się skończą. Czy możesz mi przygotować śniadanie? Chętnie zjem owsiankę.

Alina odwróciła głowę i spojrzała na mnie nieufnie, jakby wzmianka o znienawidzonej przeze mnie potrawie stanowiła symptom powracającego zamroczenia umysłowego, ale widząc, że żwawo spuszcza nogi na podłogę, szybko narzuciła szlafrok i wyszła z pokoju.

Mój stan bynajmniej nie budził we mnie niepokoju, przeciwnie, czułem się dziwnie lekko na ciele i na duchu. Świadomość, że nocne zmyślenia i rojenia to wytwór podnieconej chemikaliami wyobraźni (bo Alina musiała trafić w dziesiątkę — pozostawałem pod ich działaniem) i nie grożą mi żadne konsekwencje natury prawnej, dodała mi takiego animuszu, że przy goleniu zacząłem śpiewać arię z opery „Carmen”. W tym podniosłym nastroju nasze M-4 wydało mi się uroczym gniazdkiem rodzinnym, zamieszkałym przez dobre, życzliwe istoty, z babką na czele, dyrektorem Kalinowskim sympatycznym panem w średnim wieku, stawiającym słuszne i uzasadnione aktualną sytuacją rynkową wymagania swojemu personelowi technicznemu, a Ewa... No, cóż Ewa. Na jej wspomnienie przez moje usta przewinął się smętny uśmiezek. Ewa to przeurocza dziewczyna, zdolna wywołać u mężczyzny w określonym wieku spóźnione tęsknoty i pragnienia w sposób dla niej samej zupełnie nieświadomy. Nic dziwnego, że zajęła w moich snach tak poczesne miejsce, tylko dlaczego w marzeniach sennych stała się osobą związaną ze mną węzłami krwi? Czyżbym, u licha, żywił do niej właśnie braterskie, a nawet ojcowskie uczucie?

Nie miałem już czasu na dalszą analizę moich stanów

emocjonalnych, gdyż Alina zawołała mnie do stołu, na którym dymiła owsianka, a gazeta leżała złożona we czworo przy moim nakryciu, niepokalanie, dziewiczo czysta, gdyż nikt nie śmiał jej tknąć, zanim nie przeczytał jej pan i władca.

Jak to dobrze być w domu po powrocie z dalekiej podróży — pomyślałem i omal nie puknąłem się w głowę, że przecież tylko śniłem i nigdzie nie wyjeżdżałem. Widocznie nie wróciłem jeszcze całkowicie do przytomności. Już przy pierwszych łykach owsianki doznałem cudownego objawienia, w jaki sposób rozwiązać problem ulepszenia „Irontaxu”. Wzory chemiczne zaczęły układać się w moich myślach z niesłychaną wyrazistością. Gdybym miał koło siebie długopis, zapisałbym je natychmiast, nawet na obrusie. Od dawna nie czułem podobnego przypływu weny twórczej.

Wtedy właśnie do kuchni weszła babka. Wydała mi się tak czcigodną, bliską memu sercu staruszką, że o mały włos, a byłbym zerwał się od stołu, aby złożyć na jej rękę pełen synowskiego szacunku pocałunek, gdyby nie obawa, że mogłoby to utwierdzić Alinę w wątpliwościach co do mojej poczytalności. Dałem więc spokój i wytwornie skinąłem jej głową. Babka odwzajemniła mi ukłon i spojrzała z dziwnie niepewną i skonfundowaną miną, co jej się raczej nigdy nie zdarzało. Mało tego, przysiadła na skraju krzesła, starając się zająć jak najmniej miejsca, ze spuszczoną głową.

Potem parokrotnie otwierała i zamykała usta, jak ryba wyjęta z wody.

„Pewno znów podśpiewywała w nocy i ma wyrzuty sumienia, że nam nie dała spać — pomyślałem. — Niepotrzebnie się dręczy biedaczka. Mnie na pewno nie przeszkadzała”.

Już miałem zamiar obdarzyć ją jakimś krzepiącym słowem pociechy, gdy nagle odezwała się, spoglądając na mnie z ukosa.

— A nie będzie się Zygmus na mnie gniewał, jak coś powiem?

A więc nie myliłem się, chce się usprawiedliwić, jest niespokojna.

— Oczywiście, że nie. To nie miało żadnego znaczenia — powiedziałem pospiesznie.

— To Zygmus już wie? — błysnęła ku mnie zdziwionym i zaskoczonym spojrzeniem. — Ja też tak sobie pomyślałam, że to pewnie nic ważnego. Ale zawsze co depesza, to depesza.

Łyk owsianki niespodziewanie utknął mi w gardle. Zakrztusiłem się, nie mogąc przez dłuższą chwilę wydobyć głosu.

— Jaka depesza? Co za depesza? O czym mama mówi? — wyręczyła mnie Alina, nacierając gwałtownie na coraz bardziej speszoną babkę.

Od razu wiedziałam, że będziecie się pieklili — o- świadczyła, grzebiąc w kieszeni szlafroka. — Odebrałam, kiedy was nie było w domu. Trzeba wcześniej wracać, to bym oddała. A tak — zapomniałam. Człowiek stary — to nie ma już takiej pamięci.

— Bo na pewno mama znów sobie łyknęła po cichu. Zauważyłam, że w butelce ubyło koniaku! — wrzasnęła Alina.

— Co też ty! Żadnego poszanowania nie mam w tym domu. Zaraz się mnie o coś podejrzuje. Jak tak, to jeszcze się dzisiaj spakuję i pojadę do Józia.

Józio, brat Aliny, gospodarz rolny spod Opoczna, występował w charakterze „bicza bożego” i narzędzia szantażu w przypadkach stosowania wobec babki ostrzejszej sankcji przez „wyrodną” córkę.

— Gdzie jest depesza? — syknąłem, odzyskując głos.

— Tyle gwałtu o taki papierek — powiedziała z godnością babka, kładąc na stole zmiętą kartkę. — Byście się oboje wstydzili.

Po czym wstała i jak najszybciej umknęła z kuchni. Sięgnęliśmy z Aliną jednocześnie po depeszę, ale ja byłem szybszy.

— Pozwolisz, że ja przeczytam pierwszy, to chyba do mnie.

— Jak chcesz, jeśli to tajemnica — Alina wstała i odsunęła się ostentacyjnie.

— To z Paryża — jęknąłem i włosy leciutko uniosły mi się na czubku głowy.

Alina jednym susem znalazła się przy mnie, drapieźnym ruchem wyrwała mi z ręki papier.

— Czytaj! Dlaczego nie czytasz? To po francusku, chyba od jakiegoś adwokata. Słuchaj, ty masz przecież stryjecznego dziadka w Paryżu. Tu jest napisane — Jean-Pierre Mignon. Może on umarł? Dlaczego nic nie mówisz? Czyżbyś naprawdę zwariował?

— Ludzie, co to za wrzaski? Historyca ma nas pytać, a wy nie dajecie się wyspać — Jarek ukazał się na progu z zapuchniętymi od snu oczyma.

W tej chwili zadzwonił telefon. Wstałem jak automat i podniosłem słuchawkę.

— Tak, proszę, Orczycki.

— Dzień dobry, panie dyrektorze — rozśpiewał się niebiański głosik po drugiej stronie drutu. — Dyrektor Kalinowski przypomina o naradzie, punktualnie o godzinie ósmej w jego gabinecie. Prosi o zabranie ostatnich wyników laboratoryjnych „Irontaxu”.

— Dziękuję pani. Oczywiście będę.

— I jeszcze jedno, panie dyrektorze. Przyszła depeza do pana z Paryża. Może to coś pilnego? Czy mam przeczytać?

Szczypię się w nogę, w rękę, z całej siły, prawie przestałem już reagować na ból. Jedno jest pewne. Ja nie śnię, tym razem nie śnię...

— Nie, nie trzeba — mówię, a mój głos brzmi tak dziwacznie, że Alina przygląda mi się ze zdumieniem, jakby mnie po raz pierwszy ujrzała w życiu. — Proszę powiedzieć dyrektorowi Kalinowskiemu, że na pewno przyjdę punktualnie.

KONIEC

Cena zł 300,—

...W tym momencie dobiegł nas charakterystyczny świst ostrza, błysnęło tysiące iskier, coś jakby zabulgotało, zachrząściło, przecięło powietrze i uderzyło z hałasem o blat sąsiedniego stolika. Zapłonęły wygaszone światła i nagle przeraźliwy krzyk wypełnił całą salę. Siedząca obok kobieta w wydekoltowanej, zielonej sukni, wykonała kilka spazmatycznych ruchów i osunęła się zemdlna na podłogę. Ktoś pośpieszył jej na ratunek, a dookoła podniósł się pomruk pełen grozy i przerażenia, z sekundy na sekundę rosnący na sile, przemieniający się w nieustanny ryk. Spojrzałem przez ramię i poczułem nagły skurcz w gardle. Na półmisku, pośród resztek jedzenia, leżała głowa Dénise, na strzępach skóry, z której szeroką, nie kończącą się strugą, płynęła gęsta, czerwona krew. Powieki o wielkich, sztucznych rzęsach jeszcze drgały, ukazując wywrócone białka...

ISBN 83-219-0476-9

lesiojot